BIBLIOTHECA UNIV. JAGELL. CRACOVIENSIS
II

OBRAZY ŚLĄZAKÓW

WSPOMNIENIA GODNYCH

NAPISAŁ

KSIĄDZ JAN KUDERA

TOM I.

OZDOBIONY 20 ILUSTRACJAMI

1920
SPÓŁKA WYDAWNICZA KAROLA MIARKI W MIKOŁOWIE

OBRAZY ŚLĄZAKÓW

WSPOMNIENIA GODNYCH

NAPISAŁ
KSIĄDZ JAN KUDERA

TOM I.

OZDOBIONY 20 ILUSTRACJAMI

Biblioteka Jagiellońska
1003128391

1920
SPÓŁKA WYDAWNICZA KAROLA MIARKI W MIKOŁOWIE

BIBLIOTHECA UNIV. JAGIELL. CRACOVIENSIS
B 885333 II
ZN
Bibl. Jagiell.

TREŚĆ KSIĄŻKI.

	Str.
1. Ksiądz Jan Gałeczka	7
2. Karol Kosicki	11
3. Ksiądz Jan Alojzy Ficek	16
4. Józef Lompa	21
5. Ksiądz Szymon Perzych	26
6. Ksiądz Józef Szafranek	30
7. Ksiądz Antoni Stabik	36
8. Ksiądz biskup Adrjan Włodarski	41
9. Ksiądz biskup Bernard Bogedain	46
10. Ksiądz Jan Dzierżoń	51
11. Ksiądz Jan Laxy	56
12. Emanuel Smołka	61
13. Juljusz Ligoń	66
14. Karol Miarka	72
15. Jan Gajda	77
16. Ksiądz Tomasz Kulka	82
17. Ksiądz Norbert Bączek	88
18. Ksiądz Konstanty Damrot	93
19. Jan Kupiec	98
20. Filip Robota	104
21. Ksiądz Rudolf Lubecki	109
22. Pastor Jerzy Badura	114
23. Ksiądz Karol Myśliwiec	120
24. Ksiądz Michał Przywara	125
25. Jan Krzyża	130

Biblioteka
Urzędu Wojew. Śląskiego
Nr. inw. 13803.
Wydział Brez.

Ks. JAN GAŁECZKA.

Do najpierwszych, którzy światu przypomnieli, że Górnemu Śląskowi jako polskiej krainie należy się polska oświata, trzeba liczyć księdza Jana Gałeczkę. Mąż ten światły to, co czuł i uważał za nieodzowne, zamienił w czyn i praktycznie w życiu przeprowadził. Dziwna rzecz, żeśmy go do niedawna znali mniej więcej tylko z nazwiska i jako legendarną osobę. Nawet ks. Bączek w galerji mężów zasłużonych około Górnego Śląska ks. Gałeczki wcale nie wspomina, choć tam znachodzimy niejednego, którýby może na tak zaszczytne wspomnienie nie zasłużył.

Jan Gałeczka urodził się w roku 1766 w Widerowcu pod Głogówkiem, folwarku należącym do wsi Mochowa, która z drugim folwarkiem czyli kolonją „Leśnikiem“ i Wojciechowem była własnością OO. Paulinów Częstochowskich mających w pobliżu klasztór od bardzo dawnych lat. Wyświęcony we Wrocławiu roku 1788 na kapłana, był najpierw kapelanem w Lublińcu, potem od wiosny r. 1793 kuratusem w Byczynie w Kluczborskiem. Dnia 25 czerwca 1801 roku stał się rządcą nowo powstającego probostwa w Oleśnie z tym dopiskiem, że powinien corocznie rachunki składać prałatowi klasztoru kanoników regularnych św. Augustyna we Wrocławiu na piasku. Na posadzie tej dnia 12 grudnia roku 1801 został mianowany inspektorem szkół dla powiatów oleskiego, kluczborskiego i byczyńskiego.

Było to nader trudne zadanie. Istniały co prawda różne rozporządzenia względem szkolnictwa. Ale istniały tylko na papierze. Szkół bowiem nie było, albo nie było ich tyle i nie były takie, jakie miały być. Rozporządzenie królewskie z dnia 18 maja r. 1801 chciało różnym tym niedostatkom zaradzić. Ale nie było to łatwą rzeczą. Niektóre gminy, a szczególnie „Panowie“, to jest posiedziciele wielkich majątków opierali się zaprowadzeniu nowych szkół, bo nie chcieli kosztów ponosić. Nauczycieli nie było podostatkiem, bo nie było seminarjów, gdzie się mieli kształcić nauczyciele. Najgorszem było to, iż brakowało wtedy jeszcze prawie zupełnie polskich książek i wogóle wszystkich podręczników potrzebnych przy nauce,

Ks. Gałeczka sam własnym kosztem założył polską drukarnię, pierwszą na Górnym Śląsku, w której na razie drukował polskie pieśni nabożne. Był to pierwszy słaby ale bardzo ważny początek pracy oświatowej dla Górnego Śląska. My sobie dziś tego wcale wyobrazić nie możemy, jakby u nas na Górnym Śląsku wyglądało, gdybyśmy nie mieli własnych polskich drukarni. Praca oświatowa Lompy, księży Ficka, Szafranka, Stabika i innych nie byłaby możebną, gdyby nie było polskiej drukarni. Dawniej te kilka książek, których potrzebował Górny Śląsk, drukowano we Wrocławiu co było bardzo niewygodnem. Teraz, gdy ks. Gałeczka zaczął drukować, pokazało się, jaka to będzie wygoda, mieć pod ręką polską drukarnię. Powtórzyła się historja o jajku Kolumba. Czego bowiem przedtem nikt nie pomyślał, co się zdało być dawniej niewykonalnem a co dziś nam się zdaje zupełnie naturalnem, do czego przedtem się nikt nie odważył, ks. Gałeczka jakoby jednem poruszeniem palca w łatwy i prosty sposób wykonał i wskazał innym drogi, któremi iść trzeba. I rzeczywiście natychmiast zakładano na Górnym Śląsku polskie drukarnie. W Opolu Beelitz od r. 1804 drukował polskie książki. Drukarnię Beelitz prawdopodobnie nabył Feist a z tejże drukarni Feista r. 1816 wyszedł Weilshäuser, który od tego roku drukował polski i niemiecki dziennik urzędowy. W r. 1833 zakupił drukarnię Feista E. Raabe, który w drukowaniu polskich książek około połowy 19 wieku obok Weilshäusera stał się najsławniejszym. Prócz tego istniał jeszcze w Opolu nakład Jana Bonawentury Pohla, który jednak sam nie drukował, ale swoje polskie książki u Weilshäusera albo u Raabego drukować kazał. W roku 1816 powstała w Raciborzu drukarnia Herzoga, który drukował polskie książki, nieco później powstała tam drukarnia Boegnera. Od roku 1819 drukował Neumann w Gliwicach polskie książki, a trochę później założył tamże Landsberger drukarnię. Odtąd już słyszymy coraz to częściej o polskich drukarniach na Górnym Śląsku, które zakładano prawie we wszystkich miastach i miasteczkach. Sprawy tej bynajmniej nam lekceważyć nie wolno. Bo w tej samej chwili, gdy wspominamy o pracy oświatowej Lompy i innych, powinniśmy też pamiętać o zasługach tych, którzy u nas zakładali polskie drukarnie i książki Lompy drukowali. Od tego czasu istnieje na Górnym Śląsku czytelnictwo.

Drukował teraz ks. Gałeczka wszystko, co było mu potrzebnem w szkołach przez siebie założonych. Sam układał polskie pieśni, drukował je i darmo pomiędzy dzieci szkolne i lud rozdawał. I choć my za innymi zwykle powtarzamy, że ułożył ową śliczną pieśń:

Przed Tobą upadamy, Boże Stwórco Panie!
Zmiłuj się a wysłuchaj dziatek twych wołanie:
Zaczynamy ofiarę Twej najświętszej chwały,
Poświęcony niech będzie Tobie ten czas cały,

to Józef Lompa znając księdza Gałeczkę osobiście, pisze o nim, że ułożył on dużo polskich pieśni. Powiada nam Lompa na innem miejscu, że „Beelitz zachęcony przykładem ks. Gałeczki wydrukował kilka tysięcy pieśni przy mszy św. powszechnie używanej „Co nam nakazuje nasza wiara", przedtem bowiem lud nasz podczas publicznego nabożeństwa zaledwie litanję śpiewał".

Zaczynał się teraz tak zwany wiek papierowy, wiek druku, i ks. Gałeczka przewidując, co się święci i poznawając ważność i znaczenie druków, o rozpowszechnienie takowych się starał. W bibljotece poklasztornej w Oleśnie leżało dużo książek, z których nikt nie miał należytego użytku. Ks. Gałeczka nakazał przegląd całej bibljoteki i książki tutaj niepotrzebne między lud rozdzielić. Było to dla Olesna i okolicy wielkiem dobrodziejstwem, że ks. Gałeczka kazał skarby wiedzy, pomiędzy któremi znajdowało się dużo polskich książek, a których by sobie lud sam nie był mógł kupić, darmo rozdzielić pomiędzy chętnych czytelników. Inni przed nim na sprawę tak ważną nie zapatrywali się tak zdrowo i roztropnie jak ks. Gałeczka. Posłuchajmy Lompę, jakie miało skutki rozdzielanie książek pomiędzy lud: „W niedzielę, powiada on, schodzili się mieszczanie do dobrego czytelnika popołudniu lub wieczorem i słuchali najciekawiej kazań o Antychryście itd., po wsiach bawił się lud książką „Echo" zwaną... inni czytali historję o siedmiu mędrcach, lub też żywot św. Patrycjusza itd." Czytanie, jak twierdzi ten sam Lompa, na Śląsku długo zaniedbane albo raczej ugorem leżące, teraz rozwijać się zaczynało.

Zdziaławszy dla Olesna jeszcze dużo dobrego, ks. Gałeczka dnia 18 sierpnia r. 1808 objął probostwo w Łabętach. W łabęckiej parafji ks. Gałeczka troszczył się o szkoły i oświatę ludu w podobny sposób, jak był do tego przywykł w Oleśnie. Dowodem tego były jego częste podarunki pieniężne, które ofiarował na zakupienie polskich książek dla dzieci. Doznał i tu wiele zaszczytów za pracę swoją mającą na oku tylko chwałę Boską i dobro ludu. Jeszcze pod sam koniec życia okazał on swoją szlachetną duszę, gdy chodziło o sprawę, która jak dotychczas żadna inna miała rozstrzygnąć o szczęściu lub nieszczęściu ludu górnośląskiego. Gdy bowiem w r. 1844 na Górnym Śląsku powstał, zapoczątkowany przez ks. Ficka w Piekarach ruch wstrzemięźliwości, to ks. Gałeczka posta-

rał się, aby i w Łabętach założonem zostało bractwo wstrzemięźliwości. Prawie cała parafja do bractwa tego wpisać się dała. Krótko potem umarł ks. Gałeczka dnia 14 marca roku 1845.

Rozprawa w Gazecie Opolskiej (z dnia 20 listopada r. 1917), która na życie i osobę nieznanego nam dotąd ks. Gałeczki rzuca po raz pierwszy trochę światła, kończy się temi słowami: „Choć zaginęła po nim pamięć w oleskiem i kluczborskiem, gdzie tyle dobrego względem oświaty ludu zdziałał, choć zapomniano o nim prawie zupełnie w Łabętach, gdzie kościołowi tyle pieniędzy zostawił, to my, ilekroć mówić będziemy o mężach zasłużonych około rozbudzenia i wskrzeszenia polskości na Górnym Śląsku, zawsze sobie przypomnieć chcemy też ks. Jana Gałeczkę, który należy do najpierwszych szerzycieli polskiej oświaty na Górnym Śląsku“. Albowiem choćby ks. Gałeczka nie miał żadnej innej zasługi, toby na zaszczytne wspomnienie już dlatego zasłużył, że założył pierwszą polską drukarnię na Górnym Śląsku.

Literatura. „Ks. Jan Gałeczka, pierwszy szerzyciel oświaty polskiej na Górnym Śląsku“, w Gazecie Opolskiej z 20 listopada 1917. Dziennik Górnośląski z lat 1848 i 1849 szczególnie w artykułach Lompy o zniesionych klasztorach.

SŁOWO WSTĘPNE.

W niniejszem zestawieniu wspomnienia godnych Ślązaków czytelnik znajdzie mężów z różnych stanów i warunków życia. Spotkasz tu kapłanów, nauczycieli, rzemieślników, robotników i rolników, starych i młodych, dostojników i lichych prostaczków, a o wszystkich się przekonasz, że się chlubnie zasłużyli około naszego Górnego Śląska. Każdy znajdzie tu przykład dla siebie i zachętę, jak sam powinien pracować, aby się przyczynić do podniesienia oświaty, kultury, dobrobytu i sławy krainy, w której się narodził.

Przy zestawieniu książeczki tej wybierałem ze znanych rzeczy to, co uważałem za najlepsze, a od siebie dodawałem to, co uważałem za najstosowniejsze. Gdzie istniała już jakaś literatura, wolałem pisać krótko i na literaturę tę uwagę zwrócić. O niektórych rzeczach czytelnik tu dowie się coś dopiero pierwszy raz. I o tych dałoby się więcej napisać. Z pewnych powodów kierowałem się jednak względami równości.

Niechajby książeczka ta, która zawiera kawał historji naszego wyzwolenia z ciemnoty i niedoli, naszego odrodzenia narodowego, naszego postępu, przyniosła jak najwięcej pożytku na chwałę Boską i na dobro naszego drogiego Górnego Śląska. Oby po przeczytaniu jej w sercu każdego odezwał się głos taki:

Idźże, — i ty czyń podobnie!

II.

KAROL KOSICKI.



Im bezinteresowniej człowiek dla sprawy jekiej pracuje, tem śmielej można o nim powiedzieć, iż intencje jego są szczere. Jednym z najszczerszych bojowników dla sprawy ludu polskiego na Górnym Śląsku był Karol Kosicki. Pół wieku pracował ten zacny mąż i pokazał, że przez systematyczne i wytrwałe postępowanie można dużo osięgnąć.

Urodził się w roku 1788 w Roszkowicach w Kluczborskiem z familji, która, jak sam powiada, z gniazda polskiego swój ród wywodziła ale już była zniemczona. Wyrósł na dobrach rodzicielskich w okolicy wrocławskiej, o polskiej narodowości i mowie nic nie wiedząc prócz tego, co się był nauczył na gimnazjum. Od roku 1813 osiadł na Górnym Śląsku i był właścicielem Wilkowic pod Tarnowicami. Od samego zaraz początku, gdy „się w te polskie strony dostał, powziął szczególne upodobanie dla interesów ludu tutejszego". Nauczył się po polsku i nie najgorzej mówił, co do pisania jednak to dość licho po polsku pisał. Sam nie uważał się za Polaka, ale był, jak pisze, przyjacielem prawa i sprawiedliwości i każdego rodzaju uciski niepotrzebne serdecznie nienawidził. Dlatego nie mógł spokojnie patrzeć na krzywdy, jakie się działy ludowi górnośląskiemu, a przeciwko rugowaniu języka polskiego z życia publicznego walczył bez ustanku.

Po przejściu Śląska pod panowanie pruskie brano na ludność polską o tyle wzgląd, że potrzebne do jej wiadomości rozporządzenia i prawa krajowe ogłaszano równocześnie w języku polskim. Mianowicie gdy ustanowiono rejencję opolską w r. 1816, zaczęła ona wydawać raz na tydzień „Dziennik urzędowy", w którym zawsze wszystkie postanowienia i rozporządzenia, o ile tyczyły się ludności polskiej, ogłaszane bywały w polskiem tłómaczeniu. Re-

dakcją tego tłómaczenia zajmował się do roku 1838 radca szkolny wyznania ewangelickiego, a były radca konsystorjalny Richter. Po jego odejściu z Opola zaprzestano wydawać regularnie tłómaczeń polskich i kiedy niekiedy tylko umieszczano je w „Dzienniku urzędowym". W początkach bywało to częściej, później coraz rzadziej, aż wreszcie od r. 1841 zaniechano tego prawie zupełnie. Kosicki tedy udał się do naczelnego prezydenta Śląska, pytając o powód zaniechania ogłoszeń polskich w rejencji opolskiej. W odpowiedzi kazano mu się zwrócić wprost do rejencji opolskiej. Uczynił to i odebrał odpowiedź, że ponieważ ludność śląska, tylko po polsku umiejąca, nie ma dostatecznych wiadomości realnych i językowych, zachodziłaby obawa złego zrozumienia obwieszczeń rządowych, gdyby po polsku wychodziły; dla uniknienia przeto tego, tudzież dla zaoszczędzenia niepotrzebnych zachodów i kosztów, zaprzestano zupełnie tłómaczeń polskich. Wskutek prośby, którą Kosicki zaniósł wprost do króla samego, w r. 1849 naczelny prezydent Śląska dał Kosickiemu stanowcze zapewnienie, że nadal wychodzić będzie osobny polski dodatek do „Dziennika urzędowego". Wyszły w r. 1850 dwa numery, potem jednak dalszego wydawania takiego dodatku znowu zaniechano. Na nieustanne zażalenia i przedstawienia z tego powodu odpowiedział wreszcie w r. 1854 Kosickiemu minister spraw wewnętrznych, że uwzględnienie języka polskiego w rejencji opolskiej jest niepotrzebne: raz dlatego, że lud polski wogóle „Dzienników urzędowych" nie czytuje, potem dlatego, że nie leży w interesie rządu utrwalić różnicy języka polskiego. Walka Kosickiego z rejencją opolską trwała do roku 1859 i Kosicki osięgnął tyle, że dodawano tłómaczenia wtedy owedy, potem zaś ich zupełnie zaniechano. (Żałuję, że o sprawie tej obszerniej tu pisać nie mogę. Dokładnie można o tem czytać w książce Ludomira, „W obronie polskości Górnego Śląska" albo też u Karwowskiego „Polacy i język polski na Śląsku").

Podobne zatargi z rządem miał Kosicki w sprawie szkolnictwa, twierdząc ustawicznie, że polski lud jedynie za pomocą polskiego języka można wychować. Aż do przybycia ks. Bogedaina nie wiele jednak on osiągł. Szkoły przekabacono na zakłady niemczenia — zamiast wychowania — ale Kosicki dowiódł, że postępy niemczyzny w żadnym stosunku nie stoją do wysiłków w tym względzie poczynionych i że ignorowanie polskiego języka w szkole zostaje niepotrzebnem a w skutkach swych szkodliwem drażnieniem ludności. Wkrótce cały świat z przerażeniem musiał się przekonać, że gwałtowne narzucanie ludności naszej cudzego (niemieckiego) języka fałszywą było drogą do oświaty. Albowiem, gdy w latach

1847 i 1848 przyszły nieurodzaje a skutkiem tego głód i tyfus, lud górnośląski zaniedbany w nędzy swojej sam nie wiedział co począć, bo czytać nie umiał albo nie rozumiał co czytał. Podług zdania wszystkich światłych ludzi jedyną przyczyną tej strasznej nędzy górnośląskiej była fałszywa oświata czyli germanizacja.

Wskazując na przyczyny obecnej klęski, Kosicki teraz z podwójną gorliwością domagał się równouprawnienia ludności polskiej. Z wielkim naciskiem podkreśla, że aby doprawdy podnieść kulturalnie lud górnośląski, który z przyrodzenia jest pojętny, dowcipny i wielkie ma zdolności, byłby największy czas, zastósować względem niego inny system. Żąda, żeby wszystkie rozporządzenia i prawa ogłaszano także po polsku, żeby żaden urzędnik tu nie otrzymał posady, który nie włada zupełnie obu językami, żeby w czysto polskich miejscowościach w szkołach ludowych wyłącznie po polsku wykładano, tam zaś, gdzie oba języki są w używaniu w szkole też obiema się posługiwano, żeby w rozprawach sądowych posługiwano się tylko tym językiem, którym strony władają a w tym języku też spisywano protokoły i wyroki. Z tą samą miłością i stanowczością zajął on się też szkołami wyższemi i żądał, żeby we wszystkich szkołach wyższych, gimnazjach a przedewszystkiem seminarjach na Górnym Śląsku regularnie i dostatecznie uczono też języka polskiego. Czy Kosicki coś osiągł? Otóż wiemy, że przesiedlono do Opola jako radcę szkolnego i rejencyjnego ks. Bogedaina. Ten wkrótce doprowadził do tego, że we wszystkich szkołach górnośląskich zaprowadzono język polski, a to w przeważnej części jako język wykładowy. W seminarjach używano tyle języka polskiego, iż dr. Scherenuly w książce „das Lehrerseminar in Oberglogau“ powiada, że czas ten był największym upadkiem niemczyzny i była obawa iż seminarja staną się zupełnie polskie. Co do gimnazjów, to Kosicki otrzymał od ministra taką odpowiedź, „że już uczyniono pierwsze kroki przygotowawcze dla zaprowadzenia języka polskiego jako przedmiotu wykładowego w gimnazjach w Opolu, Gliwicach i Raciborzu, gdyż władze uważały zawsze za rzecz pożądaną, aby urzędnicy z ludnością nieznającą mowy niemieckiej mogli się porozumieć w języku macierzyńskim“. Aby tem więcej osięgnąć i aby to, co osiągnięto, podtrzymać, łączy się z Lompą i innymi szlachetnymi mężami i zakłada „Towarzystwo pracujących dla oświaty ludu górnośląskiego“, którego to towarzystwa wyraźnem celem było popieranie wszelkiemi środkami sprawy ludu górnośląskiego: oświaty jego i równouprawnienia. Przewodniczącym czyli „dyrektorem“ jednak nie był Kosicki, lecz Lompa. Podobną organizacja był „Klub narodowy“, tak-

że w Bytomiu, którego celem było skupienie i kształcenie sił narodowych mową i pismem, wzajemne oświecenie się o bierzących wypadkach, nadto o potrzebach społecznych i towarzyskich. Towarzystwo to trzeba uważać za pierwsze polskie na Górnym Śląsku i Kosicki sam kładzie nacisk na to, iż jest przewodniczącym pierwszego polskiego towarzystwa na Górnym Śląsku. Powstały nadto w tym czasie na Górnym Śląsku jeszcze inne stowarzyszenia, jako to „Klub demokratyczny" i „Liga polska". Wszędzie widzimy Kosickiego pracującego bądź na stanowisku zwykłego członka bądź członka zarządu, nie mającego, jak sam powiada, na oku żadnych względów i powodów osobistych, ale dobro ludu.

Jest to najpiękniejszą cechą charakteru Kosickiego, że był szczery i bezinteresowny. Gdy rozwiązano sejm i dotychczasowy poseł ks. Szafranek z władzą duchowną z powodu postawienia jego kandydatury niemiłe miał zatargi — księża z raciborskiego go zadenuncjowali — Kosicki w klubie narodowym wygłosił mowę przedwyborczą, w której się rozwodził o przyszłych wyborach i pokazywał, kogo trzeba obrać, a więc o ile możności człowieka znającego się na sprawach górniczych albo przynajmniej na prawie górniczem, ale przedewszystkiem człowieka, któryby się starał z „mądrością i nieustanną czynnością" o narodowość i wiarę wśród wyborców. Sam o sobie powiedział, że nie mógłby im obiecać, aby głosował za uwolnieniem „posesji ludziej" od wszelkich podatków, które są winni chłopi gruntowemu państwu. Wskutek tej szczerości nie został też do sejmu obrany, bo nie chciał sobie postąpić jak niektórzy, którzy przed wyborami ludowi obiecują nie wiem co, a potem w Berlinie nie starają się o sprawę ludu, ale głosują z „panami" i za rządem. Kosicki nie był tak ambitny, aby się tem zbyt martwił, że się do Berlina nie dostał, miał bowiem pracy w różnych towarzystwach podostatkiem, a praca ta bynajmniej nie była łatwą, gdyż z Wilkowic droga do Bytomia na liczne posiedzenia, na które się regularnie stawił, nie była zbyt bliska. Nieczynnym go nigdy nie widzimy.

Kosicki wydawał w latach 1851—1853 nakładem własnym drukowany u Heneczka w Piekarach „Poradnik dla ludu górnośląskiego". Gazeta ta dochodziła do 3000 egzemplarzy. Objaśniał tam najważniejsze przepisy prawne i rozporządzenia władzy i podawał też cenne wskazówki w sprawach gospodarczych i rzemieślniczych. Najwięcej sam pisywał, ale ponieważ piśmiennego języka polskiego nie znał dostatecznie, pisał po niemiecku, a Lompa i Smołka tłómaczyli artykuły jego na polskie. Jego staraniem też i kosz-

tem wyszła książka Lompy „Praktyczna nauka o hodowaniu drzew owocowych“.

Tak Kosicki sam przed ludem górnośląskim niósł „kaganiec oświaty“, pracował niezmordowanie i dużo też osiągł. Był ludowi wiernym obrońcą w ciężkościach; silną tarczą powstrzymującą wszystkie strzały nieprzyjacielskie; był ludowi orędownikiem wpływowym u możnych tego świata i poczytywał sobie za obowiązek i zaszczyt wyjednać sprawiedliwość kopciuszkowi górnośląskiemu. Umarł jako 75-letni starzec w roku 1863.

Literatura. Ludomir, w obronie polskości Górnego Śląska, rozdział o Kosickim. Dziennik Górnośląski 1848 i 1849. Karwowski, Polacy i język polski na Śląsku.

III.

Ks. JAN ALOJZY FICEK.



Około nas jest wielu, których nazywać można dobrymi lub dzielnymi ludźmi, lecz mało takich, którymby się godziła nazwa doskonałych lub znakomitych. Jednym z nadzwyczajnych ludzi był proboszcz piekarski, ks. Jan Alojzy Ficek, ziomek nasz, nazywany powszechnie apostołem górnośląskim.

Narodził się Jan Ficek dnia 10 maja 1790 roku we Wielkim Dobrzyniu w powiecie opolskim. Rodzice ubodzy przeznaczyli go do stanu nauczycielskiego. Gdy już miał objąć posadę i już był w podróży, musiał nocować w karczmie, w której pito, tańcowano i hulano. Zabolało wtedy serce Jana, zapragnął ratować ten lud, czuł, że najwięcej dla ludu jako ksiądz zdziałać może i postanowił zostać księdzem. Poszedł do Wrocławia, do wuja swego, ks. kanonika Sobiecha i prosił go, aby mu dopomógł do przeprowadzenia zamiaru.

Wuj przyobiecał pomoc, lecz dopiero wtenczas, skoro bratanek przejdzie o swych siłach trzy klasy gimnazjalne. Poszedł tedy Jan Ficek do swego brata, będącego kapelanem pod Opolem, a choć ten miał lichą posadę, to jednak dopomógł młodszemu bratu, który o głodzie i chłodzie doszedł do czwartej klasy gimnazjalnej. Ks. Sobiech widząc silną wolę i moc charakteru bratanka, wziął go do siebie, i już teraz gładką była droga Janowi do kapłaństwa. Skończył gimnazjum i uczył się teologji we Wrocławiu, a później w Krakowie, dokąd się udał za pomocą ks. dziekana Włodarskiego w Kamieniu, starszego brata ks. biskupa Włodarskiego. W Krakowie też otrzymał Jan święcenia kapłańskie w roku 1817. Trzy lata był kapelanem w Czeladzi pod Siemianowicami, sześć lat proboszczem w Ziemięciach, a w r. 1826 przeniósł się jako proboszcz do Piekar.

Cóż zrobił ks. Ficek nadzwyczajnego? Przedewszystkiem nie tylko tę lub ową miał cnotę kapłańską, lecz wszystkie i to w naj-

wyższym stopniu. Miłosierdzie jego było tak wielkie, że wszystko, co miał pod ręką, rozdawał ubogim; potajemnie brał matce chleb z śpiżarni a dawał żebrakom. Szczególną zasługą jego było też, że wyszukiwał bogobojnych i zdolnych młodzieńców i sposobił ich do stanu kapłańskiego. Nabożność jego była nadzwyczajną i już na zewnątrz się okazywała, czy to gdy odprawiał Mszę św., czy to przy modlitwie. I w nocy chodził do kościoła na adorację. Nim zaczął pisać jaki ważny list, zawsze przedtem upadł na kolana i modlił się do Ducha świętego. Szczególnem odznaczał się nabożeństwem do Matki Boskiej. Nazywał się „najniższym sługą" lub „pieskiem Najśw. Marji Panny". Niezmordowany był w nauczaniu dzieci i starszych w kościele, w szkole, w słuchalnicy, w której całemi dniami przebywał. W jedzeniu i piciu był nader skromny i przez siedm lat wcale mięsa nie jadał.

Najwięcej bolało serce ks. Ficka, że Piekary jako miejsce odpustowe miały lichy i mały stary kościół drewniany. Postanowił wybudować Najśw. Marji Pannie, która była patronką tego miejsca, nową świątynię. Ale trudności było nie mało, gdyż nie miał żadnych funduszów i musiał dopiero pieniądze zebrać z wielkim trudem; było też przeszkód wiele z innych stron. Do samego króla i ministra musiał się udać w tej sprawie. Nareszcie pokonano wszelkie trudności i przystąpiono do budowy. Budowa postępowała nad spodziewanie prędko, gdyż ks. Ficek budował kościół ten, jak mawiał, „na akcje płatne w niebie"; i pieniędzy napływało podostatkiem. Odezwa ks. Ficka opiewała, że zamierza budować w Piekarach kościół Matki Boskiej na akcje po 5 talarów, których kapitał Pan Bóg a procenta Matka Boska będą wypłacać w niebie i które zaręczone być mają wotywą, mającą się odprawiać za akcjonarjuszów w każdą sobotę na potomne czasy. Rzemieślników zatrudnionych przy budowie kościoła umiał nakłonić do tego, że podczas pracy nie klęli i nie pili wódki, lecz co tydzień wspólnie byli na Mszy św. odprawianej na intencję budowy.

W roku 1849 sam książę-biskup Diepenbrock odwiedził nowo wybudowany kościół i poświęcił go. Przy tej sposobności, widząc tłumy ludu i rzewne nabożeństwo Górnoślązaków, wyrzekł owe pamiętne słowa, godne dobrego pasterza, że „dałby jeden palec swej ręki za to, gdyby mógł do ludu przemówić w ojczystym jego języku".

Ks. Ficek należy do tych pierwszych mężów na Górnym Śląsku, którzy całym duchem i całem sercem obejmowali wszystkie sprawy ludu i dla niego z poświęceniem działali. Dawniej nie troszczono się tak ogólnie o lud, jak w naszych czasach. Mówiono, iż

wystarczy, jeżeli lud jest pracowitym, wszystko inne jest zbytecznem. Dlatego też nic nie czyniono w celu podniesienia tegoż ludu pod względem moralnym, umysłowym i gospodarczym. Ale w ostatnich latach zaszła jakaś zmiana. W tej mierze, jak przybysze niemieccy pogardzili tutejszym ludem, wybitniejsi ziomkowie zaczęli się nim opiekować, bronić go, pomagać mu i oświecać go. I ks. Ficek należy do tych szlachetnych obrońców ludu. Poznał on, że teraz nie tylko słowem ustnem, ale i drukowanem trzeba działać na lud i prowadzić go. Również uznał to ks. Ficek, że wiarę i oświatę a nąukę można gruntownie szerzyć jedynie za pomocą języka ojczystego, którego żadnym innym językiem nie można zastąpić bez szkody dla serca i ducha ludu. W tym celu postarał się on najprzód o nowe wydanie „Żywotów Świętych" pisanych przez ks. Piotra Skargę. Gdy w przeciągu kilku lat sprzedano cały nakład we wysokości 5 000 egzemplarzy, ks. Ficek w „Tygodniku Marjańskim" zachęcał do nabywania „Matki Świętych Polski" ks. Jaroszewicza, które to dzieło też jego staraniem i w jego nakładzie na nowo zostało wydanem. Nawet wrocławski biskupi urząd polecał nowe wydanie żywotów, gdyż wydanie z roku 1843 było zupełnie wyczerpanem. Ks. Ficek, aby mieć polską drukarnię pod ręką, namówił jakiegoś Heera, aby takową w Piekarach samych założył. Drukarnię tę później nabył znany wszystkim Teodor Heneczek, dobry Polak, który coraz to więcej książek drukował i w połowie XIX wieku stał się najgłośniejszym polskim drukarzem i nakładcą na Górnym Śląsku. „W zaciszu wiejskiem Piekar, tak pisał w r. 1869 Zwiastun górnośląski, już od roku 1847 istnieje „Wydawnictwo katolickich dzieł", nakładem z początku ks. Ficka, a później własnością drukarza Heneczka". „Czem jest Lipsk dla całych Niemiec, tem są Piekary dla górnośląskiego ludu polskiego", pisał ks. Bączek w roku 1868.

Ks. Ficek w celu podniesienia pobożności ludu i aby go zachęcić do czytania, sam wydał cały szereg książek i broszur polskich, jako to „Miesiąc Maj", „Książeczkę jubileuszową" i wiele innych. Wziął w ręce swoje wydanie pierwszego na Górnym Śląsku większego polskiego śpiewnika, mianowicie znanego nam wszystkim pieśniozbioru, „Śpiewnik Piekarski czyli Piekoszewskiego" młynarza z pod Piekar, który to śpiewnik z czasem stał się tak ulubionym, że „Kancjonały" dotychczas u nas używane, straciły rację bytu, bo lud tylko śpiewniki kupywał. Niedość na tem! Ks. Ficek od października roku 1848 wydawał w Piekarach osobną gazetę p. t.: „Tygodnik katolicki", który z tego powodu, iż miał być organem także przez ks. Ficka założonego „Towa-

rzystwa Marjańskiego", nazywał się u ludu „Tygodnikiem Marjańskim". Pisywali do niego przeważnie OO. Jezuici, bawiący wtedy u ks. Ficka w Piekarach.

Wiedział i rozumiał ks. Ficek, że każdy naród i każdy człowiek ma swój język ojczysty od Boga, że to jest kawał prawa przyrodzonego, Boskiego, że nikt nie ma prawa odbierać języka ojczystego bliźniemu, że też nikt nie ma prawa, odrzucać go od siebie. Kto to czyni, grzeszy przeciwko Bogu, samemu sobie i bliźniemu. Nie jest ten obrońcą i przyjacielem ludu górnośląskiego, kto nie broni i nie utrzymuje języka ojczystego polskiego ludu tutejszego. Ks. Ficek jako prawdziwy kapłan Boży, stał mocno przy języku ojczystym polskim. Rozumiał on też, w jak ścisłym związku stoi religja, moralność i charakter człowieka z językiem ojczystym. Pamiętne są jego słowa, że „tak długo silnej wiary katolickiej pomiędzy ludem górnośląskim, jak długo języka ojczystego". Jak wielką prawdę wypowiedział, o tem się każdy codzień przekonać może. Z uszczerbkiem języka ojczystego polskiego cierpi i wiara. Że mamy wiele ludzi o nieszlachetnych charakterach, temu po wielkiej części winna pogarda języka ojczystego, która szpeci całego człowieka wewnętrznego.

Największy pomnik wystawił sobie ks. Ficek przez to, że zaprowadził i przyczynił się do rozszerzenia bractwa wstrzemięźliwości na Górnym Śląsku. Stąd nazwa ks. Ficka jako „apostoła Górnego Śląska". Troszcząc się o zbawienie dusz nietylko w swojej parafji, lecz całego ludu górnośląskiego, który gromadami do Piekar pielgrzymował, widział ks. Ficek, jak lud polski jest pełen serdecznej wiary, lecz jako uczynki jego nie zawsze stosują się do wiary. Słusznie upatrywał w gorzałce jedną z najgłówniejszych przyczyn tego rozbratu pomiędzy wiarą a życiem. Już zawsze się modlił do Matki Boskiej o nawrócenie pijaków i wzywał innych do tej modlitwy. W roku zaś 1844 w święto Matki Boskiej Gromnicznej ogłosił założenie bractwa wstrzemięźliwości, którego reguły zestawił za pomocą ks. Brzozowskiego z zakonu OO. Reformatów. Do założenia Bractwa Trzeźwości przyczyniła się znacznie następująca okoliczność: Na rok 1844, bądźto przez omyłkę, bądźto z lekceważenia świąt katolickich, naznaczono jarmark w Bytomiu na sam dzień 2 lutego, t. j. na uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej. Wiadomą zaś rzeczą, że dla ludu nigdzie nie ma więcej sposobności do pijatyki i obżarstwa, jak właśnie na jarmarkach. Aby więc święto Matki Boskiej uchronić od takiego znieważenia i zbezczeszczenia, ks. Ficek w sam dzień jarmarku bytomskiego rozpoczął pierwsze misje przeciwko pijaństwu na Górnym Śląsku.

Za pierwszem zaraz kazaniem kilka set ludzi wyrzekło się palonych trunków. Sąsiedni i dalsi księża zaczęli za przykładem ks. Ficka szerzyć bractwo, tak iż w sześciu tygodniach liczyły te bractwa 30 tysięcy, a w dwóch latach 200 tysięcy członków. W roku 1851 Bractwo Trzeźwości zostało przez papieża Piusa IX uznane i odpustami obdarzone.

Do wzmocnienia cnót i wiary katolickiej, do podniesienia moralności i oświaty pomagali ks. Fickowi zakonnicy, a mianowicie OO. Jezuici, pomiędzy innymi ks. Antoniewicz, którego misje po różnych parafjach górnośląskich dziś jeszcze są w pamięci ludu. Owoce wojny przeciw pijaństwu, niewierze i innym niecnotom trwały aż do czasu walki kulturnej. Młode pokolenie wyrosłe i wychowane w duchu wrogim Kościołowi katolickiemu nie stara się jak ojcowie nasi o wstrzemięźliwość, pobożność, obyczajność i szanowanie języka ojczystego i dlatego, można powiedzieć, idzie na własną zgubę. Patrzmy na przykład ks. Ficka i przypomnijmy sobie jego słowa!

Życie swe doczesne zakończył ten szlachetny i świątobliwy kapłan dnia 18 lutego 1862 roku, lecz duch jego, owoce życia i prac jego trwają na ziemi i w niebie.

Literatura. O ks. Ficku niemal każda gazeta górnośląska coś pisała. Wyczerpującego życiorysu nie posiadamy. Najobszerniejszą jest książeczka ks. Pressfreunda o ks. Ficku, dziś rzadka i przestarzała. W czasie druku niniejszego życiorysu, ks. Drobry T. B. S. pisze obszernie o ks. Ficku w „Skarbie rodzinnym".

IV.

JÓZEF LOMPA.



Lompa był człowiek pod każdym względem oryginalny. Spisał z wszystkich Ślązaków najwięcej książek a dziwną rzeczą w tem jest to, iż nikt nie wie, ile ich właściwie napisał. Kiedy Janusz Nowakowski wymienia 35 dzieł Lompy, to Chociszewski i Grim podawają liczbę 50—53, a Schlesische Provinzialblätter nawet 100 książek Lompy. Pisano o nim najwięcej, nawet sam w roku 1855 pisze do „Gwiazdki Cieszyńskiej" własny życiorys. A najdziwniejszą rzeczą jest to, że nikt go dotychczas dobrze nie ocenił, niektórzy nawet o nim pisali legendy, jak np. prof. Malinowski, który w „Ateneum" (r. 1877) twierdził, iż Lompa, którego działalność literacka najwięcej jest znaną wśród naszej publiczności, był z powołania stolarzem.

Narodził się nasz Józef Lompa dnia 29 czerwca 1797 roku z małomieszczańskiej rodziny w Oleśnie. Tu też do szkoły chodził i młodość swoją do czternastego roku przeżył. Nauczywszy się podczas lat szkolnych na organach grać, w czternastym roku życia przyjął w klasztorze OO. Reformatów w Wieluniu posadę pomocnika organistowskiego, aby równocześnie uczęszczać do wyższej szkoły OO. Pijarów w temże samem mieście. Tu jednak nie długo pozostał, ale uciekł do domu, choć mu nauka bardzo dobrze szła. Był przez kilka lat pisarkiem, które to zajęcie w r. 1818 za namową ojca porzucił, aby wstąpić do seminarjum nauczycielskiego we Wrocławiu. Naukę tu otrzymał co prawda niemiecką, lecz języka polskiego nie zapomniał ni też zaniedbał. Po dwuch latach zdał tam chlubnie egzamin i został nauczycielem. Piastował urząd nauczycielski krótki czas w Cieszynie na Śląsku średnim, potem otrzymał posadę nauczyciela i organisty w Łomnicy pod Olesnem, stąd przeniósł się do Lublińca a po dwuch latach do Lubszy

w powiecie lublinieckim. Tu dopiero osiadł na stałe jako nauczyciel i organista. Czasy lubszeckie to najważniejszy okres jego działalności dla sprawy polskiej. Po trzydziestoletniej pracy dzielnej i owocnej, wydalono Lompę z służby w roku 1851 — powody usunięcia go z urzędu on sam inaczej podaje, aniżeli inni mówią. Po wydaleniu ze służby przeniósł się do posiadłości swojej, małego domku w Woźnikach, gdzie nastały dla niego czasy bardzo ciężkie. Pełen zgryzoty, nosił się nawet z myślą wstąpienia do klasztoru OO. Paulinów w Częstochowie, umarł 29 marca r. 1863, licząc lat 65. Dziś po grobie jego nie ma śladu żadnego i tylko najstarsi jeszcze przypominają sobie miejsce, na którem Lompę pochowano.

Zobaczmy teraz, co uczynił dla polskości na Śląsku. Musimy tu sobie uprzytomnić to, że za czasów jego było bardzo trudno o książki polskie na Śląsku. Brakowało wszelkich książek szkolnych, ale też tanich książek dla ludu. Chciał więc Lompa temu brakowi zaradzić i zaczął pisać i wydawać tanie książki. Wielkich i drogich z powodu ogólnego ubóstwa i wielkiej wartości pieniędzy niktby nie był kupywał. Napisał więc „Krótki elementarz dla szkół", „Książkę do czytania dla klasy średniej", „Krótkie wyobrażenie historji Śląska", „Krótki rys geografji Śląska", „Krótki rys historji naturalnej", „Wzory kaligraficzne", „Wzory rysunkowe", „Rachownik piśmienny dla szkół elementarnych", „Przewodnik dla rachunków pamięciowych". Dla starszych, od których wymagał, aby tego, co się w szkole nauczyli, nie zapomnieli ale się dalej kształcili, napisał „Pielgrzyma z Lubopolu, t. j. „16 nauk zawierających dzieje Śląska", „Przysłowia i mowy potoczne ludu polskiego w Śląsku", „Zbiór wierszy" (4 zeszyty), „Przewodnik dokładny dla zwiedzających Częstochowę", „Historja o Gryzeldzie", „Hirlanda", „Kruszce srebrne", „Ofiara miłości niewczesnej", „Historja o szlachetnej Meluzynie", „Mały górnik", „Chłopiec niewidomy", „Rękojmia", „Przeobrażenie Abu-Zajda" itd. Pisał książki religijne jak np. „Pieśni nabożne", „Zbiór pieśni podczas Bożego Ciała", „Nabożeństwo na wszystkie dni postne", pisał książki do użytku gospodarczego „Wskazówki do stosownej i korzystnej uprawy wiejskich warzywnych ogrodów", „Skazówka do korzystnego chodowania chmielu", „Nauka o zakładaniu żywych płotów", „Nowe udoskonalenie w pszczelnictwie" itd. Pisał nietylko dla dzieci, dla ludu i dla gospodarzy, ale też dla świata uczonego książki i rozprawy naukowe jak np. „Klechty, przysłowia i pieśni ludu śląskiego z melodjami i kostyumami", „Zbiór pieśni z melodjami", „Pięćdziesiąt kwiatów na niwach górnośląskich zebranych", „O śląsko-polskiej mowie", „Granice mowy polskiej w Śląsku pruskim", „Dzieje

śląskie", „Spis książek polskich w Śląsku pruskim wydanych", „O zniesionych klasztorach na Śląsku" itd.

I tak moglibyśmy bez końca wymieniać, co Józef Lompa napisał, a jednak nie objęliśmy całej literackiej spuścizny jego, gdyż dziś dużo z prac jego przepadło bez śladu. Wystarczy o nim powiedzieć, że jest on patryarchą piśmiennictwa polsko - śląskiego, piśmiennictwa ludowego; on pierwszy piśmiennictwo polskie na Śląsku wyprowadził po za granicę wyłącznie religijnej treści. Jest prawdą, że już i przed Lompą byli u nas tacy, co dla ludu pracowali, co nawet po polsku pisali. Ale prace ich były jednostronne, nie wychodziły po za dziedzinę religijną, pisarstwo ich było szczupłe i nieznaczne. O stworzenie oświaty rodzinnej a przez nią życia polskiego nikt się nie pokusił. Pracownikom tym zwykle nie chodziło ani o całokształt interesów ludu, ani w szczególności o polskość ludu. Lompa był pierwszym u nas pisarzem, co tę jedność narodową z ludem polskim w sobie odnalazł w całości i odczuł żywo, i pokochawszy lud polski, jako swych braci, pisał i pracował jak rodak dla rodaków. Książki Lompy rozchodziły się wśród ludu śląskiego w tysiącach egzemplarzy i dla tego, możemy o nim powiedzieć, że przyczynił on się w a l n i e do obudzenia oświaty ludu na Śląsku.

Ale wszelka praca oświatowa jednostek na niczem spełznie, jeżeli jej się nie obejmie organizacją. Jak bowiem mąka, choćby najlepsza, nie wiele wartości ma dla nas, dopóki jej piekarz nie przerobi na chleb, tak też lud, choć oświecony, nie wiele znaczy, dopóki go nie złączysz organizacją w jednego olbrzyma, mającego jedną wolę i jednego ducha. Lompa tę pracę jednoczącą lud śląski razem z innymi szlachetnymi mężami rozpoczął i w kierunku do jej celu niemało narzód prowadził. Jako jeden z najpierwszych przyłącza on się do „Towarzystwa pracujących dla oświaty ludu górnośląskiego". W Lubszy, gdzie mieszkał, zakłada filje „Ligi narodowej", która się miała starać o całokształt kulturalnych interesów ludności polskiej mieszkającej pod berłem pruskiem. Zachęca do zakładania czytelni i sam, aby dać dobry przykład, do istniejących bibljotek na Górnym Śląsku składa przez siebie wydane książki. Zakłada z Smołką „Towarzystwo nauczycieli Polaków", w którem nauczyciele polscy Górnego Śląska mieli mieć oparcie przeciw zakusom germanizacyjnym. Urządza różne zjazdy i wiece albo pomaga do ich urządzenia i obrabia ludzi do podpisywania petycji do sejmu pruskiego, w których energicznie żądano uznania praw przyrodzonych. Na to został nauczycielem, aby nie tylko dzieci uczyć, ale starszych oświecać i do lepszego bytu im dopomagać.

Istniało jeszcze tak zwane poddaństwo chłopów czyli pańszczyzna, niewiele różniąca się od niewoli. W r. 1807 zapowiedział rząd pruski zniesienie poddaństwa, obawiając się, że to uczyni Napoleon, skoro pobije Prusy, aby chłopów dla siebie był pozyskać. W roku 1811 rzeczywiście wyszła ustawa znosząca pańszczyznę. Ale chłopi polscy nie rozumieli ustawy, ułożonej w języku niemieckim, a gdzieby byli mieli sposobność przy pomocy tłómaczów dowiedzieć się o treści jej, tam panowie długo ustawę przed chłopami ukrywali. Gdzie zaś chłopi rzeczywiście dowiedzieli się o swojem prawie, tam ich podchodzono różnemi wykrętami, fortelami i gwałtami. Lompa przeciwdziałał krzywdom takim ile mógł. Pouczał chłopów i zachęcał, aby się domagali swoich praw, pisywał im prośby do sądów i przestrzegał ich, aby w prostocie swej nie za byle co pozbywali się praw. Narobił sobie przez to wiele nieprzyjaźni u panów i urzędników, skazano go też raz za taką robotę na 10 dni więzienia albo 10 talarów grzywny. Ale nigdy tego nie żałował, owszem cieszył się, że został karany za obronę prawa i sprawiedliwości. Smutno więc było na Śląsku. Lud się przyzwyczaił do nędzy cielesnej i duchowej i nie przychodziło mu na myśl, iżby dola jego mogła się poprawić, i nie pragnął żadnego polepszenia. Usiłował więc Lompa pomódz rodakom, by doszli do wolności, do majątku, by mógli żyć po ludzku. W tym celu pouczał ludzi, jak mają gospodarzyć, jak przyrodę wyzyskiwać, jednem słowem: jak według najnowszego wypróbowanego sposobu postępować. Nie tylko sam u siebie we własnym ogrodzie i na własnem polu przykładem swoim uczył wieśniaków rozumnej uprawy roli i oszczędności w gospodarstwie, ale jakeśmy już słyszeli, w tym celu też wiele stosownych książek napisał. A czego w książkach wydać nie mógł — gdyż książki w owych czasach były drogą rzeczą — to ogłaszał w różnych gazetach i czasopismach. Nie tylko ogłaszał on artykuły jako okolicznościowy współpracownik w gazetach, ale sam takowe redagował. Od dnia 31 marca 1849 r. z Smołką jako odpowiedzialny redaktor podpisuje w Bytomiu wychodzący „Dziennik Górnośląski". Przedtem już w Oleśnie wydawał od listopada r. 1848 z Kuhnertem „Telegraf", a w Lublińcu „Przewodnik wiejski", poźniej znowu od r. 1851—53 z Smołką kieruje gazetą, którą wydawał Kosicki w Piekarach u Heneczka p. t. „Poradnik dla ludu górnośląskiego". Równocześnie pisuje artykuły i rozprawy do gazety ks. Bogedajna wychodzącej w Opolu p. t. „Gazeta polska dla ludu wiejskiego" albo krótko nazywana „Gazeta Wiejska", do wychodzącego w Pszczynie „Tygodnika polskie-

go" Szemla, do „Przyjaciela Ludu" w Lesznie, do „Schlesische Provinzialblätter" i do wielu innych.

Lompa więc nauczał i oświecał lud, pomagał mu wszędzie gdzie mógł, polepszał jego dobrobyt, podnosił cywilizację jego i kulturę, prowadził go do świadomości i godności swej, łączył w szeregi, sposobił i zapalał do rozumnej, wytrwałej walki o prawa swoje i o lepszą przyszłość. Przed Lompą nikt tego nie uczynił tak ogólnie i wszechstronnie. Słusznie przeto można nazywać Lompę nie tylko nestorem piśmiennictwa ludowego, ale też patrjarchą ruchu polskiego na Śląsku. Gdyby „Lampa" nie była świeciła, ludzie by może jeszcze dziś w ciemności chodzili.

Literatura. Kto chce o Lompie więcej się dowiedzieć, niechaj czyta następujące rozprawy: Prus, Józef Lompa, jego życie i prace; Bytom 1913. Ksiądz, Józef Lompa, zasłużony działacz, krzewiciel ducha polskiego na Śląsku; Opole 1913. Obie te prace wymieniają całą literaturę o Lompie. Ludomir, W obronie polskości Górnego Śląska; Opole 1918 w trzecim rozdziale: Józef Lompa.

V.

Ks. SZYMON PERZYCH.

Przegląd Poznański z roku 1849 w słynnym artykule „Nieco ze Śląska“ pomiędzy różnymi mniej lub więcej znanymi i około Górnego Śląska zasłużonymi mężami wspomina też o księdzu Perzychu jako autorze Kancjonału, czyli jak dziś mówimy śpiewnika. Zdawałoby się, że to jest wszystko, co na razie o ks. Perzychu powiedzieć można, iż wydał kancjonał, a jednak ma on większe znaczenie. Osoba ks. Perzycha dziś już prawie jest zapomniana, a jednak zasługuje on, abyśmy go sobie znowu przypomnieli, gdyż był to człowiek nadzwyczaj inteligentny i dzielny i w swoim rodzaju jedyny, który pomysłami wielu wyprzedził.

Szymon Perzych narodził się 6 października r. 1804 w morawskiej części Śląska, w Beneszowie w Raciborskiem. Był więc z pochodzenia Morawianinem czyli Czechem. Wyświęcony na kapłana dnia 13 stycznia r. 1828, był najpierw kapelanem w Krawarzu, następnie w Hulczynie, potem rządzcą parafji znowu w Krawarzu. Przyjęty do djecezji wrocławskiej przez księcia-biskupa Szymońskiego, stał się w r. 1831 dyrektorem seminarjum nauczycielskiego w Głogówku, mając dopiero 27 lat. Nadzwyczaj utalentowany i władający kilku językami nadawał się do urzędu tego jak rzadko kto. Pracował też z wielkiem zamiłowaniem, tak iż władza z niego była zupełnie zadowolona. Zakupił w celu założenia szkółki drzewek owocowych wielki stósowny ogród, potem dla seminarzystów, aby w razie choroby mieli trochę wygody, urządził osobną salę, nareszcie zamierzał przy seminarjum dla przyszłych nauczycieli urządzić drugą klasę elementarną, w której seminarzyści w nauczaniu dzieci praktycznie mieli być kształceni.

Ks. Perzych miał jednak jedną ułomność, a mianowicie kochał on wesołe towarzystwo i lubił jak się to mówi żyć, co się nie zgadzało z życiem bądź co bądź klasztornem, na jakie seminarjum było skazane. Seminarjum w Głogówku w tych czasach jeszcze było umieszczone w gmachu pofranciszkańskim. Wymagał ks. Perzych od władzy różnych zmian. Ponieważ jednak przełożona władza warunków tych wykonać nie chciała, ks. Perzych zrzekł się posady w Głogówku i objął 23 października roku 1832 probostwo

w Tworkowie, prezentowany przez pełnomocnika spadkobierców barona Eichendorfa. Ale i w Tworkowie nie długo pozostał. Od roku 1839 prowadził on życie niespokojne i przebywał na coraz to nowych miejscach. Widzimy go w Rudyszwałdzie, na Górze św. Anny, potem w Ostropie, w Gorzycach, w Żorach i Piekarach, a nareszcie umiera dnia 16 lutego roku 1866 w Baborowie.

Ks. Perzych był, jeżeli tak rzec wolno, pierwszym panslawistą na Śląsku, w każdym razie był on słowianinem w całem słowa znaczeniu. Wśród Morawian i Polaków pracował w słowiańskim duchu, bo w obuch narodach widział on braci, którym trzeba w równej mierze pomagać przeciw zachłanności niemieckiej. Był więc na ówczas dość rzadkiem i niezwykłem zjawiskiem i stąd to miał on wrogów. Będąc jeszcze księdzem w Krawarzu, pokazał ks. Perzych swoją słowiańską duszę w całej pełni. Vyhlidal w książce „Cechvé v Pruském Slezsku" mówi o słowiańskiem szkolnictwie na Górnym Śląsku i powiada, że słowiańskie szkolnictwo na Górnym Śląsku jest Łazarzem do grobu włożonym w przeciwieństwie do szkolnictwa na Śląsku austrjackim, gdzie ono jest Łazarzem z grobu powstającym. Ale i tu na Górnym Śląsku były dla szkolnictwa słowiańskiego „złote czasy", kiedy to księża życzliwi słowiańskiemu żywiołowi jako rewizorzy szkół do tego się przyczyniali, aby młodzież poznała i pokochała swój język ojczysty i w nim się należycie wykształciła. Na potwierdzenie słów swoich wymienia Vyhlidal ks. Szymona Perzycha, który należał do najpierwszych i najlepszych księży starających się o pielęgnowanie w szkole języka ojczystego i który nawet z okazji poświęcenia nowej szkoły w Krawarzu ułożył osobną stosowną pieśń, którą dzieci miały śpiewać, byleby nie musiały śpiewać w nierozumiałym dla nich języku niemieckim, ale w swoim morawskim języku ojczystym. Pieśń ta składa się z pięciu zwrotek i zaczyna się słowami: „Vysles Otce mily s nebe..."

Będąc potem dyrektorem seminarjum w Głogówku ks. Perzych znowu znalazł sposobność, aby coś dla języka morawskiego uczynić. Widział on bowiem, że dla seminarzystów polskiego języka odbywały się w ich ojczystym języku niektóre ćwiczenia, próby itd., choć tego w tych latach jeszcze nie było zbyt wiele. Ale jednak było coś. Tymczasem dla seminarzystów języka morawskiego, których w seminarjum też było sporo, ćwiczeń takich nie było. Ubolewał nad tem bardzo i starał się wszelkiemi siłami, aby przy seminarjum ustanowiony został osobny morawski nauczyciel. Niestety nie wykołatał on wtedy u rządu nic, albowiem dopiero później ustanowiono tam morawskiego nauczyciela Jurecką. Tym-

czasem ks. Perzych sam jako dyrektor seminarjum dbał o wykształcenie uczni swoich w morawskim języku. Było to bardzo potrzebnem, gdyż morawska część Górnego Śląska pod względem narodowym zawsze najwięcej była zaniedbana. Byli tu co prawda czasami księża po słowiańsku czujący np. taki ks. Lelek, ks. Pawlas i ks. Bażan, z których pierwszy wydawał nawet czeską gazetę. Oj, co się też ci księża napracowali! Zakładali po wsiach bibljoteki, które z powodu braku stosownych morawskich książek zapełniali też polskiemi. Po upadku morawskiej gazety ks. Lelka rozpowszechniali oni polski „Dziennik Górnośląski" i tak dzielnie za nim agitowali, że miał on tu w morawskiej części Górnego Śląska więcej abonentów, aniżeli w polskiej części. Ale wszystko to było zrobione na marne, później za mało starano się o tę ważną placówkę słowiańszczyzny, morawska część Górnego Śląska została zaniedbaną a nasi bracia Morawianie byli na ciele słowiańskiem najohydniejszą bolączką. Dla tego winniśmy ks. Perzychowi wdzięczność, że on jako pierwszy zamierzał postawić tu tamę przeciw fali germańskiej. Więc nie zupełnie bez powodu powiedzieliśmy o nim, że swojemi pomysłami wyprzedził on wielu.

W tej chwili jednak, skoro ks. Perzych dostał się do polskiej części Górnego Śląska zmienił on swoją taktykę, nie działał już w czeskim, ale w polskim duchu. Stanął natychmiast po stronie tych księży, zresztą nielicznych, którzy za przykładem Lompy postanowili do ludu zanieść oświatę. Jednym z najważniejszych środków szerzenia oświaty wówczas było rozdawanie druków: książek i gazet. Ks. Perzych w tym celu sam wydał kilka książek, gdyż rzeczywiście wtedy był brak książek a chęć do czytania się ogromnie podniosła. Wydał w roku 1841 „Zupełny katolicki kancjonał i książka modlitewna", w r. 1851 nowy „Kancjonał", w roku 1859 u Nowackiego w Mikołowie „75 Homilji na wszystkie niedziele i święta całego roku" itd. Ostatnią tę książkę „w hołdzie poświęca" sześciozwrotkowym wierszem ks. biskupowi Bogedajnowi. Pisał też książki czeskie i jedną niemiecką. Nadto pracował dla gazet polskich wówczas na Górnym Śląsku wychodzących. Czytamy np. w „Tygodniku katolickim" piękną, bardzo prostym językiem pisaną naukę o pogrzebaniu kapłanów katolickich. Jednem słowem, nie zakopał swojego talentu, ale gdziekolwiek mógł pracował dla oświaty ludu. Pracował jako dobry słowianin dla Polaków w polskim, dla Czechów w czeskim duchu. Ponieważ jednak najważniejszą część życia przepędził wśród ludu polskiego, dlatego też większa część prac jego dostała się n a m.

Ks. Perzychowi ze wszystkiego, co uczynił, niektórzy robią zarzuty. U góry słyszeliśmy, że się jedni gorszyli z powodu jego zbyt wesołego charakteru, później dowiadujemy się, że niektórzy mu też jego pracę oświatową wzięli za złe. Powiadają, że pisał „na zamówienie i na zarobek". Podług mojego zdania zarzut taki jest bardzo głupim. Bo pytam się, któż to już na Górnym Śląsku na pisaniu się zbogacił? — Nie! ks. Perzych nie pisał dla zarobku, ale pisał, bo czytał w gazetach skargi, iż niektórzy za mało zajmują się oświatą, czytał prośby i zachęty, aby światlejsi ludzie z swojego ducha innym też coś oddali. Więc nie gniewać, ale cieszyć powinniśmy się, że ks. Perzych pisywał. Ale niestety świat jest tak zaślepiony, że widzi się tylko u bliźniego każdą choćby najmniejszą ułomność, a co najgorszem to to, iż w zaślepieniu takiem nie widzi się dobrego, co bliźni czyni. Więc pytajmy się, co on jeszcze dobrego uczynił? Otóż słyszymy, iż lubił on pieśń nadewszystko. Gdziekolwiek mógł, pielęgnował on pieśń ludową, pieśń uczciwą. We szkole zachęcał dzieci, w towarzystwie i przy zabawach dorosłych, aby nie zapomnieli o swojskiej pieśni, żeby śpiewali to, co od przodków słyszeli, żeby się nowych pieśni douczyli, żeby śpiewali przy różnych sposobnościach, przy pracy w polu, przy paszeniu bydła, przy zabawie i podczas obchodów weselnych. Pieśń nigdy nie zaszkodzi, ale owszem pomoże człowiekowi, rozweseli i da o niejednem zapomnieć. Był więc ks. Perzych obok Józefa Lompy pierwszym pielęgnowaczem polskiej pieśni ludowej. Dopiero o wiele później Rogier i inni zabrali się do pracy przez Lompę i ks. Perzycha zapoczątkowanej.

Literatura. Dr. Schermuly. Das Lehrerseminar in Oberglogau; Dr. Weltzel: Geschichte des Archipresbyterats Ratibor.

VI.

Ks. JÓZEF SZAFRANEK.



„Tak w ornacie jako i w świeckim ubiorze, jako obywatel i jako poseł zawsze będę się starać o to, aby zachować serce dla ludu i czynami iście kapłańskiemi tę wolę moją chcę też okazać", tak mawiał ks. Szafranek a ci, którzy go znali, mogą poświadczyć, że nie było w słowach tych żadnej przesady. Był rzeczywiście osobistością, która swoją wolą i stanowczem wykonaniem zamiarów niby silny filar podnosiła się w społeczeństwie górnośląskiem i stanowiła punkt oparcia w burzliwych a przełomowych czasach.

Józef Szafranek narodził się jako syn młynarza dnia 19 lutego roku 1807 w Gościęcinie, niemieckiej kolonji, powiatu kozielskiego. Był więc z pochodzenia jak ks. Bogedain Niemcem, co trzeba tem bardziej podkreślić, iż on jako urodzony Niemiec tyle dla polskiego ludu uczynił, gdy tymczasem niejeden Górnoślązak polskiego pochodzenia zaparł się swojej narodowości i własnych rodaków może nawet upośledzał.

Już w młodym wieku, tak pisała o nim gazeta „Chata" (Lwów 1875), okazywał on wielką ochotę do nauki i pracy, to też łatwo można było przewidzieć, że z niego pożyteczny będzie człowiek. A kto idzie drogą cnoty, Bóg mu pewnie dopomaga. Był wzorem dla innych uczniów, gdy siedział na szkolnej ławie. Ucząc się przykładnie, przechodził z łatwością z jednej klasy do drugiej, aż ukończył wszystkie klasy. Umysł jego był świetnie wykształconym, dusza miała podostatkiem hartu, by wytrzymać różne koleje losu.

Święcenia kapłańskie otrzymał w r. 1831 i był najprzód kapelanem w Grzędzinie, potem kuratusem w Raciborzu. Zasłynął wnet głęboką nauką, darem wymowy, rzadką szlachetnością i dziwną dobrocią charakteru. Te przymioty szczytne utorowały mu drogę

do probostwa. Otrzymał je w r. 1840 w mieście Bytomiu. Parafja, do której należało kilka wsi, była jedną z największych w djecezji wrocławskiej. Bytom sam miał wtedy trochę nad 4000 mieszkańców przeważnie po polsku mówiących, którzy dzięki zapobiegliwości swojego proboszcza starającego się o oświatę mieli ducha postępu. Polityczne wypadki śledzono z największem zainteresowaniem. Ruchy konstytucyjne odgrywające się w kraju i poza granicami jego wywierały na ludność Bytomia wielkie wrażenie. I Bytom miał swoje powstanie. Było to w środę 10 lub 11 marca r. 1848, gdy „powstańcy“ kryjący się w domach sąsiednich nagle zalali rynek i wszczęli bunt przeciwko ogólnemu uciskowi domagając się równouprawnienia z klasami uprzywilejowanemi. Jakoby na znak umówiony przyłączyli się do nich górnicy przychodzący w roboczych swoich ubraniach z strony Szarleja. Hałas trwał tak długo, aż ułani nadjeżdżający gliwicką ulicą na rynek buntowników rozpędzili i do przylegających ulic powganiali. Gdzieindziej jednak było gorzej, nie obeszło się bez rozlewu krwi. Król widział się zmuszonym, nieco z swoich praw ludowi upuścić. Rozporządzono wybory do sejmu czyli jak wtedy mówiono do zgromadzenia narodowego, które razem z królem miało nadawać prawa dla kraju. Ks. Szafranek, który w niedługim czasie po objęciu rządów parafji potrafił sobie zaskarbić względy wszystkich, cieszący się zaufaniem ogólnem wszystkich warstw ludności Bytomia i okolicy, dnia 8 maja roku 1848 przez powiat wyborczy bytomski został wybrany jako poseł do nowego sejmu. Nie zawiódł on oczekiwań swoich wyborców jak inni posłowie również przez lud obrani a głosujący z rządem przeciwko ludowi, ale został tem, czem go obrano, wiernym obrońcą polskiego ludu. Zasiadywał na znak tego z drugim w tymże okręgu obranym posłem gospodarzem Mildnerem z Janowa pod Mysłowicami na lewicy sejmu. Dnia 22 maja rozpoczęto w Berlinie posiedzenia, mające obradywać nad konstytucją dla państwa pruskiego. Zawrzało w całym kraju jako w ulu: potworzyły się bowiem komitety, kluby, towarzystwa radzące nad konstytucją i podawające posłom wskazówki i życzenia swoje. Dzień 13 czerwca r. 1848 widział u nas na Śląsku pierwszy wiec ludowy, pierwszy wiec polski na Górnym Śląsku. Zjechali się do Bytomia mężowie zaufania ludu naszego, aby wynurzyć swoje życzenia wobec posłów swoich. Zadanie zastępowania w Berlinie tych praw ludu swojego przypadło ks. Szafrankowi. Zaszczytnie wywiązał się z niego poseł bytomski, który odrazu rozwinął w sejmie żywą działalność w obronie narodowości polskiej ludu śląskiego. W myśl owego wieca bytomskiego postawił on wniosek o przywrócenie prawa dla

języka ojczystego w szkole i w urzędach na całym Śląsku polskim. Powołując się na uroczyste oświadczenie zgromadzenia narodowego we Frankfurcie z dnia 31 maja r. 1848, że wszystkie szczepy na ziemiach związku niemieckiego mają mieć zupełną swobodę narodowego rozwoju i zażywać równouprawnienia w kościele, szkolnictwie, literaturze, administracji wewnętrznej i sądownictwie, ks. Szafranek żądał dla Górnego Śląska 1) aby dla polskiego języka zagwarantowano swobodne używanie i pielęgnowanie w szkole; 2) żeby nieznajomość niemieckiego języka nie była przeszkodą do objęcia jakiegośkolwiek urzędu; 3) aby prawa, ukazy, rozporządzenia i oświadczenia zawsze też po polsku były ogłaszane; 4) aby nauka w szkołach ludowych w okolicach polskich tylko po polsku się odbywała; w miejscowościach zaś dwujęzycznych obok niemieckich należy też polskie szkoły budować; 5) w sądownictwie mają pozwy, skargi, rozprawy, wyroki, protokóły i wogóle całe urzędowanie ustne i piśmienne dla każdego w ojczystym języku, dla Polaków więc po polsku się odbywać; 6) w okolicach polskich tylko tacy urzędnicy mogą być ustanowieni, którzy polskim językiem dostatecznie władają; 7) dla wykształcenia takich urzędników należy natychmiast we wszystkich szkołach wyższych i gimnazjach jako też na wszechnicy wrocławskiej gruntowną naukę języka polskiego przyjąć na plan lekcji a założyć także odpowiednie seminarja nauczycielskie; 8) prezydjum zgromadzenia narodowego powinno się postarać na koszt państwa o natychmiastowe przetłómaczenie protokołów na język polski jako też o druk i rozdzielenie tych przekładów pomiędzy odnośnych posłów, aby polscy obywatele równie jak niemieccy mogli się poinformować o działalności zgromadzenia a szczególnie swoich posłów. Tymczasem przesłano ks. Szafrankowi petycje z powiatów bytomskiego, gliwickiego, lublinieckiego, raciborskiego, rybnickiego, pszczyńskiego, kozielskiego, oleskiego i strzeleckiego. Zarządy przeszło 200 gmin w imieniu pół miljona polskich Górnoślązaków prosiły o prawną obronę ich języka ojczystego. Petycje te ks. Szafranek dnia 24 sierpnia podał zgromadzeniu do wniosku swojego i prosił o pierwszeństwo dla tegoż na jednem z najbliższych posiedzeń. Obrady zgromadzenia tylko żółwim krokiem postępowały i wniosek ks. Szafranka czekał na załatwienie. Tymczasem zgromadzenie przez króla w listopadzie zostało zamknięte, a 5 grudnia wcale rozwiązane. Odbyły się nowe wybory, przy których ks. Szafranek został w dwóch okręgach wybrany, a to w Bytomskiem i w Żorach z powiatów pszczyńskiego i rybnickiego. Ten dwukrotny wybór ks. Szafranka można niejako uważać za protest przeciwko księciu-biskupowi, który ks. Szafranka za zbyt

śmiałą obronę praw ludu zasuspendował. W kwietniu r. 1849 posłowie znowu zjechali się w Berlinie. Ponieważ jednak tymczasem zostały zaprowadzone różne ulgi na korzyść języka polskiego, ks. Szafranek dnia 18 kwietnia wniosek swój powtórzył już tylko częściowo. W uzasadnieniu ks. Szafranek wspomniał o tem, jak to niedawno temu, gdy głód i tyfus trapiły ludność górnośląską, spieszono jej z pomocą z wszech stron; obecnie prosi o chleb duchowny dla sześciu powiatów, które zastępuje, bo „m a c i e r z y ń s k a m o w a j e s t k l u c z e m d o w s z e l a k i e g o m o r a l n e g o i p o l i t y c z n e g o w y c h o w a n i a l u d u. (Pamiętne te słowa powiedział ks. Szafranek w polskim języku). Lud górnośląski, tak skończył, dość się już nacierpiał głodu; czas największy nadszedł, żeby po siedmiu chudych latach nastąpiło siedm lat tłustych dla niego".

Równie odważnie bronił ks. Szafranek Górnoślązaków przed wyzyskiwaniem i obciążeniem przy ostatecznem uregulowaniu uwłaszczenia chłopów. Znalazł bez wątpienia najprostszy sposób do rozwiązania całej kwestji; zaproponował bowiem odezwę, którą miało wydać zgromadzenie narodowe do wszystkich posiedzicieli dóbr i dziedziców tej treści, że mają z patrjotyzmu na zawsze zrzec się na ręce zgromadzenia narodowego wszelkich praw do pańszczyzny. A gdy tego projektu jego nie przyjęto, ks. Szafranek starał się usilnie, aby przynajmniej oszczędzano chłopów górnośląskich, bo inaczej — powiada on 5 grudnia r. 1849 — przy prawach o zniesieniu pańszczyzny i uwłaszczeniu chłopów bylibyśmy podobni do lekarzy, którzy choremu coprawda pomagają do zdrowia, ale za to tyle każą sobie płacić, że mu nic do życia nie zostaje.

Niestety ks. Szafranek tylko dwa lata zastępował w Berlinie jako poseł lud górnośląski. Zniechęcony ciągłem dokuczaniem i przykrem doświadczeniem, jakiego doznał z strony władzy kościelnej, nie ubiegał się już o zatrzymanie godności poselskiej. Miał on i bez tego w domu pracy dość, bo nie marnował drogiego czasu, ale pracował gdziekolwiek i kiedy się dało. Przedewszystkiem leżała mu na sercu oświata ludu. W latach 1843 i 1844 pisał szereg artykułów do Schles. Kirchenblatt, w których zachęcał ludzi dobrej woli do szerzenia polskich elementarzy i wogóle książek, do założenia towarzystwa w celu szerzenia elementarzy. Jego gorliwym zabiegom zawdzięcza Bytom swoje gimnazjum w roku 1867 otworzone, o które ks. Szafranek od roku 1842 nieustannie się starał. Może jako pierwszy na Górnym Śląsku, bo już od r. 1844 wydawał przez kilka lat polskie kalendarze. Za przykładem ks. Ficka zaprowadził w Bytomiu bractwo trzeźwości i gorąco w nim pracował. Wydał w r. 1846 dla parafji bytomskiej śpiewnik i w r. 1855 żywoty

dwóch świeżo w poczet błogosławionych policzonych Jezuitów błog. Jana Britto i błog. Andrzeja Boboli, apostoła unji, którego w r. 1657 Kozacy na Polesiu zamordowali. Ufundował przy gimnazjum gliwickim stypendjum jako nagrodę dla dwuch uczniów pierwszej klasy za najlepszą pracę z nauki religji, z których jedna ma być w polskim, druga w niemieckim języku pisana. Wogóle zachęcał ludzi dobrej woli do umysłowej pracy, jak się w życiorysie ks. Laxego jeszcze dowiemy. Należał do założycieli „Ligi Polskiej" w Berlinie, tu na Górnym Śląsku starał się o założenie związków i towarzystw ludowych. Jednem słowem pracował usilnie nad moralnem podniesieniem ludu polskiego na Górnym Śląsku, nad polepszeniem jego dobrobytu i oświaty.

Wspomniana „Chata" charakterystykę ks. Szafranka streszcza w te słowa: „Będąc wiernym zasadzie swojej, że macierzyńska mowa jest kluczem do wszelakiego moralnego i politycznego wychowania ludu, starał się najtroskliwiej o ustalenie i pielęgnowanie języka ojczystego, który Prusaków tak kłuje w oczy. Ażeby budzić zamiłowanie do języka ojczystego, w którym najprzód wymawialiśmy słodkie słowa ojca i matki, w którym najprzód błagaliśmy Boga o błogosławieństwo i szczęście w naszej pielgrzymce życia, Ksiądz Józef pisał książki polskie, nakładał aby wychodziły z druku, bo mu chodziło o to, iżby się one jak najliczniej dostawały pod słomiane strzechy. A więc nietylko sam pisał i wydawał, ale nadto jeszcze urządzał własnym kosztem księgozbiorki pożyteczne i rozdawał książki budujące starszym i dzieciom, dlatego też piszą, że ciągle zachęcał, prowadził, zachęcał, pocieszał i czuwał nad zbawieniem dusz powierzonych pieczy swoich owieczek. On lud nasz uczył po polsku się modlić i śpiewać, po polsku żyć i pracować i po polsku czuć, broniąc z wytrwałością żołnierza opuszczonego stanowiska. To też owoce działalności tego prawdziwego apostoła naszego spotkać można na każdym kroku: pobożność, moralność, trzeźwość, rządność ludu naszego na wzór służyć mają innym dzielnicom polskim".

Zacny ten kapłan umarł po długich cierpieniach dnia 4 maja roku 1874, gdy już wrzała na całej linji walka kulturna. Wtedy nawet „Katolik" zadowolił się krótkim zapiskiem: „Ks. proboszcz Szafranek umarł, mąż wielce zasłużony w każdym względzie. Spokój jego duszy!" Tem więcej i wyraźniej pisały gazety mające cośkolwiek więcej wolności. „Chata" opisując pogrzeb ks. Szafranka, drukowała te słowa: „Kościół katolicki utracił w nim najwierniejszego swego sługę i duszpasterza, okolica najzacniejszego obywatela i członka, Polska jednego z najzasłużeńszych mężów, który

bez najmniejszego poparcia z kraju i na własną rękę przez pół wieku blisko w cichości pracował nad odrodzeniem zapomnianego ludu górnośląskiego, który wskrzesił do życia, zostawiając po sobie dzieło, za które naród i przyszłość wdzięczną mu być powinna. Na krańcach ziemi naszej zgasła gwiazda. Pożegnał ojczyznę w chwili najpotrzebniejszej kapłan-widz, którego imię złotemi literami wypisane być powinno w dziejach walki naszej z krzyżactwem..." Tem więcej też powinno pamiętać o nim obecne pokolenie, które przechodzi podobnie wielki czas, jakim był rok 1848. Powinno brać przykład z jego odwagi w obronie skarbów narodowych i śmiało żądać uznania dla języka ojczystego, tej drogiej po przodkach spuścizny.

Literatura. Kto chce cośkolwiek więcej czytać o ks. Szafranku, niech czyta: L u d o m i r, W obronie polskości Górnego Śląska, rozdział o ks. Sz. Ś w i a t ł o (bytomskie) w pierwszym roczniku: Życiorys ks. Szafranka.

VII.

Ks. ANTONI STABIK.



Pomiędzy tymi mężami, którzy około odrodzenia Górnego Śląska położyli jakoweś zasługi i których pamięć dlatego lud nasz polski ze czcią przechowuje, ks. Stabik należy do najczęściej wspominanych. Początki jego pracy oświatowej sięgają czasów, kiedy jeszcze nie wielka liczba życzliwych ludzi nad podniesieniem ludu pracowała, a zgon jego nastąpił w porze, kiedyśmy już jako tako wzrokiem objąć mogli owoce blisko pół wiekowej pracy kulturalnej. Ks. Stabik w tem wszystkiem miał cześć zasług i dlatego jest on nam drogi.

Narodził się Antoni Stabik w sam dzień swojego patrona św. Antoniego pustelnika, to jest 13 czerwca r. 1807 w Mikołowie z rodziców pobożnych, choć nie zamożnych. Uczęszczał najprzód do szkoły miejskiej w Mikołowie a dopiero po ukończeniu tejże oddali go rodzice według zwyczaju, niestety dziś jeszcze na Górnym Śląsku istniejącego, ale nie polecającego się, do gimnazjum w Gliwicach. Tam jednak dzielny młodzieniec jako i później we Wrocławiu podczas nauk uniwersyteckich odznaczał się bystrym rozumem i wielką pilnością, tak iż już w 26 roku życia dnia 12 maja r. 1833 został na kapłana wyświęcony. Pierwszą posadę otrzymał w rodzinnem mieście. Tu w Mikołowie przez dziewięć lat był prebendarzem, i równocześnie szczerym pomocnikiem i serdecznym przyjacielem księdza proboszcza Warwasa. Swoją uprzejmością i jeszcze więcej potęgą słowa zdobył sobie serca wszystkich parafjan, równie ze wsi jako i z miasta, będącego wówczas jeszcze zupełnie polskiem, tak iż pozostał po nim wielki żal, gdy objął w r. 1842 probostwo w Łące pod Pszczyną. Tu jednak mu się wcale nie podobało, gdyż był towarzyski, był przywykł do pracy wielkich rozmiarów — Mikołów wtenczas był może największem probostwem w djecezji — a w Łące tego wszystkiego nie miał. Dlatego z ra-

dosnem sercem stąd odchodził, aby w dniu 16 grudnia roku 1846 objąć probostwo w Michałkowicach w Bytomskiem. Tu miał, co prawda, trochę więcej pracy, gdyż parafja ta wówczas obejmowała prócz innych wsi także Siemianowice i Laurahutę, ale miał on tu do pomocy wiernie przywiązanych kapelanów i dlatego mógł on też nieco czasu poświęcić pracy oświatowej poza kościołem.

Już przedtem, nim się do Michałkowic dostał, wydał na r. 1846 w Gliwicach „Kalendarz katolicki". Ks. Szafranek na Górnym Śląsku był pierwszy, który wydawał kalendarze polskie, ks. Stabik był drugim. Podziwiać musimy oględność tak ks. Stabika, jak ks. Szafranka, że się zabrali do wydawania tak praktycznych i pożytecznych druków, jakiemi są właśnie kalendarze. Kalendarz bowiem poniekąd w familji jest najlepszym doradcą, jest nierozłącznym przyjacielem familji, do którego się chętnie zaglada w najrozmaitszych okolicznościach życia. Niektórzy gazet nie czytają, a jednak kalendarz czytają, gazety się może nie przechowuje, ale kalendarz musi być, bo trzeba dóń zajrzeć, kiedy członek familji zachoruje albo bydło w chlewie, trzeba się z niego dowiedzieć, jaka będzie pogoda, kiedy i gdzie będzie najbliższy jarmark itd. A szczególnie o kalendarzu ks. Stabika, który wychodził przez kilka lat, Przegląd Poznański (r. 1849) pisał, iż „ma pod względem doboru artykułów wielkie zasługi". Ciekawą byłoby rzeczą, napisać historją kalendarzy polskich na Górnym Śląsku i pokazać daleką a uciążliwą drogę, jaką kalendarze nasze przebyły, począwszy od kalendarzy księży Szafranka i Stabika, drukowanych tylko w kilku setkach egzemplarzy, aż do kalendarzy Miarki i „Katolika", których rozchodzą się po świecie corocznie setki tysięcy.

Ponieważ dalej ks. Stabik wiedział, że lud bardzo chętnie czyta opisy cudzych krajów, a szczególnie Ziemi świętej, w której żył i umarł Pan Jezus, przeto w r. 1846 napisał „Pielgrzymkę do Jerozolimy i na Górę Synai roku 1831, 32 i 33 odbytą przez O. Józefa Geramba, trapistę". Nadto wydał w r. 1847 „Opis ziemi świętej". Literatura polska opisów pielgrzymek do ziemi świętej jest bardzo obfita. U nas na Górnym Śląsku ks. Stabik był poprzednikiem wszystkich tych, którzy pisali o ziemi świętej, jak np. ks. Damrot, „Opis ziemi św." (1873), ale i też tych, którzy opisali pielgrzymki osobiście odbyte, jak np. ks. Marcinek z Bienkowic „Opis pielgrzymki do ziemi św. (w czasopiśmie „Towarzystwa Bożego Grobu" 1869), Józef Gój „Opis pielgrzymki do ziemi świętej (Piekary 1906) i Józef Gallus „Wspomnienie z pielgrzymki mojej do ziemi św." (Opole 1909). Do tego samego rodzaju należą jeszcze dwie książki ks. Stabika: „Wspomnienia z podróży do Włoch Górnych i Dolnych" i „Opis

podróży do Oberamergau i tamtejszych przedstawień męki Zbawiciela". Samo się przez się rozumie, że ks. Stabik wydał też jak wszyscy ówcześni „literaci" książki potrzebne do życia ascetycznego czyli do nabożeństwa. Znamy jego „Modlitwy do Najświętszego Sakramentu" i jego „Filoteę czyli drogę do życia pobożnego św. Franciszka Salezjusza (!); od roku 1847 do 1862 wyszły trzy wydania. I względem tej ostatniej książki możemy i musimy powiedzieć, że szczęśliwy był pomysł ks. Stabika, że podał do czytania ludziom właśnie tę książkę w polskim języku, która obok „Naśladowania Chrystusa" Tomasza z Kempis należy do najwięcej czytanych. Do literatury religijnej trzeba także policzyć jego „Najnowszy cud w Piekarach" (1849), „Książeczkę jubileuszu czyli nauki i modlitwy na jubileusz roku pańskiego 1865" i „Książkę jubileuszową na jubileusz papieża w r. 1875".

Że taki pisarski talent, jakim był ks. Stabik, wspierał też dziennikarstwo nasze, łatwo domyśleć się można. Jeżeli otworzymy najstarsze polskie gazety, jakie na Górnym Śląsku wychodziły, to widzimy tam, jak np. w „Tygodniku" ks. Ficka, artykuły i wiersze ks. Stabika. Później pisywał do „Zwiastuna" i do „Katolika", jak to czynili zresztą wszyscy księża, którym leżało na sercu dobro ludu górnośląskiego i którzy jako tako umieli po polsku pisać. Ale ks. Stabik pisywał też do gazet i czasopism poza Górnym Śląskiem wychodzących, aby uwagę zwrócić na tutejsze opłakania godne stosunki. O cóż to chodziło, gdy dawniej jakiś ksiądz w gazecie zabrał głos? Nie o tak zwaną „wysoką politykę", ale o interesa ludu polskiego na Górnym Śląsku. To czytamy, że trzeba się starać o wydanie elementarzy polskich dla ludu, że trzeba ewentualnie w tym celu założyć osobne towarzystwo, czytamy często o szkolnictwie na Górnym Śląsku, jakiem ono jest a jakiem być powinno, o szkodzie i niebezpieczeństwie szkół symultannych. I czy praca ta dziennikarska co skutkowała? Owszem, była skuteczną, bo wiemy, że naówczas osiągnięto stosunkowo wiele.

Najważniejszą jednak rzeczą w dziedzinie literackiej było to, że ks. Stabik może jako pierwszy na Górnym Śląsku pisywał polskie wiersze. Było to coś niesłychanego, że się ktoś odważył u nas robić wiersze w tym języku, który był u niektórych w pogardzie i nad którego wytępieniem niektórzy z wytężeniem wszystkich sił ciała i duszy pracowali. Nieliczne są coprawda pamiątki wierszowania, które z owych czasów do nas się dostały. Ale że pisano wiersze, rzeczą jest pewną, i przypomnieć tylko trzeba wiersze Jana Gajdy, wcale nie złe pieśni księdza Ignacego Lisowskiego i kilka prób wierszy bezimiennych poetów zachowanych w Dzien-

niku Górnośląskim. Więc i ks. Stabik, który był, jak swego czasu pisał „Przegląd Poznański", „jeden z najlepiej piszących po polsku Ślązaków", wsiadł na Pegazusa i zaczął wierszować. Już w roku 1848 zebrał wiersze dotąd napisane w książkę „Żarty nieżarty, czyli wierszoklectwa wesołych i poważnych marzeń". Był to zbiór anakreotycznych wierszyków, napisanych w sposobie i wartości Krasickiego. Dziś rozumieć nie możemy, jak Łucjan Malinowski (w Ateneum 1877) mógł napisać „iż ks. Stabik usiłował był stworzyć oddzielny język piśmienny i literacki polsko-śląski, oparty na języku ludowym". Widocznie prof. Malinowski sam nie czytał wierszy ks. Stabika, ale być może, że mu ktoś coś podobnego podszepnął i Malinowski uwierzył, bo w innym razie nie byłby on człowiek krytycznego zmysłu coś takiego napisał. Bynajmniej ks. Stabik nie usiłował stworzyć oddzielnego piśmiennego języka polsko-śląskiego, ani też takim językiem nie pisał, ale pisał, jak się to mówi, normalnie po polsku. Na dowód słów tych chcemy przytoczyć choć przedmowę z „Żartów nieżartów":

Komużbym miał poświęcić te moje marzenia,
Jeśli nie wam współbracia i wam przyjaciele?
Wszak to wam wynurzałem w tych pieniach życzenia,
Bądź to na imieniny lub inne wesele. —
Przyjmijcie więc łaskawie te humoru płody!
Jeśli jakie znajdziecie w nich zadowolenie,
Będę za moje prace dosyć miał nagrody,
I jeszcze wam niejedno napiszę marzenie...

Niestety! Ks. Stabik, ściśle mówiąc, obietnicy swojej nie wykonał. Bo choć jeszcze wiele, bardzo wiele napisał takich i temu podobnych „marzeń", to jednak nie postarał on się już o to, aby zostały w jedną całość zebrane i późniejszym pokoleniom przechowane. Najgorszym już jest to, że nie ma wcale widoków, aby kiedykolwiek wszystko odnalezione i w jedno połączone być mogło. Wielka szkoda, że nie posiadamy ich całkowitego zbioru, bo lud zawsze chętnie czyta zgrabne a proste wiersze ks. Stabika, jak to wykazuje ten fakt, iż takie wiersze jak „Gliwiczanki", „Wdzięczne zwierzęta", „Amen kamieni", „Chłopskie wesele" ciągle jeszcze drukowane bywają.

Wypadałoby jeszcze słówko powiedzieć o ks. Stabiku jako o sławnym mówcy. Był on z powołania kaznodzieją i nikt mu z współczesnych księży pod tym względem nie dorównywał. Co do wymowy, popularności słowa i wewnętrznej siły był on niedościgły, jak był jedyny na Górnym Śląsku w życiu towarzyskiem

co do gościnności, uprzejmości i wesołości. Wszędzie go lubiano i mile widziano: W starym kościółku piekarskim miał on ostatnie kazanie, a w nowym on jako pierwszy Słowo Boże głosi. Wszyscy do niego chętnie spieszyli, aby mu swoją miłość i uszanowanie pokazać. Gdy w r. 1883 ks. Stabik obchodził złoty jubileusz kapłaństwa, obdarzono go aż sześciu wierszami, po części bardzo cennemi. Umarł mając przeszło 80 lat, dnia 3 września 1887 roku, żałowany przez cały Górny Śląsk. Pamięć po nim nie zaginęła, choć już żyje nowe pokolenie, i też nie zaginie, póki będą żyć ludzie, którzy potrafią ocenić zasługi tego zacnego i pod każdym względem czcigodnego kapłana, które położył około podniesienia Górnego Śląska.

Literatura. Ksiądz, ks. Antoni Stabik, Bytom 1912.

VIII.

Ks. BISKUP ADRJAN WŁODARSKI.



Przy sposobności poświęcenia nowego kościoła w Bytomiu w roku 1886 hr. Ballestrem wypowiedział toast na cześć ks. biskupa Gleicha i powiedział między innemi te słowa, iż lud górnośląski z czułą miłością i wielkiem uszanowaniem przywiązany jest do ks. biskupa Gleicha, ponieważ umie on doń przemówić w jego języku. Jest o tyle w tem prawdy, że lud też patrzy na jakość języka i na usposobienie serca. Mieliśmy wielu biskupów na Śląsku, którzy byli „dwujęzycznymi", a lud dawno o nich zapomniał, chyba to tylko o nich niemile wspomina, że mieli niepolskie, może nawet wrogie nam serce. Ale o kim lud jeszcze nie zapomniał i też może nie zapomni, to są biskupi Bogedain i Włodarski. To byli, tak mówi lud, n a s i biskupi.

Adrjan Włodarski narodził się jako syn młynarza 2 marca roku 1807 w Hajdukach w Bytomskiem, należącem naówczas do djecezji krakowskiej. Do gimnazjum uczęszczał w Gliwicach. Mając lat 19 udał się do Wrocławia na uniwersytet i słuchał tam teologji, odznaczając się wśród współakademików tem, że władał znakomicie łacińskim językiem, a przedewszystkiem polskim. Dnia 25 marca r. 1830 został wyświęcony na kapłana i otrzymał pierwszą posadę w Lublińcu, gdzie był przez dwa lata kapelanem. Dostał się potem do Pyskowic, gdzie w r. 1833 po śmierci ks. proboszcza Wycika już od dłuższego czasu niedomagającego, sam stał się proboszczem. Pracy miał w Pyskowicach dość, gdyż był tutaj sam a obowiązku żadnego nie zaniedbywał ale wykonał wszystko, co na niego przyszło, z młodzieńczym zapałem. Lata 1832 do 1837 na Górnym Śląsku odznaczały się tem, że panowała tu cholera i inne zaraźliwe choroby łączące się zwykle z cholerą. Ks. Włodarski jako dobry pasterz wytrwał na posterunku, będąc trzodzie swojej

wśród różnych trudności i niebezpieczeństw życia pociechą i pomocą. Nastąpił w r. 1844 znany nam z życia ks. Ficka ruch wstrzemięźliwości. Ogólny zapał, jaki wszędzie względem szlachetnej tej sprawie panował, porwał też ks. Włodarskiego i parafję jego. „Wierna trzoda pyskowicka, powiada on sam, sama sobie najpiękniejsze świadectwo wystawiła przez to, że z 2500 komunikantów w przeciągu czterech tygodni 1900 dało się zapisać do bractwa, ślubując, iż się wyrzekają picia wszelakich palonych trunków". Niejeden w zachwycie tym czując w sobie żyłkę poetyczną porwał pióro i napisał wiersz na pochwałę wstrzemięźliwości. Wiemy skądinąd, że w czasie tym powstały takie wiersze, jak „Alarm przeciw gorzałce", „Doświadczenie codzienne", „Blaumontag", „Kwaternica piekielnica", „Kłótnia pijaka z trzeźwym", „Lament wódki", „Pochwała wstrzemięźliwości", „Sejm pijacki", „Sen pijaka" i różne inne, ale wiemy też i to, albo przynajmniej przypomnieć tu sobie musimy, że i ks. Włodarski był jednym z owych poetów antypijackich.

Nie długo potem w latach 1847 i 1848 znowu zawitał na Górny Śląsk niemiły gość, a to głód i tyfus głodowy. Cmentarze na Górnym Śląsku wtedy nie wystarczały, aby wszystkich wskutek nawiedzenia strasznego umarłych pogrzebać. I w Pyskowicach smutnie wyglądało. Umarło bowiem 406 ludzi, gdy tymczasem tylko 275 dzieci się narodziło. Liczby te mówią nam nader wyraźnie o wielkości klęski, którą ks. Włodarski z parafją swoją przeżyć musiał. I tym razem był on prawdziwym ojcem trzody swojej, jak w r. 1854, gdy podobna klęska nas nawiedziła, bo zbierał ofiary skądinąd, aby żywnością, odzieżą i pieniędzmi biednych mógł wspierać.

Wielkie zasługi miał ks. Włodarski około nowo otwierającego się seminarjum nauczycielskiego w Pyskowicach. Chodziło wtedy przedewszystkiem o to, aby Górnymu Śląskowi przysporzyć trochę jakiej takiej inteligencji, któraby oświecała lud będący we wielkim ucisku i trzymany przez „panów" w ciemnocie. Aby cośkolwiek rozumieć, jakiem dobrodziejstwem była dla Górnego Śląska każda nowo otwierająca się szkoła, wyższa czy niższa, chcemy tu podać, co w tym czasie pisano w pewnej książce: „Niemcy w Śląsku stanowią całą inteligencję i oni przemysł, handel, włości, kopalnie i urzędy trzymają dziś w swych rękach; a trzy razy od nich liczniejsza siedemsettysięczna masa ludu jest uważana za zero" a to wszystko tylko dla tego, że nie było u nas szkół odpowiednich. (Knie, Geographische Beschreibung von Schlesien). Więc i ks. Włodarski dokładał wszelkich sił, aby w sercu samego Górnego Śląska

powstała taka wyższa szkoła i aby była taką, jaką dla polskiej krainy być powinna. Dnia 3 listopada r. 1849 seminarjum zostało otwarte. Landrat hr. Strachwic na akcie wygłosił mowę o znaczeniu tego seminarjum i zwracając się potem do uczniów nowej szkoły, zalecał im, aby przedewszystkiem przykładali sił do kształcenia się w polskim języku, który im będzie tak potrzebny w przyszłym zawodzie nauczycielskim. Wolno z tem porównać otwarcie seminarjum nauczycielskiego ewangelickiego w Kluczborku dnia 30 kwietnia 1858 r., przy którym to akcie radca konsystorza wrocławskiego wypowiedział pamiętne słowa: Nasz polski lud, który przez swoją pobożność i religijny zmysł mógłby być przykładem dla niejednej niemieckiej gminy, ten lud przez dziesiątki lat został deptany. Przeto dzień dzisiejszy powinien być naprawieniem i wynagrodzeniem wszystkiego tego, co przedtem przeciwko ludowi temu zgrzeszono; mają tu być kształceni nauczyciele, którzy lud nie tylko będą uczyć po niemiecku, ale w jego języku ojczystym". Ks. Włodarski z seminarjum żył w ścisłym związku i nieraz jeszcze miał odegrać ważną rolę względem jego dalszych losów.

Cała jego dotychczasowa błoga działalność zwróciła uwagę władzy duchownej i świeckiej na ks. Włodarskiego. Dla tego dziwnem nie było, że go, gdy w r. 1855 zawakował kanonikat, powołano na kanonika przy kurji wrocławskiej. Pamiętne jest jego pożegnanie się z parafją pyskowicką, ale też pamiętne jego dalsze zachowanie się we Wrocławiu. „Gdybym był wiedział, odezwał się do żegnających go parafjan, że mnie tak usilnie kochacie i że rozestanie będzie tak trudnem, nie byłbym od was odchodził. Odwiedzajcie mnie, ilekolwiek będziecie we Wrocławiu albo gdy czego potrzebować będziecie". I rzeczywiście nie zapomniał on na nowem a zaszczytnem stanowisku o ukochanym Górnym Śląsku. Boć też tak być powinno. Kanonicy stanowią radę przyboczną biskupa i dla tego z r ó ż n y c h stron djecezji wybiera się na kanoników stosownych księży, aby każdy przypomniał biskupowi życzenia, potrzeby, stosunki i warunki życia swoich ziomków, swojej okolicy i swojego szczepu. Ale niestety! Jest kanoników z Górnego Śląska we Wrocławiu za mało a jeszcze mniej jest takich, którzy z nami współczują. Ks. Włodarski pojmował urząd swój jak się należy i każdemu, który się do niego zwrócił, pomagał. Dla tego też był ogromnie lubiony przez duchowieństwo górnośląskie i dla tego też ogólna radość zapanowała, gdy po śmierci ks. biskupa Bogadaina ks. Włodarski stał się biskupem-sufraganem. Znowu miał teraz sposobność przy okazji wizytacji, bierzmowania i innych urzędowych czynności stykać się częściej z kochanymi Górnośląs-

zakami i ich duchowieństwem. I wszędzie, gdzie się zjawiał, jego uprzejmy, szczery i miły charakter zjednywał mu serca wszystkich, tak duchownych jak i świeckich. Zwiastun górnośląski pisząc w r. 1870 o konsekracji kościoła w Katowicach przez ks. biskupa Włodarskiego, nazywa go wprost naszym biskupem, a to dla tego, że mówi po polsku i tak jako pasterz z swojemi owieczkami porozumieć się może. Bo kto nie zna mowy ludu, ten też jego biskupem nazwany być nie może.

Szczególnie porywał wszystkich swoją śliczną polską wymową, był mówcą znakomitym o poetycznym polocie. Ks. biskup Włodarski śledził bardzo pilnie wypadki na Górnym Śląsku, dla tego je też znał doskonale. I gdy ludowi górnośląskiemu groziły nowe niebezpieczeństwa, znacznie on się do tego przyczynił, aby wydawano polską gazetę. Gazeta ta przyszła do skutku w Piekarach pod nazwą „Zwiastun górnośląski" a ks. Włodarski zasilał ją współpracą swoją. Ogłosił wtedy swój długi wiersz „List do bractwa trzeźwości na Górnym Śląsku", zaczynający się od słów:

Od lat nie mieszkam w Górnym moim Śląsku,
Jednak z nim żyję w poufałym związku,
Zwłaszcza mię z wami, wy bracia trzeźwości,
Spokrewnia czucie życzliwej miłości.
Z osoby wszyscy, oj! wszyscy mnie znacie,
Nawet mię w sercu swojem kochacie,

. . . .

a opisujący w dowcipny sposób zaprowadzenie bractwa wstrzemięźliwości:

Ile to było z trzeźwością roboty!
Całym wnet Śląskiem trzęsły ciężkie grzmoty.
W piekle nasamprzód djabli nieboracy
Byli natenczas w okropnej rozpaczy.
Jak raz Kościuszko pod Szczekocinami,
Tak Ficek walczył z trzeźwości wrogami;
Bronił na Śląsku królestwa Bożego,
Nie szczędził zdrowia, ni życia własnego.

Z całego wiersza tego poznajemy prawdziwie polską duszę ks. Włodarskiego, który dla swojego rodzinnego kraju pragnął li tylko szczęścia i dla tego zachęcał do wytrwałości w dobrem postanowieniu, bo . . . . . Ślązacy

Jest to lud dobry, ale i dziwaczy:
Tego owego nagle się chwytają,
Lecz wytrwałości mało posiadają.

Z wyjątkiem drugiego wiersza p. t. „Pieski niepieski“, który ogłosił w Zwiastunie w r. 1869, wszystkie inne — a było ich więcej, wszystkie pełne humoru — zaginęły.

Pokazało się dalej, że ks. Włodarski stosunki na Górnym Śląsku ze swojego stanowiska bardzo dobrze pojmował. Bo gdy z powodu nieodpowiedniego kierownictwa Zwiastun nie prosperował, to ks. Włodarski wiedział, kogoby na stanowisko tam postawić, aby Zwiastun nie upadł. Radził powołać na redaktora Karola Miarkę i nieomylił się. Zwiastun się podniósł, zyskał tysiące abonentów i możeby dziś jeszcze istniał, gdyby nie usunięto Miarki z powodów osobistych. A jednak ks. Włodarski życzył sobie, aby wszędzie na Śląsku, „gdzie dotąd słynie Polaków cna mowa“, czytano Zwiastuna.

Przez przyjaźń z Mośkiem upada fortuna!
Czytajcież raczej w niedzielę Zwiastuna,
On was nauczy zapobiedz wszej biedzie
I od bardzo wielu grzechów was odwiedzie.

Przez czternaście lat wykonywał ks. Włodarski obowiązki biskupa z godnością, cierpliwością i wytrwałością, wykonywał obowiązki stające się z powodu coraz to gwałtowniej srożącej się walki kulturnej z dnia na dzień nieznośniejsze. Umarł dnia 30 maja roku 1875, gdy już walka rządu z kościołem katolickim na dobre była wybuchła.

Literatura. Jungnitz: Die Breslauer Weihbischöfe.

IX.

Ks. BISKUP BERNARD BOGEDAIN.



Do mężów, którzy na połowie dziewiętnastego wieku około Górnego Śląska najwięcej się zasłużyli, należy bez wątpienia ks. Bogedain. Słusznie go też pomiędzy obrońcami polskości stawiamy na najpierwszem miejscu. Bo to, czego inni dla Górnego Śląska sobie życzyli i pragnęli, do czego z mozołem dążyli, on jednym zamachem jako radca szkolny i rejencyjny przemienił w rzeczywistość. Co ks. Bogedain uczynił dla Górnego Śląska, w skutkach swoich wprost jest nieobliczalne. Gdyby ks. Bogedain u nas był jeszcze dziesięć, dwadzieścia lat dłużej pracował, polskość byłaby na zawsze uratowana i później lepiejby na Górnym Śląsku było wyglądało.

Bernard Bogedain urodził się w Wróblinie pod Głogowem na Dolnym Śląsku dnia 11 września r. 1810, jako syn wiejskiej rodziny. Lata chłopięce przepędził u stryja, ks. Zbigniewa, w cysterskim klasztorze w Obrze w Poznańskiem. Wychowanie tu było oczywiście polskie; tutaj poznał i pokochał polskość. Studja gimnazjalne odbył w Głogowie, a w r. 1831 udał się do Wrocławia, aby słuchać teologji św. Ukończył potem nauki teologiczne w seminarjum duchownem w Poznaniu, gdzie też w r. 1834 z rąk ks. arcybiskupa Dunina otrzymał święcenia kapłańskie. Pracował jako wikarjusz w Grodzisku i Bydgoszczy, gdzie jako katecheta niepospolite zdolności pedagogiczne okazał. Otrzymał dla tego w r. 1837 posadę nauczyciela religji w seminarjum nauczycielskiem w Poznaniu, w trzy lata później nominację na dyrektora seminarjum nauczycielskiego w Paradyżu. W mieście tem niemieckiem założył ochronkę dla sierót polskich. Cztery lata tylko pracował na tej posadzie, bo już w roku 1844 przeniósł się do Poznania jako radca szkolny przy rejencji królewskiej. W cztery lata znowu później, roku 1848, przyszedł na Górny Śląsk do Opola jako radca szkolny i rejencyjny.

Przyszedł na Górny Śląsk właśnie w tej porze, kiedy to „Zgromadzenie Narodowe“ w Frankfurcie uroczyście oświadczyło, że wszystkie szczepy na ziemiach związku niemieckiego mają mieć zupełną swobodę narodowego rozwoju i zażywać równouprawnienia językowego w szkole, kościele, administracji wewnętrznej i sądownictwie. Przez 10 lat pracował ks. Bogedain w Opolu jako radca szkolny i niezmierne położył zasługi około wychowania ludu górnośląskiego w języku ojczystym. Powrócił bowiem do starej zasady doświadczonych pedagogów „wszystko w języku ojczystym i najprzód w języku ojczystym!“

„Zamiar odebrania ludowi mowy ojczystej, pisał Bogedain do sławnego pedagoga Kellnera, jest rzeczą niemądrą, niepolityczną i niewykonalną i to z następujących powodów: 1) Mowa ojczysta jest prawowitą własnością ludu a ściśle z nią związane są religja, moralność i obyczajność. Wydzierając ludowi mowę ojczystą, przecina się wszystkie węzły, utrzymujące w sercu zasady moralności. Narzucona obca mowa niweczy ścisłość i serdeczność pojęć religijnych, gubi dobre obyczaje ludu; 2) Szkoła jest zakładem do kształcenia ludzi za pomocą wiary i obyczajności, a nie zakładem do tresowania. Mowa ojczysta zaś jest w szkole tchnieniem wszystko ożywiającem“. Mądre to są i piękne słowa, które zasługują na to, aby się ich nauczyć wprost na pamięć, żeby się niemi posłużyć wobec każdego, który broni teraźniejszego systemu szkolnego; są to słowa Niemca, który był gruntownym pedagogiem, a miał sumienie i rzadką miłością do prawdy się odznaczał! Musimy bowiem w nauczaniu rozróżnić elementarne zasady od podrzędnych reguł uczenia. Na ostatnie może się zapatrywać ten tak a drugi inaczej a należy do nich np. kwestja, czy metoda analityczna lub syntetyczna jest lepszą. Do pierwszych t. j. do elementarnych zasad nauczania, od których odstąpić nie wolno, jeżeli nie chcesz chybić celu nauczania, należy np. taka zasada: nie posługuj się w wychowaniu nigdy kłamstwem; należy dalej ta zasada: trzeba nauczać w języku ojczystym! To są fundamentalne zasady, od których nigdy odstąpić nie wolno; i nie pomoże nic, jeżeli są tacy nowomodni „pedagodzy“, jeżeli nawet pomiędzy górnośląskimi księżmi znachodzimy dwóch takich, którzy powiadają, iż zapatrywanie ks. Bogedaina jest „przestarzałe i prześcignięte“. Jest w tem kawał obłudy, taką zasadę, jeżeli chodzi o górnośląskich Polaków, nazywać przestarzałą, a tymczasem ją, niby w poczuciu sprawiedliwości stosować do Flamandczyków i innych germańskich „oswobodzonych szczepów“.

Ks. Bogedain nie głosił takich zasad i zdań tylko dla teorji, bo będąc człowiekiem, któremu wstrętną była wszelka połowiczność, dążył świadomie i z energją sobie właściwą do tego, aby wysunąć ze szkoły górnośląskiej system dwujęzyczności a uczynić ją o ile możności szczerze polską. Sposobność do przeistoczenia tych zamiarów w czyn miał ks. Bogedain jako główny rewizor szkół ludowych. Wizytując takowe, baczył przedewszystkiem na to, jak sprawa stoi z językiem polskim, czy nauczyciel nim dostatecznie włada; a umiał być pod tym względem krytykiem ostrym, w innym razie znowu nie szczędził pochwały i zachęty, gdzie widział miłość do języka polskiego, jak np. u Karola Miarki. Jeszcze w kwietniu r. 1918 jakaś hakatystyczna śląska gazeta sprawę przedstawiła tak, jakoby ks. Bogedain z górnośląskimi nauczycielami w ciągłej żył walce, iż kazał w nauce używać czystego języka polskiego, a nie jakby się to podobało owej gazecie, ulubionego przez nią tak zwanego „wasserpolnisch". To jest naturalnie nieprawdą i wymyślała to sobie owa szlachetna gazeta. Ks. Bogedain nie spotykał pod tym względem żadnych trudności i wszyscy nauczyciele, którzy z nim mieli do czynienia, z wielkim zapałem o nim się wyrażali i chętnie używali w nauce czystego języka a i poza nauką dobrze po polsku z dziećmi i innymi ludźmi mówili. Bo wiedzieli oni, „iż w kościele należy mówić językiem szlachetnym i potoczystym, a że lud trzeba podnosić a nie poniżać go". Rewidując szkoły, ks. Bogedain przekonał się o innej jeszcze smutnej sprawie, mianowicie jak bardzo był zaniedbany polski śpiew ludowy i kościelny. Będąc jeszcze dyrektorem seminarjum w Paradyżu zaczą zbierać materjały do śpiewnika kościelnego z nutami, który wydał w roku 1844 pod tytułem „Pieśni nabożne dla użytku katolików archidyecezji Gnieźnieńskiej i Poznańskiej". Śpiewnik ten doczekał się tak ogromnego nakładu, jak rzadko jaka książka w zaborze pruskim. Aby polepszyć również i na Śląsku śpiew kościelny, starał się będąc w Opolu radcą szkolnym o wydanie odpowiedniego zbioru nut, któryby ustalił melodje na całym polskim Śląsku. W spółce z uczniem swoim Józefem Nachbarem, który był nauczycielem przy seminarjum w Paradyżu a później nauczycielem i dyrektorem muzyki przy seminarjum w Pyskowicach, wydał w r. 1856 „Chorał czyli dostateczny zbiór melodyj do przeszło 700 pieśni w języku polskim". W przedmowie pisze, że śpiewy nabożne ludu polskiego co do treści są płodem sztuki natchnionej żywą pobożnością, ich melodje zaś odznaczają się tem, że wiernie trzymają się stylu gregorjańskiego. Sławny muzyk Lipiński z Drezna, któremu przysłano egzemplarz, wyraził się o nim z wielkiem uznaniem. Jako główny

rewizor szkolny postarał się ks. Bogedain o to, aby każdy organista używał jego „Chórału“. I w tej sprawie odezwały się p ó ź n i e j głosy, jakoby nie wszyscy byli zadowoleni z „Chorału“ ks. Bogedaina, a to dlatego, że zaprowadził nieznane „poznańskie“ melodje. Jest to fałsz i przekręcanie prawdy zrobione tylko w tym celu, aby ks. Bogedaina zohydzić. Ks. Bogedain nie przybierał żadnych nieznanych melodyj, ale wybrał tylko z melodyj podanych mu przez wszystkich organistów g ó r n o ś l ą s k i c h te, które były najlepsze, i te przez Nachbara dał ogładzić. Odtąd w kościołach górnośląskich panowała jaka taka jednolitość śpiewu pobożnego. Jednem słowem: ks. Bogedain wielce się zasłużył u nas również około polskiego śpiewu kościelnego, bo w śpiewie słusznie upatrywał potężny środek do uszlachetnienia ludu. Aby poprzeć swoją pracę oświatową i aby lud pouczyć o sprawach politycznych i ostrzedz go przed niebezpieczeństwem religijnem, wydawał od końca roku 1848 tygodnik „Gazeta polska dla ludu wiejskiego“, bez znacznego powodzenia. Nareszcie, aby ludowi pomagać w ciałach prawodawczych, posłował z powiatu opolskiego do „Zgromadzenia Narodowego“ czyli sejmu w Berlinie. I choć tu zasiadywał na prawicy, to jednak w sprawach tyczących się polskiego ludu wspierał dzielnie ks. Szafranka siedzącego na lewicy izby. Gdy dnia 18 kwietnia roku 1849 obradowano nad wnioskiem ks. Szafranka, który domagał się, aby dla ludu górnośląskiego tłómaczono protokoły posiedzeń sejmowych w język polski, poparł wniosek ten ks. Bogedain wyrażając się w te słowa: „Stawiłem sobie za zadanie życia, bronić przedewszystkiem prawa ludu do języka swojego. Górny Śląsk ma prawo spodziewać się po mnie i żądać tego ode mnie, abym tutaj dochodził uznania jego praw pod tym względem, a pielęgnował pierwiastki językowe, które tam w życiu ludowem kiełkują. Uważam to za najwyższe i najpiękniejsze zadanie działalności mojej narodowej“.

Pobyt ks. Bogedaina na Górnym Śląsku niestety trwał tylko dziesięć lat. Na wiosnę r. 1858 opuścił on Górny Śląsk otrzymawszy od ks. biskupa wrocławskiego nominację na biskupa-sufragana. Z ciężkiem sercem, sam tak pisał, odchodził od nas spodziewając się jednak, że i na tem stanowisku będzie mógł dla nas coś czynić, z żalem szczerym żegnał go cały lud górnośląski i duchowieństwo jego. Ale nie było to rozłączenie na zawsze. Jako biskup-sufragan przyjeżdżał częstokroć na Górny Śląsk w celu wizytacji i udzielania Sakramentu bierzmowania. Wszędzie, gdzie się pokazała jego dostojna postać, z zapałem przyjmował go lud górnośląski, który serdeczną miłością darzy tych, którzy i jego kochają i bronią spra-

wy jego. Pan Bóg ks. Bogedainowi pozwolił na wysokim tym stanowisku tylko półtrzecia roku pracować. W sile pełnego wieku męskiego przecięła nieubłagana śmierć pasmo dni żywota jego: bawiąc na Górnym Śląsku, mianowicie w Pszczynie, umarł nagle w nocy z 17 na 18 września r. 1860. Tam też na cmentarzu kościółka św. Jadwigi pochowano jego śmiertelne szczątki wśród niemiernego udziału ludu i duchowieństwa z bliska i z daleka. Tak odpoczywa sobie po boju doczesnym ten szlachetny obrońca Polaków na ziemi polskiej wśród Górnoślązaków, których tak gorąco pokochał.

Literatura. Ligoń, życiorys ks. Bogedaina w kalendarzu katolickim na rok 1900; Ludomir, w obronie polskości Górnego Śląska; Meer, Charakterbilder von dem Clerus Schlesiens; Jungnitz, Die Breslauer Weihbischöfe.

X.

Ks. JAN DZIERZOŃ.



Encyklopedja „Macierzy Polskiej“ napisała o księdzu Dzierzonie, niewiedząc wcale, iż był księdzem, tylko te słowa: „Jan Dzierzoń, sławny pszczelarz, urodzony w roku 1811 w Czechach, wynalazł odmienny rodzaj ula“. Notatka ta naturalnie nie wystarcza. Musimy o nim coś więcej wiedzieć, gdyż był on naszym ziomkiem, był Polakiem, bo w domu tylko po polsku rozmawiał, i był, co jest rzeczą najważniejszą, może jedynym Górnoślązakiem, który dostąpił sławy światowej.

Narodził się Jan Dzierzoń dnia 16 stycznia r. 1811 w Łowkowicach w Kluczborskiem na Górnym Śląsku jako syn gospodarza. Uczęszczał najprzód do dziesiątego roku życia do szkoły wiejskiej w Łowkowicach, następnie posłali go rodzice przez cały rok do miejskiej szkoły w sąsiedniej Byczynie, a po roku oddali go do gimnazjum św. Macieja we Wrocławiu, gdzie też ukończył studja gimnazjalne i teologiczne na uniwersytecie tamtejszym. Stosunki w fakultecie teologicznym i wogóle przy kurji wrocławskiej w tych latach były opłakania godne. Nie dziwota też, że ks. Dzierzoń później z prawej drogi zboczył i długie lata żył w poróżnieniu z kościołem. W dniu 16 marca r. 1834 otrzymał święcenia kapłańskie i był najpierw kapelanem w Siołkowicach w Opolskiem, skąd po roku, w lipcu roku 1835 przesiedlono go na probostwo do Karłowic pod Brzegiem.

Ks. Dzierzoń już od dzieciństwa okazywał wielkie zamiłowanie do pszczół a przyczynił się do tego ojciec jego, który sam był gorliwym bartnikiem. W przenikliwem a rozumnem śledzeniu życia pszczół swoich znalazł upodobanie i jemu poświęcał swój czas. Najpierwszem jego dziełem w Karłowicach było założenie w przyległym do probostwa ogrodzie pasieki, której poświęcił się z za-

pałem. Z roku na rok pomnażał się zapas pszczół, aż nareszcie posiadał pięć set roi. W całej okolicy nazywano go „księciem pszczelnym z Karłowic".

Z amatora z czasem stał się zawodowy pszczelarz. Skrzętna jego praca niejednokrotnie wydała nadspodziewane owoce, mianowicie zrobił on to bardzo ważne spostrzeżenie, że pszczoła-matka czyli królowa może składać jajka niezapłodnione, z których mimo to rodzą się osobniki żywe, wprawdzie tylko samcze, tak zwane trutnie. Teorja jego, tak zwana parthenogenesis, w świecie uczonym uchodziła za coś niesłychanego, przez dalszą obserwację księdza Dzierzonia została ona jednak tak utwierdzona, iż się na nią zgodzono. Dalsze badania jego tyczyły się psychologji i życia pszczół, które dotąd osłonięte było tajemniczą mgłą. Dowiódł ks. Dzierzoń, że pszczoły żyją gromadnie w rodzinach liczących od 10 000 do 50 000 osobników, rodzinę taką nazywamy rojem. W każdym doskonałym roju znajduje się tak zwana matka czyli królowa; jest to jedna jedyne doskonała samica, która zajmuje się tylko składaniem jajek. Dalej mieści się w roju kilka dziesiąt tysięcy robotnic czyli pszczół roboczych, także samiczej natury, lecz przez gorsze odżywienie w czasie swego wykształcenia się, wyrodziły się w osobniki mniejsze, zanikłe, tak że z reguły jaj składać nie mogą, lecz zajmują się tylko pracami w ulu jak poza ulem. W miesiącach letnich, od maja do września, znajduje się w dobrym roju czereda kilkuset trutni t. j. samców. Zadaniem trutni jest zapłodnić matkę. Matka łączy czyli parzy się z trutniem w powietrzu tylko raz jeden na całe życie. Truteń dostępujący tego zaszczytu, pada zaraz trupem, a matka żyje potem jako wdowa do 5 lat. Trutnie nie spełniają żadnej pracy, to też skoro pożytek w polu przygasa, zabierają się pszczoły robocze do wypędzenia trutni z ula, skazając je na śmierć głodową. Tak smutnym jest koniec tych darmozjadów. Badania swoje spisał w książkach: 1) „Theorie und Praxis des neuen Bienenfreundes", (Brzeg 1848). Dzieło to jest po polsku wydane w tłómaczeniach Józefa Lompy p. t. „Nowe udoskonalenie pszczelnictwa ks. plebana Dzierzonia" (w Lesznie 1851 i 1859) i Witowskiego p. t. „Najnowsze pszczelnictwo" (Lwów 1853).

2) „Nachtrag zur Theorie und Praxis" (Nördlingen 1852). Po polsku w tłómaczeniu Żmudzińskiego p. t. „Dodatek do teorji praktyki nowego pszczelarstwa" (Leszno 1853).

3) Rationelle Bienenzucht (Brzeg 1861).

4) Der Zwillingsstock, die zweckmässigste Bienenwohnung (Kluczborek 1890).

5) Ks. Dzierzoń wydawał też czasopisma „Der Bienenfreund aus Schlesien" od 1854 do 1856.

Dlaczego ks. Dzierzoń pisał po niemiecku, powiemy później.

Największe zasługi ma ks. Dzierzoń przez konstrukcję ula rozbieralnego, który pozwala całe mieszkanie czyli pracownię pszczół rozebrać i według upodobania znowu zestawić. Zalety ula tego są znaczne, bo gdy dawniej pszczoły zawieszały woszczyny swoje w ulu gdzie chciały, ks. Dzierzoń zmusił je woszczyny te robić w pewnych ramkach, które z ula wydobyć można. Dawniej pszczelarz musiał czekać, aż pszczoły napełniły woszczyny miodem, więc był zależny od pszczół, teraz wydobywa miód, kiedy on chce i zmusza pszczoły do pracy; dawniej musiał pszczelarz w ulu wyrzynać woszczyny i woszczyny te stały się dla pszczół już nieużyteczne, teraz wyciąga całą ramkę z woszczyną, bierze miód i ramkę z woszczyną znowu do ula wstawia; dawniej raz wydobyte woszczyny trzeba było zniszczyć a pszczoły musiały robić nowe woszczyny, wytwarzając je z miodu, którego na przerobienie w wosk potrzebują pięć razy tyle jak na składanie do komorek; więc jednem słowem i wyzyskiwanie jest o wiele większe, niż dawniej.

Wszystko to ks. Dzierzoń nie odrazu odnalazł, ale badał długo i uciążliwe próby robił, aż mu się sprawa udała, którą znowu potem wydoskonalał. Więc rozumiemy, że przy zatrudnieniu takiem, jemu bardzo miłem, zaniedbał obowiązki swoje duszpasterskie. Zdarzało się czasem, że parafja cała w niedzielę była zebrana w kościele na nabożeństwo, a kogo nie było, to był nasz ks. Dzierzoń, który siedział przy pszczołach i o kościele zapomniał. Dochodziły więc do urzędu biskupiego coraz to częstsze skargi na ks. Dzierzonia, że jest coprawda dzielnym pszczelarzem, ale nie takim duszpasterzem. Ks. Dzierzoń dalej przy pszczołach ulubionych pracował, a skargi się powtarzały, więc konflikt był nieunikniony. To spowodowało ks. Dzierzonia, że się przyłączył do partji opozycyjnej tak zwanych „starych katolików", wskutek czego został w urzędzie zawieszonym. Został nadal w Karłowicach i dopiero w r. 1884 przeniósł się do rodzinnej wsi Łomkowic, gdzie sobie na ustroniu nową siedzibę zgotował. Tu prowadził iście pustelnicze życie, przerywając je tylko wtedy owedy jakąś podróżą podjętą w sprawach pszczelarskich. Ale pozatem nie troszczył się o nic, jak tylko o pszczoły, którym wszystkie swoje myśli poświęcił. Cesarsko-królewska akademja we Wiedniu posłała mu nominację na członka swojego, uniwersytet monachijski mianował go honorowym doktorem filozofji i mnóstwo orderów posypały się na niego za zasługi, które położył około rozwoju pszczelnictwa. Na portrecie zdobią

oprócz pięciu orderów niemieckich pierś jego: austrjacki order Franciszka Józefa, rosyjski św. Anny, szwedzki Wazy i włoski Korony.

Nad nawróceniem jego pracowali księża świeccy i zakonni, lecz daremnie. Ale nareszcie i to za pomocą Boską dokonane zostało. Posłuchajmy, jak ks. Szołtysek opisuje powrót odstępcy tego na łono kościoła katolickiego: Przez cały czas, w którym unikałem towarzystwa jego, ks. Dzierzoń staczał w sercu swojem ciężką walkę, która się skończyła tem, iż po sześciu tygodniach w dniu 5 kwietnia 1905 r. gwałtownie pragnął się ze mną widzieć i natychmiast mi oświadczył, że się chce z kościołem pojednać i przyjąć sakramenta święte. Tak więc łaska Boska roztopiła skorupę lodu i w sercu jego na miejscu dotychczasowej zatwardziałości umieściła dziecięcą pobożność. Z wielkiem skupieniem przyjął sakrament pokuty. Nie mógł się potem doczekać rana dnia 6 kwietnia, w którym miał przyjąć komunię świętą i z niepokojem się pytał, czy już nie przychodzę. Nareszcie życzenie jego miało zostać zaspokojonem. Wzruszająca była pobożność, z jaką po 36 latach znowu po raz pierwszy przyjął ciało Pańskie.

„Teraz znowu zajaśniało w duszy mojej, przyjąłem tego, który jest prawdziwą światłością“, tak wyrzekł głośno. I teraz zaśpiewał 94-letni starzec: „Jezus tobie żyję, tobie umieram, Jezus twój jestem w życiu i w śmierci“. Jako uczniom idącym do Emaus przy łamaniu chleba otworzyły się oczy i jak poznali Zbawiciela, tak działo się ks. Dzierzoniowi: wzselka wątpliwość we wierze znikła, był wiernym jak niewinne dziecko i został nim aż do śmierci. Mszy św. z powodu ułomności co prawda odprawiać już nie mógł, za to dał się często do kościoła przywieść, gdzie długo w skupieniu uwielbiał Najśw. Sakrament i patrząc na drogę krzyżową rozważał Mękę Pańską, dziękując Bogu za to, że śmierć Zbawiciela dlań daremną nie była. Krzyż odtąd był jego pociechą; często z największą pobożnością przyjmował sakramenta święte. Łaskę tę wielką zawdzięczał nie tylko modlitwom, które za niego do nieba wznoszono, ale też bezinteresownemu życiu, które prowadził. Nie był wcale egoistą i wielkie swoje dochody, które miał z pszczelarstwa, rozdzielał między ubogich. Tak więc umarł dnia 26 października 1906 roku jako biedny człowiek, przyjąwszy jeszcze dwa dni przedtem przy czerstwym rozumie sakramenta święte.

Baron Berlepsch nazywał go „największym geniuszem pszczelarskim wszystkich wieków“. A my z dumą powinniśmy mówić o naszym ziomku i rodaku, bo on jedyny z wszystkich Ślązaków dostąpił, jakeśmy to już wyżej słyszeli, sławy światowej a przy tem został tem, czem się był narodził: dzieckiem polskiego

ludu. Mówił w domu tylko po polsku, ale i o swoich krewnych troszczył się, aby zostali Polakami; pewnego krewniaka oddał w Bytomiu opiece pewnego dzielnego wiarusa z tem zastrzeżeniem, aby się nie zniemczył, ale nauczył dobrze po polsku. Jeżeli on sam pisywał dzieła swoje po niemiecku, to tylko z tego powodu, że nie nauczywszy się, jak zresztą my wszyscy, w szkołach pruskich piśmiennego języka polskiego, nie nauczywszy się tego języka poprawnie, nie nauczywszy się wyrazów technicznych, wolał pisać tak jak mu było łatwiej i wygodniej.

XI.

Ks. JAN LAXY.

Profesor Karwowski mający zasługi wielkie nie tylko względem księstwa, gdzie się narodził, ale też względem Górnego Śląska, gdzie mieszkał i pracował, pisze tak: Przez rząd zaniedbany i germanizowany, przez ówczesnych hakatystów wyszydzany, nie postępował lud polski na Śląsku w oświacie ani nie miał świadomości narodowej. Urzędnikami i nauczycielami byli po większej części rodowici Niemcy, albo zniemczeni Ślązacy; księża z małemi wyjątkami dla oświaty narodowej z bojaźni nic nie czynili. Wedle zapewnienia Józefa Lompy było pomiędzy nimi zaledwie 20, którzy rozumieli wydawaną przez Ewarysta Estkowskiego „Szkołę" np. Laxy z Ligoty pod Białą, Stabik w Michałkowicach..." Któż to jest ów Laxy z Ligoty? Otóż chcemy go w następnym życiorysie bliżej poznać.

Jan Boży Laxy narodził się dnia 9 marca 1816 roku w Popielowie w Opolskiem. Uczęszczał do gimnazjum w Opolu i pół roku do gimnazjum św. Macieja we Wrocławiu, gdzie zdał egzamin abiturjencki 10 października r. 1834 z największem odznaczeniem. Słuchał na tamtejszym uniwersytecie teologji i filologji i dnia 25 maja 1839 roku został wyświęcony na kapłana. Był najpierw wikarjuszem powiatowym w Gliwicach. Pod koniec roku 1841 rejencja wrocławska ofiarowała mu posadę kapłana zakładowego w domu karnym w Brzegu pod warunkiem, że musi władać doskonale językiem polskim. Ks. Laxy odpowiedział, iż posiada dostateczną zręczność w języku polskim, gdyż był dawniej guwernerem u pewnej polskiej familji i że w y d a ł j u ż p o l s k i e k s i ą ż k i. Więc miał wtedy ks. Laxy niespełna dwadzieścia sześć lat, gdy pisał, iż wydał już polskie książki. Na końcu lutego r. 1842 objął rzeczywiście posadę w Brzegu, zastawszy tu bardzo niemiłe stosunki, gdyż nic było tam z wyjątkiem dwóch żelaznych świeczników żadnych naczyni, obleczy i innych sprzętów potrzebnych przy nabożeństwach katolickich. Wymagał przeto zakupienia tych rzeczy z uzasadnieniem cośkolwiek dziwnem, „iż więźniowie, choć niejeden z nich jest bardzo sprytny, nie potrafią z żelaznych świeczników albo z próżnej ręki śpiewać i modlić się, tak samo jak on nie po-

trafi z tychże stworzyć raz alby, raz mszału lub kielicha". Żądał nadto, aby dla młodocianych więźniów, z których dwie trzecie są pochodzenia polskiego, był ustanowiony nauczyciel katolicki władający polskim językiem. Kościelne stosunki w Brzegu też były bardzo niemiłe. Panowała wtedy zawierucha Rongego, który chciał utworzyć osobny niemiecko-katolicki kościół, i szczególnie w Brzegu zagnieździła ona się głęboko. Wielka część parafji stanęła przeciwko prawowitemu proboszczowi mniemając, iż nowa wiara Rongego jest prawdziwą i że kościół katolicki upadnie. Wtedy to wystąpił ks. Laxy i wykazał dobitnie, że nadzieje zwodzicieli się nie ziszczą a że tego kościoła, który Chrystus Pan ustanowił na opoce, ani bramy piekielne nie zwyciężą. Przyczynił się tem więc walnie do uspokojenia wzburzonych umysłów. Ks. Laxemu jednak z różnych przyczyn w Brzegu się nie podobało. Przyjął dla tego w r. 1843 posadę wikarego w Głogówku, gdzie się czuł wiele szczęśliwszym. Nareszcie w październiku r. 1845 objął rządy probostwa w Ligocie, gdzie w marcu r. 1847 został jako proboszcz ustanowiony. W Ligocie działał do 25 października r. 1857, w którym to dniu umarł na puchlinę w klasztorze braci miłosiernych w Prudniku.

Ks. Laxy był pierwszym u nas na Górnym Śląsku mężem, który pisał poprawnym, a przy tem płynnym i zgrabnym językiem polskim. Nie brakło już wtedy nierozsądnych ludzi, którzy uwierzyli bredniom Bendy i innych ówczesnych hakatystów, że język Górnoślązaków nie jest polskim, ale „wasserpolnisch". Wymagali od księdza Laxego, aby pisywał w górnośląskiem narzeczu. Ks. Laxy pisząc właśnie „katolicką książkę misyjną", odpowiedział w Schles. Kirchenblatt, roku 1844 na str. 80 tak: „Język w książce co prawda nie jest tak zwanym mazurskim djalektem, będzie jednak, jak sobie tuszę, tak zrozumiałym jak książka sama. Albowiem trudność rozumienia nie polega na pojedyńczych słowach, ale raczej na pojęciu sprawy i na całych zdaniach. Zresztą Górnoślązacy nasi do czystej polszczyzny więcej są przyzwyczajeni, aniżeliby to niejeden wierzył; słuchają też rzeczywiście czystego polskiego języka chętniej, aniżeli mięszaniny skleconej z mazurskich, kaszubskich i morawskich wyrazów, do których się miesza nieco spolszczonej niemczyzny. Do kościoła i szkoły należy się jedynie szlachetny i poważny język. Lud trzeba podwyższać, a nie poniżać. Jestem przekonany, że współbracia moi książkę mile przyjmą i do rozpowszechnienia jej się przyczynią. Aby odeprzyć zarzuty zuchwalstwa czynione mi przez niektórych z tego powodu, iż jako młody kapłan odważam się do

pracy takiej, w celu uspokojenia wszystkich tych, podług których dziwnej filozofji nauka, wiedza i dzielność dopiero w biegu lat a to same człowiekowi nadlecą, oświadczam, iż do pracy tej zachęcili mnie księża komisarz Ficek i proboszcz Szafranek, a wspierał mnie radą i uczynkiem ks. dziekan Equart. I ponieważ jestem nadal gotów według sił zaradzić jeszcze innym potrzebom polskiego Górnego Śląska, dla którego się tak maluczko czyni, dla tego oświadczam dalej, iż skoro doświadczeni księża podają mi jaki temat, którego opracowanie w obecnej chwili zdaje się być najbardziej pożądanem, iż chętnie w pocie czoła spędzę wolny czas przy biurku mojem".

Ks. Laxy był utalentowanym, ale był też w swoim czasie i rodzaju, aby się tak wyrazić, uczonym. Pierwszy też u nas zaczął pisać naukowo i wydawać naukowe rzeczy. Podług zdania ludzi, którzy go znali, katedra profesorska dla niego byłaby może stosowniejszem miejscem, aniżeli duszpasterstwo, które mu wcale nie było do gustu. Dla tego też w Brzegu, gdy mu do duszpasterstwa w zakładzie karnym ofiarowano takowe jeszcze w zakładzie obłąkanych, nie przyjął tego uzasadniając to tem, iż mógłby on duszpasterzować tylko z upośledzeniem własnego się kształcenia naukowego, które mu jest milszem. Każdy kulturalny naród musi mieć swoich uczonych, bo w innym razie nie znaczyłby on w świecie nic. Uczeni też są największą chlubą narodu, bo przez nich, przez ich mądrość, ich naukę, ich wynalazki świat dopiero dowiaduje się, że naród odnośny istnieje i zasługuje, aby go szanowano. Mieliśmy na Górnym Śląsku i może jeszcze mamy dużo mądrych, uczonych rodaków, którzy niestety swój talent zakopali, że nikt z nich nie ma pożytku. Możebyśmy dziś dalej byli w rozwoju swoim, gdyby każdy z tych, których Pan Bóg obdarzył talentem, byli na stanowisku swoim pracowali i dzielnie się sprawowali. Trzeba tylko trochę pewności siebie. Ks. Laxy był jednym z tych, którzy chcieli się swoim rodakom przysłużyć o ile możności w tym celu, aby było więcej oświaty. I dla tego też Dziennik Górnośląski nr. 66 r. 1849 czyniąc duchowieństwu śląskiemu ten zarzut, iż nie oświeca pismem ludu, pisze wyraźnie, iż nie ma tu bynajmniej na myśli księży Laxego, Ficka, Stabika, ale że pomimo to musi z bólem serca przyznać, iż multi vocati, pauci electi.

Sam ks. Laxy nam powiada już w r. 1842, iż napisał polskie książki. Niestety dziś nie możemy stwierdzić, jakie to były książki. Przegląd Poznański (rocznik 1849 str. 635) powiada o ks. Laxym, iż jest znany z w i e l u przekładów d z i e ł religijnych. Niestety i tu musimy przyznać, że dzieła te są nieznane. Wiemy tylko tyle,

iż tłómaczył wiele, nie tylko z niemieckiego i włoskiego na polski język, ale też odwrotnie z polskiego języka na niemiecki. Przetłómaczył np. z polskiego na niemiecki język „Życie św. Elżbiety“ Klementyny z Tańskich Hofmanowej. Nadto są nam znane następujące jego książki: „Historja o zjawieniu się Najśw. Panny Marji na górze Saletto“, „Katolicka książka misyjna czyli przewodnik do życia chrześcijańskiego“, (pierwsze wydanie 1844, piąte wydanie 1887), „Żywot Pana Jezusa, napisany przez św. Bonawenturę“, „Święta droga krzyżowa“, „Żywot Marji Mere i Dominiki Lazarri“, „Nabożeństwo na Wielki Tydzień i na Wielkanoc“. Najważniejszą jednak i najcenniejszą pracą jego było przetłómaczenie i poprawienie trzechmowego dzieła Seppa „Pogaństwo i znaczenie jego dla chrześcijaństwa“, nad którem pracował lat kilka ale którego niestety nie wykonał. Zapatrywania Seppa, które tenże głosił już w dawniejszych dziełach swoich i rozprawach czasopismowych, robiły na ks. Laxego wielkie wrażenie, jak zresztą i na innych. Nauka Seppa i szkoły, która około niego się tworzyła, polegała na tem, że chciano wszystkie obrządki i nawet dogmaty wiary katolickiej postawić w jakimś stosunku do pogaństwa i żydostwa, albo innemi słowami: szukano źródła w obrządkach i bałwochwalstwie pogańskiem. Uczeni ci posunęli się w niektórych rzeczach tak daleko, iż nauka ich mogłaby kościołowi i prawdziwej historjografji wyrządzić szkodę. Dziś ich zapatrywania są prześcignięte przez nowe badania i uważane za przestarzałe. Pod takiem wyrażeniem pisał ks. Laxy w r. 1849 w Tygodniku katolickim swoją słynną rozprawę o „Marzanie“, w której twierdzi, że zwyczaj topienia Marzany po dziś dzień jest przechowany. Kiedy Długosz nam powiada, iż Marzana pochodzi z czasów króla Mieczysława i jest pamiątką rozkazu króla tego, aby niszczyć posągi bożków i przyjąć katolicką wiarę, to ks. Laxy powołując się na Wuka Karadzicza, Zacharjasza Schnejdra i innych dziejopisów słowiańskich utrzymuje, iż zwyczaj i oznacza zwycięską walkę wiosny z zimą (umarzanie zimy).

Rzecz się ma tak. Narody przyjmując chrześcijaństwo zachowały niektóre stare obrzędy i obyczaje narodowe, ale stosując je do katolickich wydarzeń (w tym razie do przyjęcia wiary) dały im inne znaczenie. Nawiasem zauważam, iż Lompa w tym samym dniu jak ks. Laxy w Dzienniku Górnośląskim także pisze rozprawę o Marzanie, ale przyjmuje tylko zapatrywanie Długosza. Czy się z ks. Laxym porozumiał?

Na podobną nutę jest pisana druga także w kilku numerach Tygodnika znajdująca się rozprawa p. t. „Uczta wielkanoc-

na“, w której to rozprawie ks. Laxy ubolewa nad wymieraniem starych obrzędów i obyczajów, jak np. święcenia w Wielkanoc mięsa, chleba, jajek, chrzanu, soli itd. „Te bowiem obrzędy chrześcijańskie są zewnętrznem wyrażeniem czyli widzialnem przedstawieniem nauki kościoła“. Mniejszą już mają wartość prace ks. Laxego „Kwiatek Boga Rodzicy“, „Samson“ (obraz wojującego z tym światem i pożądliwościami człowieka; Delila to rozkosz tego świata, włosy Samsona to znamię poświęcenia, niewinności i sprawiedliwości!) „Dobry Pasterz“, gdzie ks. Laxy mówi obszernie o tyfusie głodowym na Górnym Śląsku w latach 1847 i 1848, i „O zaprowadzeniu różańca świętego“, gdzie bardzo dokładnie opisuje bitwę morską pod Lepanto. Jeżeli się swego czasu Dziennik Górnośląski cieszył „z pojawienia się na Śląsku coraz to nowych płodów literackich, szczególnie ks. Laxego“, to my mu dziś przyznajemy słuszność. Powiadamy: Był to kapłan, jakich mało, i szkoda, że już w 41 roku umarł.

XII.

EMANUEL SMOŁKA.

Są ludzie, którzy choć wykonają jaką drobną rzecz, potrafią to zawsze z taką wrzawą uczynić, iż oczy wszystkich ciągle na siebie ściągają, otaczają się blichtrem nieraz niezasłużonym i uchodzą, jakoby się to samo przez się rozumiało, za wielkich, sławnych i jedynych w swoim rodzaju. A znowu są tacy ludzie, którzy jak te mrówki albo pszczółki robocze pracują nieustannie i wytrwale według jakiegoś pewnego planu, ale bez rozgłosu i spokojnie, tak iż ich praca, choć ważna i użyteczna, nikomu w oczy nie wpada. Do tych ostatnich należał Emanuel Smołka, jeden z najwięcej zasłużonych mężów około społeczeństwa górnośląskiego w czasie walki o wolność i konstytucją.

Narodził się Emanuel Smołka (pisał się po polsku Smołka, a nie Smolka) jako syn gospodarza w r. 1820 w Cyprzanowie w Raciborskiem. Nazwisko Smołków w połowie zeszłego stulecia sławnem było na Górnym Śląsku przez trzech Smołków: ks. dra. Jerzego Smołkę, który się nazywał profesorem teologji a był później proboszczem w Pruszkowie; po drugie przez ks. dra. Franciszka Smołkę, który był katechetą przy gimnazjum gliwickiem, później dyrektorem seminarjum w Pyskowicach i nareszcie proboszczem w Namysłowie; a po trzecie przez naszego Emanuela Smołkę. Koniec swoich niższych i średnich nauk odbył na gimnazjum w Raciborzu, gdzie bawił dwa i ćwierć roku, z tego dwa lata w prymie, i gdzie też na Wielkanoc r. 1842 zdał egzamin dojrzałości. Poszedł do Wrocławia i zapisał się na uniwersytecie do wydziału filozoficznego, aby się uczyć na nauczyciela gimnazjalnego. Tu natychmiast jako prawdziwy Górnoślązak wstąpił do jedynego wówczas przy uniwersytecie wrocławskim istniejącego polskiego związku akademickiego „Towarzystwa literacko-słowiańskiego“. Poznał tu w towarzystwie literackiem, co to znaczy życie związkowe, i nauczył się, jak kierować związkiem, jak prowadzić rozprawy, jak na posiedzeniu utrzymać porządek, jednem słowem: wszystko to, co mu się później na Górnym Śląsku miało stać tak pożytecznem. Wzajemne stykanie się Polaków z Śląska z Polakami z Księstwa i Prus tylko na korzyść całego pruskiego zaboru wyjść mogło. Widzimy to stąd, iż wtedy

też zaczęło się zajmować Górnym Śląskiem, jak to wykazuje wykład „Wiadomości o Górnym Śląsku“ w tym czasie w Towarzystwie literackim przez jakiegoś członka wygłoszony. Smołka chciał, jakeśmy to słyszeli, zostać nauczycielem gimnazjalnym. Ale że wtedy było na Górnym Śląsku mało gimnazjów (w Opolu, Gliwicach i Raciborzu) i ponieważ widoki otrzymania posady były bardzo liche, Smołka przysposobił się do egzaminu pro rectoratu (za rektora), który też zdał. Otrzymał w r. 1846 posadę w Bytomiu jako szósty nauczyciel. Wprowadzenie go w nowy urząd odbyło się dnia 6 lipca r. 1846 w następujący sposób: Zrana odprawiono w kościele parafjalnym uroczyste nabożeństwo, podczas którego dzieci śpiewały pieśń „Ciebie Boże wielbimy“. Po nabożeństwie dzieci i ich rodzice szli w procesji z krzyżem na czele i chorągwiami przez rynek do szkoły położonej na placu klasztornym w pobliżu ewangelickiego kościoła. Wszyscy śpiewali starą piękną pieśń „Kto się w opiekę“. Ks. proboszcz Szafranek jako rewizor szkolny w sieni wygłosił kazanie okolicznościowe, w którem porównał nauczycieli z zaprzęgiem koni. Następnie poświęcił dwie nowo urządzone klasy, podał wszystkim krzyż do pocałowania i przedstawił nowego nauczyciela, któremu oddano niższą klasę dziewcząt. Zaprzysiężonym został Smołka przez powiatowego inspektora szkół ks. Markiewkę z Mysłowic 19 grudnia r. 1848, gdy tymczasem już wielkie rzeczy odgrywały się na polu politycznem. Smołka wobec wszystkiego, co się działo, bynajmniej nie był obojętnym podług zasady, którą wygłaszał, iż „każdy człowiek do dwojakiego życia jest przeznaczony, do prywatnego i do publicznego i że grzechem jest żyć życiem publicznem a o prywatnem zapomnieć, z b r o d n i ą zaś myśleć o domu a nie troszczyć się o naród“. Od razu stanął po stronie polskiego ludu „gdyż po Bogu najbardziej ojczyznę i naród miłować trzeba“. Cóż Smołka wyrażając się tak przez słowa „naród“ i „ojczyzna“ rozumiał? Wystarczy krótko powiedzieć, iż nie był on bynajmniej jakimś partykularystą śląskim. „Starając się o dobro ludu, powiada on, powinniśmy dążyć do tego, żeby wszyscy Polacy pod panowaniem pruskiem w jaknajściślejszym połączyli się związku, aby wszyscy przyszli do tego przekonania, że mamy jeden i ten sam interes i że połączeni prędzej dostąpimy wszystkich korzyści“. „Dla tego, powiada dalej, zwrócono uwagę braci Polaków poznańskich i zagranicznych na biedny Śląsk“, dla tego zajmował się sam zbieraniem ofiar dla zasądzonych więźniów politycznych poznańskich i dla tego jest on tego przekonania, „iż związek ten nowo zawarty już więcej zerwanym nie zostanie i że wielkie przyniesie on nam korzyści“.

Ilekroć mówimy o walkach politycznych o wolność i konstytucją w połowie XIX wieku, wspominamy najróżniejsze nazwiska ludzi, którzy w sprawie tej mają swoje zasługi, ale o Smołce najczęściej zapominamy. A jednak stwierdzić trzeby, iż właśnie Smołka był tą sprężyną, która wszystko w ruch wprowadzała. Mówi się, że Lompa z Smołką założył „Towarzystwo Nauczycieli Polaków". Ale jeżeli zważymy, że towarzystwo to miało swoją siedzibę w Bytomiu a Lompa mieszkał w odległej wiosce Lubszy, to pytać się wolno, któż właściwie kierował towarzystwem tem? Mówimy, że prezesem klubu demokratycznego i narodowego był Karol Kosicki, ale dzieje klubu pokazują nam, iż Smołka ustanawiał i naznaczał posiedzenia i najczęściej też w nieobecności prezesa posiedzeniami kierował. To samo trzeba powiedzieć o filji „Ligi Polskiej" i o „Towarzystwie pracujących dla oświaty ludu górnośląskiego". W niektórych z towarzystw tych nie był wcale członkiem zarządu, a jednak on sprawę posuwał naprzód; sam się nie wysuwał, ale w skromności swojej pozwalał innym laury zbierać; inni też pracowali, ale on ich pracę skupiał, bo jeżeli „wszyscy się połączą i wspólnie i z g o d n i e do jednego celu dążyć będą, więcej się uzyska". Celem, do którego dążono, pierwotnym i ostatecznym celem była oświata ludu. „Tylko lud moralny i oświecony wolności prawdziwej dopiąć i takowej bronić potrafi". A ponieważ zastarzała birokracja jest największym albo raczej jedynym wrogiem oświaty i wolności, dla tego wypowiedziano jej wieczną wojnę. Zgromadzano się w skromnem pomieszkaniu Smołki w dawniejszym klasztorze dla omówienia wypadków politycznych i dla załatwienia spraw towarzyskich wszystkich wspomnianych związków. A gdy pod koniec roku 1848 reakcja się wzmagała, wybrano osobną komisję, do której prócz innych należeli nauczyciele Smołka i Markiewka, która to komisja miała się codziennie zgromadzać w Piłkowym folwarku, aby codziennie śledzić wypadki. Smołka należał też do komisji, która miała po rozwiązaniu „Zgromadzenia narodowego" powracającego z Berlina posła ks. Szafranka publicznem obchodem uczcić.

Jednem słowem: Smołka w ruchu tym odgrywał wybitną rolę. Bo był on też urodzonym organizatorem, który wszystko to, co my dziś dla życia w towarzystwach uważamy za niezbędne, już wtedy przewidział i w czyn wprowadził. Największe jednak ma on zasługi w kierowaniu bibljoteki i czytelni, którą w r. 1848 jako pierwszą w Bytomiu urządzono. „Gdyby lud nasz, powiada Smołka, był oświeconym, wiedziałby, jakie mu się prawa i wolności należą i jak się o nie godzi upominać". A skąd to pochodzi, że we wielkiej części naszego ludu jest tyle ciemnoty? Otóż stąd, że „w szkole źle uczą

i że lud mało się zajmuje czytaniem książek i pism pożytecznych". Dla tego dbał on tak bardzo o założenie bibljotek. Prosił nieustannie o przesłanie książek i czasopism, i wkrótce tyle ich nazbierał, że mógł takie, któreby już w czytelni bytomskiej były nieużyteczne, posłać do bibljotek, które w różnych miastach i wsiach Górnego Śląska pozakładano. Były w bilbjotece bytomskiej książki gospodarskie, historyczne, naukowe, ludowe, teologiczne i świeckie, fachowe i zabawne, polityczne i niepolityczne. Tak bogato była wyposażona bibljoteka bytomska, iż nawet księżom radzono, aby sobie stąd pożyczali książek, bo są tam i takie, które się księżom przydać mogą. Czy Smołka bezpośrednio miał jakie zasługi w tem, że równocześnie założono czytelnie w Rybniku, Mysłowicach, Woźnikach, Lubszy, Lubecku, Janowicach itd., dziś trudno stwierdzić. Wnioskować jednak można śmiało tak: że właśnie w takich Janowicach, które było rodzinną parafją Smołki, istniała czytelnia, to Smołka pewnie namówił krewnych i znajomych do założenia takowej albo sam ją zakładać pomagał. Bibljotekę bytomską można uważać niejako za centralną bibljotekę dla całego Górnego Śląska i mamy tu pierwszą probę centralizacji czyli organizacji czytelnictwa na Górnym Śląską.

Jako nauczyciel nie zaniedbał też sprawy szkolnej. Podług czwartego ustępu wniosku ks. Szafranka (porównaj tegoż życie) „aby nauka w szkołach ludowych w okolicach przeważnie polskich tylko w polskiem języku się odbywała; w miejscowościach zaś dwujęzycznych należy obok niemieckich szkół także polskie budować a w tych dopiero na najwyższym stopniu zaczynać się ma z nauką niemczyzny" wolno było, aby w niektórych miastach górnośląskich, które z przywileju tego dotychczas nie były korzystały, założone zostały także szkoły polskie. Byli jednak tacy ludzie, którzy odradzali od szkół polskich, bo mówili, że w takim razie ci, którzy chcą mieć polskie szkoły, będą je też musieli sami utrzymywać. Smołka nazywał to gadaniem i bajdami, bo, powiedział on, „jak będą polskie szkoły, to niemieckich nie będzie". Dnia 18 kwietnia r. 1849 stawił do rady miejskiej bytomskiej wniosek, aby podzielono dzieci szkolne podług języka ojczystego na polskie i niemieckie szkoły. Wniosek ten jednak nie przeszedł i zostało przy tem, iż w bytomskiej szkole uczono równocześnie po polsku i niemiecku.

Smołka był też redaktorem gazet, a to najprzód „Dziennika Górnośląskiego", którego redagował razem z Lompą. W latach zaś 1851 do 1853, gdy Kosicki wydawał u Heneczka w Piekarach „Poradnik dla ludu górnośląskiego", znowu Smołka i Lompa, w gazecie tej byli bardzo czynni. Kosicki artykuły pisywał po wielkiej części

sam, ale ponieważ nie umiał pisać dostatecznie po polsku, dla tego pisywał artykuły po niemiecku, a Smołka i Lompa je tłómaczyli, a czego brakło, dodali sami. Z przyczyn wyżej podanych Lompa nie mógł się zbyt gorliwie oddawać redakcji „Dziennika" i „Poradnika", dla tego główna część pracy spoczywała na barkach Smołki, który jej ale się podjął szczerze i chętnie, bo „pismo każde o tyle ma wartości, o ile dąży do szerzenia prawdziwej oświaty", a dla oświaty on chętnie pracował.

Pod koniec grudnia roku 1853 Smołka otrzymał posadę rektora w Tarnowicach; ale już w pół roku po objęciu tej nieco wygodniejszej i więcej mu odpowiadającej posady, umarł mając dopiero 34 lata życia na wiąd pacierzowy.

XIII.

JULJUSZ LIGOŃ.



Obok Karola Miarki Juljusz Ligoń w swoim czasie pomiędzy obrońcami narodowości polskiej i szermierzami oświaty był najczęściej wspominany. W ostatnich latach był jednak już trochę zapomniany, można powiedzieć zaniedbany, a to dla tego, że starsze pokolenie, które jego działalność znało osobiście, zaczynało wymierać, a młodzi jakoś się nie starali, by go poznać. Świeżo wydane życiorysy jego pozwalają nam i na tem miejscu nieco o nim powiedzieć.

Juljusz Ligoń narodził się jako syn dworskiego kowala dnia 28 lutego roku 1823 w Prądach pod Koszęcinem w powiecie lublinieckim. Po opuszczeniu szkoły ludowej w sąsiednim Strzebinie wyuczył się u ojca swojego kowalstwa a mając 18 lat, puścił się w świat szeroki, by się czego przyuczyć i dorobić, bo jako kowal dworski byłby został czemś w rodzaju niewolnika. Pracował najprzód w Królewskiej Hucie, później ożeniwszy się z Teresą z domu Kawków, pracował na Zawadzkiem przez kilkanaście lat. Całe jego życie było jednem pasmem walk ciężkich o byt i rzetelnej pracy około dobra braci Górnoślązaków. Zaraz w r. 1848, gdy zaświecił słaby promyk politycznej wolności, Ligoń rzucił się na pracę społeczną i już nie przestał pracować około podniesienia ludu aż do śmierci. Już w r. 1850 zaczął pisać do gazet, pisywał przez blisko 40 lat, aby ziomków pouczyć o prawach i obowiązkach względem narodu, a nigdy swoich planów, zamiarów i zapatrywań nie zmienił. Nie wdawał się w kompromisy, nie okłamywał ni siebie ni innych, nie żebrał o pomoc mocniejszych, ale był tego zdania, że polski lud górnośląski, skoro się postawi na własne nogi, będzie dość mocnym i silnym, aby o sobie postanowić i sam siebie rządzić. Na tę nutę cała jego działalność była nastrojoną. Że miał słuszność, każdy mu dziś przyznać musi. Może bylibyśmy dziś w rozwoju

swoim dalej, gdyby ówcześni politycy byli szli za radą jego i byli unikali owej nieszczęsnej polityki ugodowej i kompromisowej, która nas pozbawiła setek tysięcy braci przepadłych w niemiecko-centrowem morzu.

Podziwienia jest godną, że biedny kowal hutniczy, a więc prosty robotnik patrzał tak czerstwo na sprawę niby tak zawiłą, a jednak tak prostą. Nagromadził w głowie swojej tyle mądrości, że można powiedzieć, cały kawał filozofji życia kryje się w słowach i utworach jego. A pochodziło to stąd, że będąc pilnym i pracowitym, uczył się przez całe życie, a będąc przy tem pojętnym, douczył się też czego. Sprowadzał sobie z małego swojego zarobku najróżniejsze książki i dawał sobie takowe przez innych sprowadzać, tak iż z czasem w domu swoim nagromadził własną znaczną bibljotekę, której książki sam czytywał i innym do czytania podawał. Czytając zaś dużo, stał się z czasem tak dobrym patrjotą polskim, jakich wówczas mało było na Górnym Śląsku, stał się tak dzielnym obrońcą sprawy polskiej, że nie łatwo było zachwiać go w zapatrywaniach jego. Opowiadał często z czułością i wzruszeniem, jak pewnego wieczora podczas powstania w r. 1863 trzech wygnańców przybyło do niego, jak ich pod strzechę przyjął i jak ciż wygnańcy wspólnie zaśpiewali „Boże coś Polskę“ i „Z dymem pożarów“. Wzruszająca to była chwila — owi trzej oparli się na izbie, a Juljusz oparł się o piec i trzymając za rękę syna Jana, płakał jak dziecko. Ów syn Jan zaraz nazajutrz począł uczyć się tych pieśni na pamięć i prędzej ojciec nie dał mu spokoju, aż je dobrze na pamięć umiał. Na Zawadzkiem, w Żandowicach i Kielczy dziś jeszcze starzy ludzie Ligonia sobie przypominają i pamiętają, jak on pouczał innych, jak rozdawał druki i jak już wtedy jakieś własne książki miał rozpowszechniać.

Większego rozgłosu nabrał, gdy się około r. 1870 przeniósł do Królewskiej Huty, która w tym czasie była jakoby środowiskiem ruchu narodowego na Górnym Śląsku. Tu wychodził od roku 1869 „Katolik“ Miarki, jedyne na Górnym Śląsku polskie pismo polityczne. Tu mieszkała największa część znanych przywódców ludu górnośląskiego. Wybory pierwszego posła katolickiego — dotychczas wybierano na Górnym Śląsku z polecenia księży wolnokonserwatystów — w pszczyńsko-rybnickiem pokazały, co lud potrafi, jeżeli jest organizowany i ma dobrych przewodników. Założono w r. 1872 za przykładem innych miast w Królewskiej Hucie „Kołko katolickie“, w którem Ligoń sam stał się sekretarzem, a później wiceprezesem. Można jednak śmiało powiedzieć, że na barkach Ligonia ciążyła największa część pracy w „Kółku“. On starał się

o bibljotekę, on starał się o potrzebne wykłady, deklamacje, zabawy i pieśni, które miały życie w „Kółku“ nieco zaognić. W tym celu wydał śpiewnik towarzyski p. t. „Pieśni zabawne“, zawierający pieśni własnego utworu. Starał się przedewszystkiem o teatry, które w związkach naszych nie małą odgrywały i odgrywają rolę. Wtenczas teatr górnośląski znajdował się w początkach swojego rozwoju. Nie mieliśmy zbyt dużo sztuk teatralnych ludowych. Więc tworzyli ludzie różni sztuki takie. I nasz Ligoń ułożył kilka teatrzyków, nazywanych przez niego komedyjkami, i przez to nie mało się przyczynił ku posunięciu sprawy tej tak ważnej! Sztuki jego „Nawrócony“, „Dobry syn“, „Więzień“, „Los sieroty czyli niewinność zwycięża“, „Sierota“ zostały nie tylko w „Kółku“ królewsko-huckiem, ale też w innych związkach z wielkiem powodzeniem odegrane. Ponieważ teatrzyki te najprzód zostały odegrane, a dopiero później drukowane, Ligoń nie małą miał pracę z odpisywaniem ról, jak z wyćwiczeniem amatorów, jak też i z dorobieniem pieśni do sztuk przez innych napisanych.

Ważną i znamienną też rolę odgrywał Ligoń na polu politycznem. Miarka, gdy widział, jak świetnie lud w pszczyńsko-rybnickiem zwyciężył, nosił się przez jakiś czas z myślą utworzenia polskich komitetów wyborczych i wybierania polskich posłów. Wpływali pod tym względem na niego różni polscy działacze, ale też księża górnośląscy go namawiali, aby się oświadczył za partją centrową. Zdaje się, że wpływ centrowców był mocniejszy, bo Miarka uległ ich namowie. Wtedy to Ligoń w przeciwieństwie do Miarki dalej obstawał przy tem, żeby lud górnośląski wybierał polskich posłów i stanowczo domagał się polskich wieców i polskich komitetów wyborczych. A gdy nawoływania te jego na Miarkę wrażenia już nie robiły, Ligoń od niego się odwrócił i przyłączył się do polskiego komitetu wyborczego, który się utworzył w Królewskiej Hucie. Tak samo gdy w r. 1879 wybuchła na Górnym Śląsku klęska głodowa, Ligoń nie należał do głównego komitetu ratunkowego, na którego czele jako „dyrektor“ stał Karol Miarka, ale do osobnego polskiego komitetu, który w „Postępie rolniczym“ Stanisława Przyniczyńskiego i „Gazecie Górnośląskiej“ ks. Fr. Przyniczyńskiego z ofiar rachunki składał. Gdy po „Kółku“ w Królewskiej Hucie założono pierwszy może na Górnym Śląsku polski „Konsum“, i Ligoń około tego wiecle się zasłużył. A gdy w r. 1877 założono znowu w Królewskiej Hucie pierwszą organizację zawodową robotników p. t. „Towarzystwo wzajemnej pomocy“, to Ligoń około tego się krzątał i bardzo tem był uradowa-

ny, bo jak pisze, „w tym przykrym czasie muszą sobie robotnicy sami radzić, gdyż knapszaft nie wiele potem“. Ku temu miał jeszcze czas i ochotę, aby się zająć rozpowszechnieniem polskich elementarzy. Razu jednego otrzymał ich naraz 2000 i narażał się przez to na szykany i udręczenia z strony władz i osób powołanych i niepowołanych.

Mówiąc o Ligoniu, trzeba też uwzględnić jego pracę literacką. Kurjer Poznański pisał o Ligoniu w r. 1881 tak: „Publikacje jego są albo treści religijnej, albo moralnej, obyczajowej w formie dyalogów a nawet w formie teatrów. Główna reprodukcja jego jednak jest na polu wierszy przygodnych. Tych nie zliczyłby już sam Juljusz Ligoń, a wszystkie w formie dość staranne, co do treści są najpoczciwsze. Ale i w opowiadaniu dawnych dziejów próbował Ligoń sił swoich“. Co się tyczy utworów jego religijnych, to wypada tu wspomnieć na przykład „Walka smutku z pociechą“, którą zaofiarował uwięzionemu za obronę kościoła arcybiskupowi Ledóchowskiemu, albo „Ziarnko dla zasiłku ducha“, które dał do przejrzenia ks. Edmundowi Radziwiłłowi. Utwory te są odzwierciedleniem jego prawdziwie czystej duszy. Co się zaś tyczy jego historycznych prac, to należy tu wymienić „Pogadanki wieczorne“, które w swoim czasie miały ogromne powodzenie. Ligoń sam opowiada nam, iż drugą część tych pogadanej wydrukował ks. Radziejewski w kalendarzu „Katolika“ na rok 1883; jako honorarjum dał Ligoniowi 150 egzemplarzy tego kalendarza. „Zacząłem je więc sprzedawać, pisze Ligoń, ale ks. Radziejewskiemu brakło wkrótce, bo tak się naszemu ludowi pogadanki podobały, że cały nakład natychmiast rozkupili i jeszcze więcej żądali, kiedy przeciwnie w zeszłym roku połowa nakładu została. Wziął więc ks. R. i ode mnie 100 egz. napowrót, które jeszcze miałem, bo mnie nie idzie tak łatwo sprzedawać jak jemu przez ogłoszenie w Katoliku“. Pół roku później wydał epos „Obrona Wiednia czyli niemieckiego państwa i chrześcijaństwa przez Jana Sobieskiego króla polskiego 14 września 1683 roku“. Jest to jego największa i najlepsza poezja i spowodowała go do napisania jej myśl wyrażona w następującym wierszu:

By nie myślano, że my Ślązacy
Nie mamy uczuć tak jak Polacy.

Jeżeli porównamy „Obronę Wiednia“ z eposami innych poetów górnośląskich, to musimy powiedzieć, że opisując rzeczy każdemu Polakowi znane i miłe, a więc nie tylko lokalne albo mniej dostępne, jest ona szerszemu ogółowi polskiemu jeszcze najwięcej znana, zwłaszcza że została wydana w nakładzie 6000 egzemplarzy.

Taka działalność Ligonia nie mogła ujść baczności nieżyczliwych ludzi i przeciwników naszej narodowości, co mu sprawiło niejedną przykrość. Ogłoszono go agitatorem wielkopolskim, wytoczono mu procesy prasowe, wydalono go kilka razy z roboty i grożono mu, że będzie musiał po żebraniu chodzić. To wszystko jednak go nie ustraszyło, przeciwnie zahartowało jego ducha narodowego, zawsze bowiem pocieszał się tem, że cierpi dla dobrej sprawy, że cierpi dla polepszenia doli swoich współbraci. Materjalny skutek prześladowań tych był ten, że dom Ligonia nigdy nie opływał zbytkami, a po ostatecznem wygnaniu z pracy w domu jego zapanowała wprost bieda, gdyż trochę grosza, którą sobie zaoszczędził, wydał na wychowanie dzieci, własną i żony chorobę, a pisaniem nie mógł zarobić nic dla tego, że go podpatrywano. Niekiedy nie było co do ust włożyć a często też raz tylko na dzień z żoną suchy chleb jadał. Za radą dobrych przyjaciół zaskarżył kasę dla inwalidztwa „górnośląski knapszaft“ o odszkodowanie za uszkodzone w pracy lewe oko i o dożywotną rentę. Proces trwał około 5 lat, ale nareszcie Ligoń wygrał. „Ze łzą w oku, pisze on z tego powodu, chwytam za pióro, bo właśnie otrzymałem wiadomość, iż proces zakończył się pomyślnie po mojej stronie. Wszystkie wyrazy dziękowania, jakiemi serce moje jest przejęte, najprzód Bogu, wydają mi się niedostatecznemi. Czuję się niegodnym tego dobrodziejstwa. Bo pomimo, że sprawiedliwie się o pensję upominałem, słabą siłą nigdy nie byłbym ją otrzymał. Po otrzymaniu pensji będę wybawiony z biedy i wszelakiego kłopotu. Ks. R. odprawił mszę św. na podziękowanie Panu Bogu, poczem ten drogi dobrodziej jako też pan Sz. i członkowie „Kółka“ przyszli mi winszować. Ks. R. wręczył mi 20 mk., a kasjer Kółka od członków 9 mk. Ks. R. przy życzeniu rozpłakał się, a ja tak samo. Oprócz „Katolika“ i „Gazety Górnośląskiej“ powinszował mi też „Przyjaciel Ludu“ i „Przyjaciel (toruński)“. Wielką radość sprawiło też Ligoniowi, jak pisze w następnym liście, powinszowanie górnośląskiej młodzieży akademickiej: „Od Panów Akademików Górnoślązaków we Wrocławiu otrzymałem także powinszowanie; jest ich podpisanych 18. Posłałem im serdeczną podziękę, a list zachowam jako drogocenną pamiątkę“.

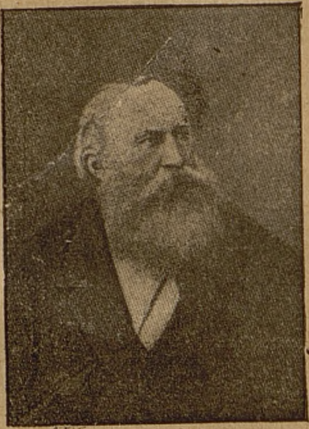
Tak więc na koniec życia jego położenie się trochę polepszyło, ale nie zbyt długo. Sterany bowiem pracą i długoletniemi cierpieniami umarł już dnia 17 listopada r. 1889 w Królewskiej Hucie, żałowany przez wszystkich ziomków, którzy mieli sposobność poznać znaczenie i zacność jego. Na grobie jego na cmentarzu przy kościele św. Barbary w Królewskiej Hucie postawiono nagróbek, na który

rodacy chętnie swe datki składali. Zasłużył rzetelnie na to, gdyż całe życie jego było pracą dla innych i wzorem dla wszystkich, wzorem według wiary, wzorem miłości Boga i bliźniego, wzorem cnót wszelkich, wzorem trzeźwości i dobrych obyczajów, wzorem mrówczej pracowitości. Był on, można powiedzieć, wielkiego talentu i ducha, ale większego jeszcze serca.

Literatura. Kto chce więcej o Ligoniu się dowiedzieć, niechaj czyta: 1) Juljusz Ligoń, jego życie i zasługi względem Górnego Śląska. Napisał ks. Jacek. Opole, Nowiny 1918. 2) Głosy z nad Odry, rocznik II, nr. 4 „Znaczenie Juljusza Ligonia".

XIV.

KAROL MIARKA.



Jeżeli wielcy ludzie podobni są do owych jasnych błyskawic, które piorunem oświecają całe niebo, jeżeli dobroczynna ich siejba przypomina ową biblijną mannę, która w dniach ciężkich żywiła naród wybrany — to drobni i bez rozgłosu krzątający się są owemi gwiazdami przewodniemi w nocy życia, owym czarnym chlebem powszednim, bez którego ludzkość w żaden sposób obejść by się nie mogła. Tamci przychodzą w rzadkich chwilach, wlewają w żyły narodów odżywiające i uzdrawiające soki, ci są ciągle na swojem stanowisku; tamci zakreślają przed niemi szerokie widnokręgi dobrobytu lub sławy, ci obrabiają bezustannie podstawy ich rozwoju. Kto zdolny jest powiedzieć stanowczo, którzy z nich większe pokładają zasługi?

Jednym z takich nieustannych pracowników był Karol Miarka. Żywot jego jest nader zajmujący. Przyszedł na świat dnia 24 października 1824 roku w Pielgrzymowicach w pszczyńskiem, gdzie ojciec jego był nauczycielem szkoły ludowej. Nadzwyczaj uzdolnionego chłopca liczącego 10 lat życia, posyłał do pszczyńskiej szkoły miejskiej. Przyszedł mu z pomocą tamtejszy wikary ks. Wawreczko, biorąc chłopca do siebie do posługi. Wuj Karola ks. Borówka oddał go później do gimnazjum, by z niego został kapłan. Ks. Borówka jednak wkrótce umarł, a młody Karol musiał gimnazjum opuścić. Obrał sobie zawód nauczycielski, przez jeden rok pracował jako pomocnik nauczycielski w Ornontowicach. Potem ukończył seminarjum w Głogówku.

Pełniąc z kolei urząd nauczycielski w Lędzinach, Urbanowicach i Pietrowicach, wioskach w powiecie pszczyńskim, zyskał po śmierci ojca w roku 1850 posadę nauczyciela w Pielgrzymowicach, gdzie też pozostał aż do 2 lutego roku 1869.

Na Śląsku w owym czasie ks. Bernard Bogedain poznawszy lud, pokochał go całem sercem i zaczął pracować nad moralnem jego podniesieniem. Stało się tedy, że ks. Bogedain w jednej z licznych podróży wizytacyjnych odwiedził także szkołę w Pielgrzymowicach, pozostającą pod dozorem Miarki. Doświadczony pedagog pracujący nad ulepszeniem metody wychowania i nauczania, w Miarce natychmiast poznał niepospolitego człowieka, rozmawiał z nim po polsku, chwaląc jego działalność i powiedział, że ustanowi go jako rektora w jakimbądź mieście powiatowem księstwa Poznańskiego, skoro tylko dobrze nauczy się języka polskiego, na co mu cały rok czasu pozostawia.

Miarka niezwłocznie też zabrał się do nauki i z niemałem zdziwieniem poznał, jak wielkie skarby posiada literatura polska. Żałując niezmiernie, że tak długo klejnoty owe przed nim były ukryte, pokochał gorąco język polski, kształcił się w nim i wkrótce takie zrobił postępy, że wkońcu sam zaczął kreślić powiastki polskie dla ludu górnośląskiego. Pierwszą taką pracą jego była powieść „Górka Klemensowa", wydrukowana w roku 1861 w „Gwiazdce Cieszyńskiej", a później wydana w osobnej książce.

Pochlebna krytyka „Tygodnika Literackiego" i jeszcze innych pism zachęciła go przeto do dalszej pracy. Napisał w roku 1864 powieść „Husyci na Górnym Śląsku". W tym to czasie zjawił się w Pielgrzymowicach Józef Chociszewski, zasłużony pisarz i wydawca dzieł ludowych. Zawikłany bowiem w rozruchach z r. 1863, pod przybranem nazwiskiem szukał schronienia w domu Miarki, gdzie trzy miesięczny pobyt jego pod niejednym względem wypadł Miarce na korzyść. Pobudzony przez gościa w długich rozmowach o sprawach polskich, w celu obrony ludu górnośląskiego napisał w r. 1865 dzielną rozprawę „Głos wołającego na puszczy górnośląskiej", w której bardzo dobitnie dowodzi, że germanizacja ludu polskiego nie jest bynajmniej drogą do cywilizacji albowiem historja uczy nas, że cywilizacja nietylko starożytnych, ale wszystkich narodów równym krokiem z wykształceniem i wydoskonaleniem języka przyrodzonego postępowała, ponieważ język jest dźwignią oświaty, jest elektrycznym przewodnikiem kultury. Zwraca się więc Miarka do kolegów nauczycieli i do księży i prosi ich, aby nie poniżali się do ludu, używając lichego języka, lecz aby lud podnosili do siebie, wyrażając się zawsze dobrze po polsku, gdyż kapłani i nauczyciele są przewodnikami ludu, stoją na wyższym stopniu oświaty i mają być dla ludu wzorem.

Całą potęgą słowa pragnie Miarka ożywić serca i natchnąć zapałem ducha swych braci nauczycieli i księży, wołając: „Bracia,

jeżeli około rozszerzenia oświaty cokolwiek czynić będziecie, groby wasze nie będą zapomniane, pamiątka wasza będzie żyła w sercach pokoleń potomnych".

Przekonawszy się Miarka, że miljon polskiej ludności potrzebuje oświaty a że pracowników jest mało, postanowił nie przyjąć posady w Poznańskiem. Podróżując jakiś czas w Księstwie, zajął się tem gorliwiej piśmiennictwem ludowem i z czasem wyszły z pod jego pióra powieści „Szwedzi w Lędzinach", „Kalwarja", „Żywcem zamurowana", „Sądy Boże", „Odpuść nam", „Sieroty", „Wierna Rozia", „Petronella, pustelnica z góry św. Anny". Tymczasem w Piekarach u Heneczka zaczął wychodzić „Zwiastun Górnośląski", którego redaktorem był ks. Purkop, ale pismo to nie miało powodzenia. Za radą ks. biskupa Włodarskiego powołał tedy Heneczek na kierownika rzeczonego pisma Karola Miarkę, pod którego redakcją liczba abonentów z 400 w krótkim czasie podskoczyła na 4 tysiące. W miarę jednak znaczniejszej liczby czytelników, nastawał także większy nawał pracy; przeto Miarka przekonawszy się, że jako redaktor więcej może zdziałać dla dobra ogółu, aniżeli jako nauczyciel, zrzekł się 2 lutego 1869 roku posady nauczycielskiej i osiadł w Królewskiej Hucie.

Niezadługo jednak przekonał się o gorzkim chlebie redaktorskim. Z powodu ujmowania się za wydalonymi kilku uczniami z świeżo otwartego gimnazjum w Bytomiu powstały między nim a chlebodawcami jego nieporozumienia. Miarka nie chcąc zapatrywań swoich zmienić, zniewolony był z redakcji „Zwiastuna" ustąpić. Przebywszy czas niejakiś srogiego niedostatku, Miarka 1 kwietnia 1869 roku kupił od Chociszewskiego „Katolika" i złożywszy wymaganą od rządu kaucją przemienił Katolika od 1 lipca roku 1869 na pismo polityczne. W tym też roku zaczął wydawać kalendarz do dziś wychodzący pod nazwą „Katolik". Skoro tylko posiadł własną gazetę i nie potrzebował na nikogo zważać, ani też ulegać innym osobom, zabrał się do urzeczywistnienia swoich myśli. Nasamprzód więc postanowił naprawić sprawę wybierania posłów na Górnym Śląsku, albowiem dotąd lud głosował, jak mu kazano i wybierał do frakcji wolno-konserwatystów czyli liberałów. Trudność o tyle była wielką, iż księża nie chcieli zerwać z zwyczajem dotychczasowym, aby pokoju nie mącić. Do pierwszych, którzy stanęli po stronie Miarki, należeli ks. Ring, przez całe życie dobry Polak, ks. Braun, dyrektor seminarjum nauczycielskiego w Pilchowicach, który później za polską sprawę też cierpieć musiał i ks. Tomasz Kulka, którego życie w niniejszej książce jest opisane. Próba się udała... wybrano większością głosów pierwszego katolic-

kiego posła w pszczyńskiem w r. 1871. Odtąd już srożyła się coraz to zapalczywsza walka pomiędzy Miarką a stronnictwami liberalnemi. Przybliżały się nowe wybory. Miarka napisał w r. 1873 obszerną broszurę „Kógo wybierać?“ Teraz już lud obrał ośmiu posłów katolickich, parlament jednak został rozwiązany. W nowej walce przedwyborczej liberałowie nie widząc innej rady, chcieli Miarkę przekupić, ofiarując mu 30 tysięcy talarów i za każdego posła liberalnego dalsze dwa tysiące, jeżeliby o wyborach pięć lat nic nie pisał.

Silna to wprawdzie była pokusa, bo pieniędzy dużo, a w domu nie najlepiej się powodziło, gdyż liczna była rodzina do wyżywienia. Mimo to Miarka nie zeszedł z drogi raz obranej, owszem napisał gromką odezwę, zatytułowaną „Jezus, Marja, Józef!“ Bismarck odczytał publicznie odezwę, nazywając Miarkę niebezpiecznym człowiekiem. Tenże jednak napisał „Otwarty list do ks. Bismarcka“, drukując go w Katoliku. Miało to wszakże ten skutek, że w jednym miesiącu wytoczono Miarce aż 28 procesów. Miarka przesiedział 10 miesięcy w więzieniu i z natury słabowity, dużo ucierpiał na zdrowiu. Przeniósł się do Mikołowa i zajął się stanem wieśniaczym. Zakładał kółka polskie, bibljoteki i urządzał przedstawienia amatorskie, dla których pisał sam sztuki teatralne, jako to „Dzwonek św. Jadwigi“, „Błogosławieństwo matki“, „Żuawi“, „Stawka“, „Rewolucja kobiet“, „Mosiek spekulant“, „Żłóbek“, „Uczciwość nagrodzona“, „Kulturnik“. Nadto założył rodzaj banku ludowego „Towarzystwo kredytowe“ i wydawał „Poradnik gospodarczy“ i „Monikę“. Dla kółek tych i towarzystw napisał: „Konsumy czyli nauka o sklepach ludowych“, a dla ogółu inne pouczające rozprawy jako: „Przyjaciel górników“, „Tajemnice Talmudu“, „Masoni czyli Wolnomularze“, „Życiorys Ojca św. Piusa IX“, „Cudowne objawienia i proroctwo“, „Książeczka jubileuszowa r. 1875“, „Pamiątka 50-letniego jubileuszu kapłaństwa biskupa Henryka Förstra“, „Pierwsza spowiedź“, „Katechizm rzymsko-katolicki“, „Żywoty świętych Patronów polskich“ itd.

Nie dość na tem. Gdy w r. 1879 niebywałe deszcze nie tylko zniszczyły zasiewy ale też liche żniwo, nawiedziła Górny Śląsk wielka klęska głodowa. Dzienniki szeroko o tem się rozpisywały i Polacy, znani z swej ofiarności, nie szczędzili jałmużny a niebawem posypały się dary pieniężne, w zbożu, żywności i odzieży, wszystko zaś szło na ręce Miarki. Zaprawdę zdumiewać się trzeba i podziwiać wspaniałomyślną ofiarność społeczeństwa polskiego w owym czasie. Sam Miarka doniósł do „Tygodnika Illustrowanego“ nr. 226 z dnia 24 kwietnia 1880 r., że ofiary przewyższają za-

pomogę udzieloną przez rząd i że uważa teraz już za obowiązek sumienia prosić o zamknięcie składek. Pomoc ta dla spustoszonej przez rozszalały żywioł krainy nie była jedynie chwilowem nakarmieniem głodnych; ona podniosła serce i ducha ludu górnośląskiego, ożywionego uczuciem wdzięczności dla braci Polaków z sąsiedniej okolicy. Ale to właśnie nie podobało się pewnym ludziom. Posądzono go o oszustwo. Dla tego też mąż, o którym w historji chlubnie zapisano, że z godnością odrzucił ofiarę z strony liberałów 30 tysięcy talarów, czuł się upokorzonym. Na twarzy jego wyryło się strapienie, a bezsenności i zdenerwowanie wyczerpały coraz więcej jego siły. Do tego rana w nodze, która w czasie osiadywania ostatniej kary więziennej zaczęła mu gnić, jątrzyła się coraz więcej, tak iż Miarka, opuściwszy granice państwa pruskiego i wyjechawszy dla spokoju i wytchnienia na Śląsk austrjacki do Cieszyna, musiał się poddać amputacji nogi, wskutek której umarł dnia 15 sierpnia 1882 roku.

Cała Polska uczciła Miarkę niejednokrotnie, wszakże największy pomnik sam sobie wystawił, a tym pomnikiem jest cały lud śląski, który od Miarki się nauczył, jak bronić swoich najdroższych skarbów, wiary i języka; lud śląski Miarce na zawsze wdzięczność zachowie.

Literatura. O Miarce pisały niemal wszystkie gazety polskie nie tylko na Śląsku, ale też poza granicami Śląska. Najobszerniejszą biografją napisał Stanisław Bełza p. t. Karol Miarka, kartka z dziejów Górnego Śląska; Warszawa 1880. Życiorysu wyczerpującego, któryby uwzględnił całą pracę literacką, społeczną i polityczną, nie posiadamy.

XV.

JAN GAJDA.

Człowiek przy troszeczce bystrego rozumu i silnej woli i byleby był pracowitym dokazać może wielkich rzeczy. Bo też nie o to chodzi, czyśmy się urodzili wysoce utalentowani, to szczególny dar Boży, ale o to, abyśmy tym talentem, którym nas obdarzyła Opatrzność, szafowali. Z pewnością dużo da się jeszcze przypracować. Mamy przykład na Gajdzie, od którego niejeden może się dużo nauczyć, a o którym niestety mało co wiemy. Tylko Przegląd Poznański z r. 1849 pisał o nim, że jest wierszopisarzym, a profesor Karwowski w książce „Polacy a język polski na Śląsku" na str. 35 kilku słowami o nim wspomina.

Jan Gajda narodził się dnia 4 lipca r. 1827 w Ciasnem w Lublinieckiem. Pewnie rodzice jego Antoni Gajda i Karolina z Suchanków wcześnie mu umarli albowiem Jan młodość swoją przepędził w Kochanowicach w domu nauczyciela Hahnheisera i na probostwie lubeckiem, gdzie pomagał w pracy domowej, do szkoły uczęszczał i księżom do mszy św. usługiwał. Chłopca żywego i pilnie się uczącego oddano w 14 roku życia pewnemu malarzowi w Kluczborku, aby go wyuczył malarstwa. Później Jan Gajda pracował u jakiegoś malarza we Wrocławiu. W r. 1847 osiadł w Lubecku jako malarz pokojowy, nie kontentując się bynajmniej tem, czego go nauczyli owi „pokojowi malarze", ale kształcąc się dalej i wzorując na przykładach starych mistrzów. Był sobie z początku skromnym malarzem i malował co mu zlecono, pokoje w domach prywatnych, na probostwach i w siedzibach okolicznych dziedziców. A że był człowiekiem poczciwym, pracy miał dość. W Lubecku zaskoczyła go klęska głodowa i tyfus, które nawiedziły największą część Górnego Śląska, zaskoczyły go wypadki polityczne w r. 1848. W obuch odgrywał Gajda wybitną rolę, albowiem dola ziomków nie mogła mu być obojętną, skoro się sam naocznie, będąc na obczyźnie mógł przekonać, jak wszędzie upośledzano Górnoślązaków. Tak głęboko był przejęty tem strasznem nieszczęściem, iż ułożył ową rzewną „Modlitwę za utrapionych Górnoślązaków", zaczynającą się od słów:

Wszechmocny Boże, Ojcze wieczny w niebie,
Tyś pomoc nasza jest w każdej potrzebie,
Z Twojej mądrości, za nasze złości
Zesłałeś trwogi na lud ubogi.
W część ojczyzny naszej

a składają się z jedenastu zwrotek. Ponieważ pieśń ta była ułożona według znanej melodji, wszędzie ją śpiewano i Gajda już jakowejś sławy dostąpił. Zachęcony pierwszem tem powodzeniem przesłał jeszcze kilka własnych pieśni do druku „Dziennikowi Górnośląskiemu“, których jednak tutaj z powodu braku miejsca nie drukowano, ale które natomiast wydrukował mu drukarz Kolano w Lublińcu. W ruchach politycznych i narodowych w r. 1848 żywy brał udział. „Bracia, pisze on, wiekopomne czasy i lud pospolity z letargu przebudziły i stanowisko jego opłakane publiczności na widok wyprowadziły. A i dla nas zbliżają się inne czasy, gdzie i my do narodów oświeconych liczyć się będziemy mógli“. Więc o to mu chodziło, aby lud oświecić, bo gdzie oświata, tam wolność, tam dobrobyt. „Lecz abyśmy cel ten osięgli, pisze on dalej, musimy pracować, bo bez pracy nie masz kołaczy. Pytacie się: jako? słuchajcie! — Uczy nas historja Anglików, Francuzów i Niemców, że gdy się lud pobrata i połączy w jedną jedyną całość, tego największy wróg nie pokona. I my to samo czynić możemy, oparci na wolnościach konstytucyjnych“. Nie były to jednak puste słowa, którym by czyny nie odpowiadały. I choć mieszkał nie w mieście Bytomiu, ale na wsi, to jednak życie w Lubecku niejednej innej większej miejscowości mogłoby za wzór posłużyć. „Napocznijcie, powiada on, to tak jak my. Zgromadziliśmy się 40 członków i założyliśmy klub niedzielny. Co niedzielę gromadzą się licznie członkowie do naszego sołtysa, gdzie im czytam „Dziennik Górnośląski“, „Gazetę Polską“ i inne pożyteczne pisma treści zabawnej. Gdyby po innych gminach w okolicy także kluby się tworzyły, nie widzielibyśmy w niedzielę popołudniu chłopków naszych albo siedzących w karczmach, albo za piecem na ławach leżących. Tak byśmy w dwójnasób ojczyźnie się przysłużyli“. I dlatego, aby lud nie tylko z gazet się oświecał, ale też z innych pism, i aby dążył naprzód, założono w Lubecku czytelnię, do której „pewien członek“ jako na początek zaofiarował 20 książek, zrobiono początek z odgrywaniem teatrów amatorskich polskich i nadto założono przy tamtejszym klubie niedzielnym osobną kasę pożyczkową. Słyszymy po raz pierwszy na Górnym Śląsku o odgrywaniu teatrów amatorskich i o kasach pożyczkowych. Gajda podał tę myśl i w czyn przeprowadził, ten

Gajda, który sobie był prostym człowiekiem „malarzem pokojowym", ale że miał, jak się to mówi, głowę na karku, umiał podać takie szlachetne i genialne plany. Tymczasem Gajda w roku 1850 przeniósł się z Lubecka do Lublińca, albowiem Lubliniec jako miasto był bądź co bądź środowiskiem całej okolicy i obiecywał rzemieślnikowi lepsze warunki życia. Gajda sam z malarza pokojowego przerobił się w malarza kościołów. Takim się już odtąd nazywał. Nie tylko że malował ornamentacją kościołów, najczęściej według własnych pomysłów, to odważał on się też już teraz do wymalowania na sufitach albo ścianach kościołów obrazów, niekiedy bardzo wielkich rozmiarów, które doborem farb i akuratnością wykonania celowały. Malował, jakeśmy już słyszeli, najchętniej wzorując się na starych mistrzach, ale też często, kiedy takich wzorów u starych mistrzów nie znajdywał, konstruował sam. Weźmy np. taki obraz z najdawniejszych jego czasów, to jest obraz na suficie kościoła w Lubecku, to powiedzieć musimy, że jeżeli obraz ten jest oryginalną koncepcją, w takim razie był to malarz niepospolitego talentu. W r. 1850 malował dla kościoła w Żyglinie drogę krzyżową. Praca ta polecała go tak, iż odtąd tylko Gajdzie oddawano wymalowanie kościołów w Lublinieckiem, Oleskiem i sąsiednich powiatach. Jak dawniej w Lubecku, tak teraz w Lublińcu gromadził on około siebie równie usposobionych i czujących ludzi. Z nimi omawiał polityczne wypadki, z nimi się radził, jak społeczeństwo całe doprowadzić do lepszego pojęcia sprawy narodowej. Jest pewną rzeczą, iż nie wygłaszano w gronie tem wspaniałych mów, lecz obradywano prosto i spokojnie. Ale jednak w sercach ludzi tych pałała szczera miłość ku sprawie ogólnej, żyła mocna wola, sprawę ludu, sprawę Górnego Śląska postawić na nowych, trwałych fundamentach. Jaka miłość i serdeczność łączyła przyjaciół tych, poznajemy z wiersza, który ułożył Gajda na p r z y j ę c i e u l u b i e ń c ó w w domu swoim, który był sobie w Lublińcu na ulicy wiodącej do Tworoga postawił:

Nie mam srebra, ani złota,
Nie dawają mi procentów;
Uboga moja prostota,
Nie znam dzisiejszych wykrętów.

Prostak jestem z urodzenia,
Po prostu mówię i czuję,
Prosty sposób mam myślenia,
Po prostu was też przyjmuję.

Oto domek mój gościnny;
I to, co mojem widzicie,
Niech wam będzie tak przyjemny,
Jako mnie wasze przybycie.

Sam te kamienie stawiałem,
Sam te ściany'm wymalował;
Robiąc to sobie myślałem,
Że was tu będę przyjmował.

Oto owoce i kwiatki,
Oto zielona murawa,
To moje wszystkie dostatki,
To moja dzienna zabawa.

Nie żal mi, żem nie bogatym,
Ni panem kraju'm wielkiego;
Mogę bawić w gronie waszem
Na wielką pamięć dnia tego.

Przeto wyrznę na kamieniu
Rzędem was wszystkich imiona,
Pewnie, że tutaj w tym cieniu
Cnota z miłością złączona.

Wszyscy teraz tu siedzimy:
Rozkosz serca niech owładnie!
Kto wie, gdzie za rok będziemy?
Może domek ten upadnie.

Pewna przyjaźń łączyła Gajdę z gospodarzem i kościelnym przy kościele lublinieckim Damrotem, ojcem naszego największego wieszcza górnośląskiego ks. Konstantego Damrota czyli Czesława Lubińskiego. Przez całe życie opowiadał Gajda o najpiękniejszych tych chwilach, które przepędził w gronie tej zacnej familji a szczególnie cieszył się, że z tego małego Kostusia z wiecznie czerwonemi licami, którego bawił prostemi swojemi opowiadaniami, stał się tak sławny a wielce około społeczeństwa naszego zasłużony mąż. Tu w Lublińcu wydał Gajda u Kukucza z przywiązania ku parafji, w której się rodził i przeżył młode swoje lata, „Krótki opis o znalezieniu cudownego obrazu Najśw. Panny Marji w Lubecku", dodając do broszury tej 8 pieśni własnego utworu. Od roku 1862 zamieszkał Gajda w Żorach. Można powiedzieć, malował on największą część kościołów w pszczyńskim, rybnickim i sąsiednich powiatach. Nie miałoby znaczenia, gdybyśmy je chcieli wszystkie wy-

liczyć, gdyż wielka ich część znowu zaś przemalowaną została. To jest pewną, iż niejeden kościół teraz jeszcze mieści w sobie pamiątkę po Gajdzie, bądź w jakim obrazie ołtarzowym, bądź na chorągwi lub na suficie. W Żorach założył Gajda „Kółko", w którem uprawiał dla obywateli miasta politykę na tle iście katolickiem. Nie szczędził trudów ni kosztów, aby związek ten odpowiadał wymaganiom nowomodnych czasów. Tłómaczył teatry z niemieckiego języka na polski, sam układał sztuki teatralne, dobierał sztuki Miarki, Ligonia i innych autorów, miewał wykłady, wygłaszał wiersze własnego utworu, byle obywateli bawić i oświecać. Jeszcze w roku 1887 i 1893 zrobił pieśni na złoty jubileusz kapłaństwa i biskupstwa papieża Leona XIII i w „Kółku" z członkami je śpiewa „Panujący w świecie na najstarszym tronie" i „Zaśpiewajmy dziś wesoło Ojcu świętemu". W tych latach też ułożył pieśń na ulubiony przez naszych górnośląskich poetów temat o ziemi śląskiej, zaczynającą się od słów:

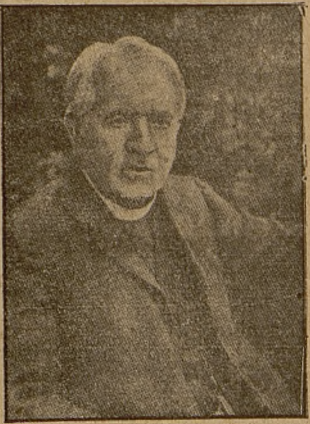
Znasz ty tę ziemię, co z wszystkich skarbów słynie?
Z której dla obcych złoto w kieszeń płynie:
To jest śląska ziemia żyzna,
To ma kochana ojczyzna;

a pokazującą nam najlepiej usposobienie Gajdy.

Gdy Gajda się starzał, usuwał się powoli od polityki a i polityka usuwała się coraz to więcej z rąk jego. Przyszli nowi ludzie z nowemi zapatrywaniami i nowym sposobem walki. Gajda patrzał na ich dążenia nieco zdumiony, ale podążyć za nimi już nie mógł. Wolał się przeto zajmować sprawami nieco już spokojniejszemi, a to mianowicie sprawą misji katolickiej. Czytywał dużo o misjach i takowe według możności ofiarami wspierał. Kochał szczególnie swoje „Wiadomości Saleziańskie", bo polubił ten zakon jako najnowomodniejszy i najwięcej odpowiadający wymogom praktycznego życia. Spędzając tak ostatnie lata zbożnie i skromnie umarł w Żorach dnia 8 października r. 1911 w 85 roku życia swego.

XVI.

Ks. TOMASZ KULKA.



Gdy ks. Kulka w październiku roku 1914 umarł, stosunki wojenne na Górnym Śląsku były tak groźne, iż zapomniano o tem gazetom donieść, aby lud się dowiedział o śmierci i pogrzebie zacnego tego kapłana. Dla tego też Gazeta Opolska pisząc o śmierci ks. Kulki tak się wyraziła: „Chociaż atoli szerszym kołom ludu polskiego zapomniano przez gazety polskie dać znać o śmierci gorliwego kapłana i obrońcy jego, to jednak lud nie zapomni swego czcigodnego i zacnego szermierza i zachowa niewątpliwie wdzięczna o nim pamięć, przekazując cześć dla zmarłego i przykład jego, jak kochać należy sprawę ojczystą, młodszym pokoleniom“. W tym celu poświęca mu się niniejszą kartkę pamiątkową.

Ks. Tomasz Kulka urodził się dnia 16 grudnia r. 1836 w Gliwicach, gdzie też kształcił się w szkołach i ukończył gimnazjum. Jako student teologji bawił przez rok w Księstwie Poznańskiem w domu hrabiego Mycielskiego w Chociszewicach, u którego był nauczycielem domowym i przygotowywał dwóch synów hrabiowskich, Ludwika i Józefa, do szkół. Pobyt w domu patrjotycznie usposobionym i w otoczeniu na wskroś polskiem nie mało wpłynął na narodowe usposobienie jego. Poczuł się całem sercem synem narodu polskiego i jako taki żył, działał i cierpiał dla społeczeństwa. Wróciwszy z księstwa do Wrocławia, ukończył tu studja swoje i w dniu 6 lipca 1861 roku został wyświęcony na kapłana. Posłała go władza biskupia jako kapelana do Starego Bierunia, miasteczka w powiecie pszczyńskim, gdzie miał dzięki coraz bardziej szalejącej wichury walki kulturnej pozostać 22 lata. Oddał się tutaj natychmiast gorliwie wzniosłemu swemu powołaniu, z którem łączył troskliwość o uświadomienie i oświatę ludu.

Nie były to małe i poślednie walki, jakie staczał w obronie wiary. Chodziło wtedy przedewszystkiem o odpieranie napaści ze strony wrogów zakonów i prawd objawienia. Już wtenczas bowiem powstali wśród uczonych niedowiarkowie, którzy powołując się na wyniki badań natury chcieli tem niby wszystko udowodnić, a nawet i to, że zakony katolickie są niepotrzebne, aby tak lud odwieść od pojęć chrześcijańskich o Bogu i od kościoła. Ks. Kulka był jednym z tych, a nie najpośledniejszym z apologetów katolickich, którzy w rozprawach i artykułach naukowych zbijali błędne zasady niedowiarków a bronili prawd wiary katolickiej. Jego rozprawy miały ten skutek, że naprzykład sławny wśród „uczonych" profesor Vogt, który przybył do Berlina, aby lud nakłonić do uwierzenia, iż człowiek od małpy pochodzi, od swego zamiaru odstąpił. Nastąpiły czasy staro-katolicyzmu i walki kulturnej, w których to walkach chodziło o złamanie wpływu duchowieństwa i wogóle kościoła katolickiego na lud. Na Górnym Śląsku szerzył pomiędzy polskimi katolikami staro-katolicyzm ks. Paweł Kamiński z Katowic. Widząc, iż staro-katolicy są popierani przez rząd, spostrzegł on, że tu ma najlepszą sposobność napełnienia swojej kieszeni, a jako dzielny mówca mógł rzeczywiście wierze zaszkodzić. Wydawał też w tym celu z funduszów dobrych przyjaciół własną gazetę p. t. „Prawda". Kamiński krótko przed tem wydał bardzo dobrą na Górnym Śląsku dość rozpowszechnioną książkę „Czternaście Stacji" a książki tej ks. Kulka użył jako broni przeciwko samemu Kamińskiemu. Było to w roku 1873, gdy Ojciec św. Pius IX w liście wystosowanym do cesarza Wilhelma I z powodu walki kulturnej wyraził się, iż obowiązanym jest każdemu chrześcijaninowi prawdę w oczy powiedzieć, bo każdy chrześcijanin podlega papieżowi. Nie było trudno słowa Ojca św. przedstawić jako ciężką obrazę dla protestantów, której papież się rzekomo dopuścił wobec nich i cesarza, boć słowa, iż każdy ochrzcony podlega papieżowi", nie mogą nic innego oznaczać, jak że wszyscy protestanci powinni się stać katolikami. A że Bismarck postanowił był całe protestanckie Niemcy nienawiścią swoją i żądzą zemsty napełnić i przeciwko katolikom podburzyć, o tem świadczy list jego, który z podpisem cesarza kazał w wszystkich pismach urzędowych w całych Prusach rozpowszechnić, z tym dodatkiem, aby go w każdej gminie odczytano. Aby niebezpieczeństwu grożącemu stąd katolikom zapobiedz, trzeba było jasno dowieść, że papież nie postąpił sobie po arogancku. W tym celu ks. Kulka ogłosił w najgłówniejszych gazetach artykuł, w którym dowodził, iż twierdzenie papieża jest to ogólnie przyjęta nauka uczonych kościoła katolickiego i przekonanie wszyst-

kich katolików. Jako na świadka powołał się na staro-katolickiego księdza Kamińskiego, który w książce swojej „Czternaście Stacyj" to samo zdanie dosłownie umieścił, a zatem sam jego ważność uznał. To wyjaśnienie sprawy przyczyniło się wielce do tego, że znaczenie Kamińskiego nawet u staro-katolików zmalało, natomiast powaga papieża rosła.

Mniej więcej w tym samym czasie przewrotni katolicy, zwłaszcza między szlachtą niemiecką i urzędnikami, założyli sobie gazetę pod nazwą „Ślązaka", wydawanego w Pszczynie przez niejakiegoś Norasa, aby podkopać wpływ „Katolika" i uniemożliwić obronę, którą był znalazł polski lud w „Katoliku", i aby nakłonić lud do wybierania na posłów niedowiarków i wrogów kościoła. Wtedy to znajomość stosunków i przewrotności założycieli i redaktorów „Ślązaka" a szczególnie Norasa ks. Kulce będącemu wówczas kapelanem w pobliskim Bieruniu bardzo się przydała a sprawie się przysłużyła. Ks. Kulka wiedzę tę swoją zaofiarował „Katolikowi", użył jej też w innych katolickich gazetach z takim skutkiem, iż lud wkrótce z pogardą na redaktora i jego pismo patrzał, a „Ślązak" wpływ zupełnie stracił. Walka ks. Kulki z Kamińskim i „Ślązakiem" Norasa jest interesującą, ale zbyt długą, aby na miejscu tem obszerniej mogła być opisaną. To tylko chcieliśmy sobie tu jeszcze przypomnieć, iż wystąpił on też do otwartej walki z zdrajcami tymi. Kamińskiemu n. p. chcącemu w bieruńskiej parafji, w Biasowicach, urządzić wiec ludowy, zgotował tam takie przyjęcie, iż pomimo opieki żandarmów zwinął swoje manatki i znikł.

Gorliwość jego nie mogła ujść baczności wrogów wiary i ludu katolickiego. Niebawem padł też ofiarą ich zemsty, został bowiem za rozszerzenie książki „Stary Bóg żyje" skazany na trzy miesiące więzienia. Cios ten jednak bynajmniej nie złamał młodego kapłana, przeciwnie dodał mu otuchy do walki i pracy za kościół i lud. Jako serdeczny przyjaciel i niestrudzony obrońca wiary i ludu pisywał niezliczone korespondencje do gazet katolickich, a szczególnie do „Katolika", ówczesnego jedynego polskiego pisma na Śląsku, i zwalczał skutecznie przeciwników, starających się zbliżyć do polskiego ludu w rozmaity sposób i usiłujących w różny sposób temuż ludowi szkodzić.

Tymczasem walka kulturna o tyle się uspokoiła, iż rząd pozwolił, aby parafje osierocone zostały obsadzone przez tak zwanych „duszpasterzy pomocniczych". I ks. Kulka stał się w r. 1883 pasterzem takiej osieroconej parafji, a mianowicie grzędzińskiej w powiecie kozielskim. Tu pracował około 3 lata. W r. zaś 1886

stał się nareszcie proboszczem w Chrzumczycach w Opolskiem, gdzie został 28 lat t. j. aż do pensjonowania go. Walka kulturna przyczyniła się wielce do rozwoju niewiary i socjalnej demokracji, która też na Górnym Śląsku próbowała swoje korzenie zapuścić. Aby zapobiec niebezpieczeństwu, które stąd groziło wierze i kościołowi, ks. Kulka napisał w r. 1891 pod przybranem nazwiskiem „Kłamcozbija" książkę p. t. „Wilk socjaldemokratycki", wydaną u „Katolika" w Bytomiu. Autor w książce tej w należyty sposób przedstawił zasady socjalistyczne a lud rozchwytał ją w lot i był w stanie w rozmowach szerzycielom nowych zasad dać należytą odprawę.

Jednakże do większych jeszcze zwycięstw było pióro jego przeznaczone. Znamy ks. Kulkę jako autora rozpraw ludowych, jako bojownika za wiarę i kościół, jako dzielnego Polaka itd., ale prawie nieznanym jest on szerszym warstwom jako filozof, choć okres ten życia jego był najważniejszym i choć, można powiedzieć, ks. Kulka pomiędzy Ślązakami pod tym względem „w swoim rodzaju był jedyny". Obrał sobie najtrudniejszy i najniedostępniejszy oddział nauki: filozofję, a w szczególności biologję. Więc nie dziwota, że go nie znamy. Bardzo często zdarza się u nas, że ludzie poczytywani powszechnie za wykształconych, a nawet i uczonych, umiejących wyliczać dokładnie nazwy autorów i ich dzieła na polu literatury, nie znają nawet z imienia głośnych pracowników na polu biologji. Niewiedza ta nasza o tyle jest do uniewinnienia, że ks. Kulka książki swoje w dziedzinie biologji pisywał pod pseudonimem „Globuli". Można śmiało twierdzić, iż ks. Kulka na całym Śląsku był jedyny ksiądz, który miał gruntowną wiedzę w biologji, i nikt też, o ile nam wiadomo, o rzeczach tych prócz ks. Kulki nie pisywał. Znane są nam na razie 6 tytułów książek, które napisał, i już tytuły te są tak naukowo pisane, że wyszczególnienie ich możemy sobie tu darować. Może jednak znajdzie się raz ktoś, jakiś mąż z zawodu, który książki te przestudjuje i powie nam, co się w nich zawiera i jakie miejsce ks. Kulce pomiędzy polskimi biologami przeznaczyć. W roku 1916 ukazała się w Warszawie książka „Szlakami nauki ojczystej" dr. Nusbaum-Hilarowicza obejmująca 21 życiorysów polskich biologów. Stosunki wojenne stały temu na przeszkodzie, że pominięty został szereg osobistości biologów, które zasługują na pomieszczenie ich biografji. Dr. Dybowski rencenzując książkę tę w „Dzienniku Poznańskim" podaje spis 17 nowych biologów kwalifikujących się, aby umieszczone zostały ich biografje w przyszłych wydaniach. My ze swojej strony polecamy ks. Kulkę jako ośmnastego!

Że ks. Kulka występował zawsze gorąco w obronie polskiego ludu, z którego pochodził, to nikogo dziwić nie może. Wyćwiczony w tak ciężkich walkach przeciw wrogom wiary, nie potrzebował się dać pouczyć, po której stronie mu przypadało stanąć w walce przeciwko żywiołowi polskiemu. Tylko człowiek z ograniczonym rozumem, człowiek nie będący w stanie sam z siebie coś osięgnąć i potrzebujący dla tego opieki rządu, panów i Bóg wie kogo, człowiek bez ideałów, może być wrogiem polskiego ludu, albo obojętnym. Jeżeli widzimy ks. Kulkę walczącego po stronie polskich gazet, to pochodzi to stąd, iż był przekonany, że gazety te walczą w imię dobrej sprawy, za prawa ludu polskiego. Pochodzi to też z wdzięczności dla tego ludu za wierne wytrwanie przy sztandarze wiary, czego dowody złożył w walce kulturnej. Przy pomocy tego ludu udało się przecież pozbawić na Górnym Śląsku mandatów poselskich dawniejszych przyjaciół Bismarka, który chcąc się pomścić za to, postanowił żywioł polski w Prusach tak osłabić, żeby duchowieństwo na jego poparcie więcej liczyć nie mogło. Znał doskonale ks. Kulka kierunek dążeń rządu i jego polityki, tem więcej poznał też ważność gazet ludowych, tak dla wiernego ludu polskiego jak i dla duchowieństwa.

Kiedy nastąpiła zmiana polityki śląskich przewódzców centrowych, ks. Kulka ani na chwilę nie pozwoli sobie przyćmić jasnego wzroku. Nie chciał też zasłużyć na zarzut niewdzięczności, gdyby opuścił szeregi niesprawiedliwie prześladowanego żywiołu, chociaż mu nieraz przychodziło trudno zwrócić pióro swe przeciwko dawniejszym współbojownikom i młodszemu pokoleniu duchowieństwa, dla którego walka gazet polskich przeciwko centrowcom jako pomocnikom rządowej polityki, pozostała niezrozumiałą.

W r. 1911 obchodził ks. Kulka przy udziale ludu polskiego Górnego Śląska złoty jubileusz kapłański i zdawało się przy najlepszem zdrowiu. Tymczasem niedomagał on już od dłuższego czasu na jakąś ciężką wewnętrzną chorobę, choć tego na zewnątrz nie pokazywał. Dla tego niespodzianka to była wielka, gdy dwa lata później, poszedł na pensję i gdy w r. 1914 nagle umarł. Wiadomość ta, pisała „Gazeta Opolska", wywołała, aczkolwiek ks. Kulka był już w podeszłym wieku, bezwątpienia powszechny smutek, zwłaszcza, że opuszczając Chrzumczyce w listopadzie r. 1913 i udając się na wypoczynek, był on jeszcze nader rzeźkim i odznaczał się jak za lat młodszych, ciągle prawie równym, nader ruchliwym temperamentem, tak iż sądzić było można, że jeszcze dłużej pożyje. Mieszkał pod koniec życia w Zaborzu. Choroba się jednak wzmagała i sprawiała mu tyle boleści, że udał się w celu operacji do Wrocławia do

klasztoru braci miłosiernych, gdzie też umarł 12 października r. 1914. Zwłoki ks. Kulki powinne być na Górnym Śląsku, do Chrzumczyc, gdzie najdłużej 28 lat pracował, sprowadzone. Tu powinnien on spoczywać pomiędzy swoimi ziomkami, dla których żył i pracował, tu powinien się też jakiś pomnik znajdować, którby późniejszym pokoleniom przypomniał, zasługi tego przyjaciela ludu górnośląskiego.

XVII.

Ks. NORBERT BĄCZEK.



Ksiądz Bączek był męczennikiem za sprawę kościoła, bo siedział trzy miesiące we więzieniu za przetłómaczenie i wydanie napisanej w obronie wiary katolickiej, przez Bolandena książki „Stary Bóg żyje". Nie zamierzam tu jednak opisać tak bardzo jego religijne działalności, jak raczej jego pracę narodową, choć jedno z drugiem bardzo się łączy. Jako Polak był proboszczem w jednem z największych miast górnośląskich i nie tylko był Polakiem, ale też, jako szczery Polak postępował i wiele dobrego dla ludu polskiego zdziałał.

Norbert Bączek narodził się dnia 6 czerwca roku 1837 w Miechowicach pod Bytomiem jako syn urzędnika kopalnianego Walentego Bączka i żony jego Hanki z Łukaszczyków. Kiedy na Górnym Śląsku zapanowała „zła choroba" stracił wskutek tyfusu głodowego, matkę i dwie siostry, tak iż pozostało ojcu jeszcze troje dzieci. Chłopiec już od młodych lat okazywał zamiłowanie do nauki, tak iż nikomu we wsi nie było to dziewnem, że ojciec oddał go w trzynastym roku życia jakiemuś nauczycielowi w Bytomiu do poduczenia go w łacińskim i niemieckim języku, a rok później do gimnazjum w Gliwicach, gdzie też w r. 1858 zdał egzamin dojrzałości. Nastąpiły cztery lata studjów akademickich we Wrocławiu, które na rozwój umysłu i charakteru młodzieńca wywarły najzbawienniejszy wpływ. Jako członek „Towarzystwa literacko-słowiańskiego" uczył się obok teologji języków słowiańskich, których kilka się nauczył. Nabyta szczególnie według zasady jego:

Jak gruntowna nauka rozum rozwija,
Powierzchowna zatruwa serce i zabija!

doskonała znajomość języka polskiego otworzyła mu skarbnicę polskiej literatury, w której się rozkochał, i sprawiła, że sam zaczał

wiersze polskie pisać. Po ukończeniu nauk uniwersyteckich otrzymał święcenia kapłańskie w dniu 4 lipca r. 1862. Był najprzód przez dwa lata kapelanem w Piekarach, gdzie właśnie był umarł apostoł górnośląski ks. Ficek. Czuł się młody ks. Bączek w Piekarach nad wyraz szczęśliwym, gdyż tu niby na miejscu odpustowem dla ludu górnośląskiego mógł więcej działać, niż gdziekolwiek indziej. Ale Opatrzność Boska względem niego miała inne zamiary. W lutym r. 1865 dostał się do Bytomia i tu już aż do śmierci miał pozostać, najprzód jako kapelan, potem po śmierci ks. Szafranka w r. 1874 jako rządca parafji a nareszcie jako proboszcz.

Z zapałem wielkim zaczął tu ks. Bączek swoją działalność według wzoru swojego ks. proboszcza Szafranka dla ludu górnośląskiego nie tylko w kościele, ale też poza murami jego. Gdy w r. 1868 dawniejszy jego proboszcz ks. Purkop w Piekarach założył gazetę „Zwiastun Górnośląski", ks. Bączek, który był przywykł od młodych lat do wierszowania, ogłaszał tu swoje wiersze, artykuły i rozprawy. Ogłosił też w Zwiastunie gorącą odezwę do nauczycieli przy szkołach górnośląskich, wzywając ich do pilnowania czystości polskiej mowy wykładowej i polecając im książki, z którychby mógli nabyć ogłady językowej. W roku 1869 założył dziś jeszcze istniejące kasyno polskie, które łączyło wszystkie stany i pod jego kierownictwem doszło do wielkiego rozkwitu. Sala była zawsze przepełniona. Przychodzili ludzie z miasta, z Rozbarku, z Łagiewnik, Szarleju, Piekar i nawet z Chorzowa, Michałkowic, Siemianowic i Królewskiej Huty. Bo też było poco przyjść, skoro ks. Bączek nigdy nie omieszkiwał, choć by był pracą duszpasterską jak najbardziej znużony, zaszczycić kasyna swoją obecnością i dać choć krótką naukę. Jeżeli jeszcze przez długie lata inni podziwiali wzorową organizacją i polityczne wyszkolenie Bytomian, to było to do zawdzięczenia skrzętnej pracy ks. Bączka. W roku 1871 założył dla młodzieży Związek św. Alojzego pierwszy na Górnym Śląsku i sam dla niego statut wypracował, przyjęty później przez wszystkie inne związki św. Alojzego. Nie było to atoli towarzystwo takie, jakie dziś powstają po wielu parafjach pod protekcją lantratów i inspektorów szkolnych, gdzie młodzieniec polski nie usłyszy słówka polskiego, ale się rozpolitykuje na wielkiego pana nie znającego uszanowania względem ojca, matki, starszego, ni żadnej świętości. Ks. Bączek kierował związkiem św. Alojzego tak, aby się młodzieńcy nauczyli najprzód jak żyć, jak pracować, jak być posłusznym rodzicom, bo to się należy młodzieży katolickiej. Dla tego starał się o to, aby w związku były regularne czytanki, deklamacje, teatry i sam objaśniając kochanym chłopcom arcydzieła literatury pol-

skiej, stawiał przed ich oczy wzory życia i do ideałów dążyć polecał. Dla sztandaru związku św. Alojzego w Piekarach ułożył taki napis programowy:

Ty młodzieży, wznoś sztandary:
Broń języka, broń swej wiary!
Kto te ojców skarby podli,
Darmo się do Boga modli.

Myślał nawet o tem, aby wszystkie związki młodzieży na Górnym Śląsku ująć w jedną organizacją ze wspólnemi ustawami Ogłosił w tym celu w „Katoliku" łacińską odezwę do duchowieństwa. Niestety przedwczesna śmierć udaremniła te zabiegi. Zaraz po śmierci jego pokazało się, że związki św. Alojzego były na prawej drodze, gdyż ks. kardynał Kopp, największy przeciwnik każdego ruchu polskiego, pokwapił się natychmiast, wszystkie związki na Górnym Śląsku rozwiązać.

Był dalej opiekunem „Towarzystwa Górnośląskich Przemysłowców" i „Związku Wzajemnej Pomocy" robotników górnośląskich. Pierwsze to towarzystwo mianowicie powiada o nim, „że mimo wielkich obowiązków parafjalnych poświęcał nam czas i siły swoje; pouczał wykładami z swej znakomitej wiedzy, utwierdzał we wierze świętej i cnotach chrześcijańskich i obywatelskich; napominał do postępowania zawsze i wszędzie drogami Boskiemi i wedle praw Boskich, nieprzedawnionych i niezłamanych; okazywał drogi prawe ku oświacie i podniesieniu się społeczeństwa naszego; cieszył się razem z nami, bolał z nami, a zawsze krzepił, zawsze otuchy dodawał i swoim wielkim duchem naszego ducha ożywiał; był dla nas łaskawym, dobrotliwym, szczerym i wiernym ojcem i przewodnikiem". Co się zaś tyczy „Wzajemnej Pomocy", to ks. Bączek od samego początku zajmował się tą pierwszą organizacją zawodową robotników żywo i objął nad nią protektorat. Chcąc zainteresować dla związku tego swoich duchownych współbraci, napisał do nich dwieście listów, ale tylko kilka odpowiedziało, inni bojąc się możnych tego świata, z których łaski żyli, o „Wzajemnej Pomcy" jako organizacji polskiej nic wiedzieć nie chcieli. Dziś wolno się pytać: Któż miał szerszy widnokrąg, ks. Bączek albo ci, którzy twierdzili że organizaje robotnicze powoli zasną?

Chcąc poznać dokładnie ks. Bączka, trzeba też słówko powiedzieć o walce jego z staro-katolikami. W r. 1871 staro-katolicki ks. Kamiński kupiwszy w Katowicach podstępem stojący jeszcze po wybudowaniu nowej świątyni drewniany kościółek tymczasowy, zaczął szerzyć sektę staro-katolicką. Był znakomitym kazno-

dzieją i ślicznie mówił po polsku, gdy tymczasem tamtejszy kuratus ks. Schmidt bardzo niedostatecznie władał językiem polskim. Kamiński zgrabnie wyzyskiwał tę słabość przeciwnika wskazując w kazaniach na lekceważenie ludu, któremu śmie się posyłać księży koszlawiących jego mowę. Z dnia na dzień przybywało mu zwolenników, dla których wydawał osobną gazetę: „Prawda". Aby ratować Katowice dla wiary katolickiej, urząd biskupi wysłał tam na trzy miesiące ks. Bączka jako misjonarza, ufając, że gorliwością niestrudzoną i swoją wiedzą głęboką a przedewszystkiem swoją biegłością w języku polskim zniweczy wpływy Kamińskiego i nawróci zbałamuconych. W krótkim czasie lud też zaczął się odwracać od Kamińskiego, a gdy Katowice w osobie ks. Rudolfa Lubeckiego na stałe otrzymały dzielnego Polaka jako duszpasterza, Kamiński musiał ustąpić i Górny Śląsk opuścić.

Szerszemu ogółowi znany jest ks. Bączek przez swoją literacką działalność. Napisał „Wykład godzinek o niepokalanem poczęciu Najśw. Panny Marji", „Nabożeństwo do Najśw. Serca Jezusowego i do najdroższej krwi Jego", „Życiorys ks. biskupa Foerstra", „Nabożeństwo do Najśw. Panny Marji nieust. pomocy", „Książeczkę św. Jadwigi", „Nowy brewiarzyk tercjarski", „Książkę o bierzmowaniu", „Życiorys ks. biskupa Gleicha". Tłómaczył katechizm Deharbego, który jest oficjalnie zaprowadzony w diecezji wrocławskiej, dziełko Bolandena „Stary Bóg żyje", za którą to książkę został skazany na trzy miesiące więzienia. Napisał wiele wierszy okolicznościowych, które po części zostały zebrane w „Chwasty z własnej zagrody".

Jednakowo największej sławy dopiął przez swoje utwory epiczne, z których „Stary kościół Miechowski" i „Góra Chełmska" się zachowały a trzeci, napisany na szerokiem tle polskiem i będący lepszy od „Kościoła Miechowskiego" znikł bez śladu. O ks. Bączku jako poecie pisali różni literaci i krytycy polscy i niemieccy. Jedni chwalą go pod tym, drudzy pod innym względem. Największe atoli znaczenie i właściwą wartość ma on jako poeta śląskiej swojszczyzny. Ks. Bączek pod tym względem staje się mistrzem niezrównanym. Gdy inni dla Górnego Śląska, dla ludu jego, dla języka, obyczajów, jednem słowem dla wszystkiego, co jest wyłącznie górnośląskiem, mieli tylko urągania i słowa pogardy, to ks. Bączek tyle tu widzi pięknego, że aż dwie epopeje opisowi tych różnych piękności Górnego Śląska poświęca. W „kościele miechowskim" opisuje życie ludu jednej wsi polskiej, w „Górze Chełmskiej" stawia nam przed oczy cały polski lud górnośląski, który z powodu dorocznego odpustu podwyższenia św. krzyża jak

zwykle bardzo licznie się zjawił na tem najsławniejszem miejscu odpustowem Górnego Śląska; tu charakter jednej wioski, tam kawał historji całego ludu. Ponad tem unosi się przecudna myśl i olśniewa swoim pięknym blaskiem: jak śliczny był ten nasz Górny Śląsk, gdy był jeszcze bardziej polskim!

Poezje ks. Bączka zasługują na to, abyśmy je często czytali, bo są one najlepszą apologją polskiego ludu, są pieśnią pochwalną przeszłości naszej, są szkołą narodową w celu dodawania otuchy i dobrego wychowania młodszego pokolenia dla przyszłości. Umarł ks. Bączek 18 lutego roku 1893.

Literatura. Życiorysy ks. N. Bączka: 1) Ligonia w kaledarzu katolickim na rok 1899; 2) ks. dr. Szramka, u Miarki 1918; 3) Kędzior, ks. Norbert Bączek jako poeta, Opole 1918. O przywiarkach ludowych w poezjach ks. Bączka, Gazeta Opolska, listopad 1917.

XVIII.

Ks. KONSTANTY DAMROT.

(CZESŁAW LUBIŃSKI).



Jak każda rodzina chlubi się z tego, że ma dzielnych członków pomiędzy sobą, tak cała kraina i cały naród chlubi się, że wydały z pomiędzy siebie tak dzielnego człowieka, jakim był ks. Konstanty Damrot. Bóg zsyła każdemu narodowi ludzi wybranych i powiada nam: idź i czyń podobnie! Ale szczególną łaską było to, że zesłał ludowi górnośląskiemu księdza Konstantego i że tegoż obdarzył tak wielkim talentem. Dla tego też o nim pismem i słowem opowiadać trzeba z pokolenia na pokolenie, mianowicie dzieciom i młodzieńcom, aby za jego przykładem postępowali.

Konstanty Damrot urodził się dnia 14 września 1841 roku w Lublińcu. Ojciec jego był rolnikiem z zawodu, nadto pełnił obowiązki kościelnego przy kościele lublinieckim i odznaczał się jak matka z domu Jüttnerów bogobojnością i zacnością wielką. Szkoła lubliniecka, do której młody Kostek przez krótki czas uczęszczał i szkoła przy seminarjum nauczycielskiem w Paradyżu, dokąd oddano chłopca za naradą wuja ks. Jüttnera i w której wszystkiego uczono w polskim języku, wywarła dobry wpływ na chłopca. Jeszcze lepszy wpływ na rozwój charakteru i narodowe uświadomienie i odrodzenie miało otoczenie, w którem Konstanty się obracał. W domu rodzice bogobojni uzupełniali naukę szkolną; prawie codziennym gościem w domu Damrotów był malarz i wierszopis Jan Gajda; w Paradyżu widział się z niejednym dobrym narodowcem polskim a przedewszystkiem częste podróże do stryja ks. Franciszka Damrota w Kielcach, który tam był kanonikiem i wielkim patrjotą polskim, karanym za patrjotyzm swój przez rząd moskiewski, wyrobiły w młodym Konstantym narodowe uświadomienie i gorące zamiłowanie do Matki-Polski. Niestety podczas jednej z tych

podróży w Kielcach się tak zaziębił, że śmiertelnie zachorował i z wielkim trudem do życia powrócił. Zarodek choroby płucnej, odziedziczony po matce swojej po zaziębieniu tem tak się spotęgował, że Damrot przez całe już życie prawie był człowiekiem zupełnie schorzałym. Gdy ukończył dwunasty rok życia, oddano go do gimnazjum w Opolu. Tu należał do uczniów celujących i wszystkim mógł służyć jako wzór i przykład pilności i obyczajności. Z odznaczeniem też zdał w roku 1862 egzamin dojrzałości.

Nastąpił okres nauk akademickich, najpiękniejszych i najszczęśliwszych czas życia ks. Damrota. W tym czasie dokonało się w nim zupełne odrodzenie narodowe a stało się to pod wpływem otoczenia, jak i skutkiem zapoznania się gruntownego ze skarbami polskiej literatury, sztuki i historji. Jako członek „Towarzystwa literacko-słowiańskiego" poznał się z akademikami polskimi z innych stron i przylgnął do nich jak do braci. Jako Górnoślązak jednak pamiętał też przedewszystkiem o swoich braciach Górnoślązakach i tych gromadził, skupiał i pouczał. We Wrocławiu też otworzono mu skarbnicę polskiej literatury, w której się rozkochał tak bardzo, iż sam zaczął pisać wiersze polskie. W czasie pobytu na uniwersytecie uzbierało ich się tyle, że powstała z nich książka, wydana w Chełmnie roku 1867 pod skromnym tytułem: „Wianek z Górnego Śląska". Po raz pierwszy wtedy użył nazwiska Czesława Lubińskiego, przyjmując imię od świętego rodaka, a nazwisko od miasta rodzinnego Lublińca. Tegoż samego roku, dnia 27 czerwca, został wyświęcony na kapłana i złożył też potrzebne egzamina filologiczne, bo upodobał sobie od dawna zawód nauczycielski. Władza duchowna posłała go najprzód do Opola. Na stanowisku opolskiego kapelana przebył trzy ćwierci roku, więc bardzo krótki czas. Albowiem władza szkolna poznawszy wielkie zdolności pedagogiczne jego, powołała go — w 27 roku życia, jako pierwszego nauczyciela przy nowo otworzonem seminarjum nauczycielskiem w Pilchowicach. Tu u boku dyrektora tegoż zakładu ks. Brauna, wielkiego przyjaciela ludu polskiego na Górnym Śląsku przeszedł on szkołę dobrą. W roku 1870 zamianowano w bardzo młodym wieku, miał 29 lat, ks. Damrot dyrektorem seminarjum nauczycielskiego w Kościerzynie w polskich Kaszubach. Przed opuszczeniem Śląska napisał i wydał u Karola Miarki książkę „Żywot Najśw. Panny Marji". Z Miarką bowiem zaraz, gdy tenże od 1 kwietnia 1869 zaczął wydawać gazetę „Katolik" zawiązał stosunki przyjacielskie.

Na urzędzie dyrektora w Kościerzynie wytrwał trzynaście lat i podczas ciężkich czasów walki kulturnej zdołał pieczy swej po-

wierzony zakład utrzedź przed szkodą, zawsze na zasadniczem stanowisku względem władzy świeckiej się trzymając i ani na krok nie zstępując z drogi, którą jako kapłan katolicki postępować był obowiązany. Z narodowością swoją polską nie występował ostentacyjnie, lecz nigdy jej się nie zaparł, a gdy chodziło o to, stwierdzał swoje przekonanie śmiało; np. na wybory zawsze się stawił i głosował wobec lantrata i urzędników na polskich i katolickich kandydatów. W czasie pobytu swego w Kościerzynie napisał i wydał pod własnem nazwiskiem następujące polskie dzieła: „Obrazki misyjne z wszystkich krajów i wieków" (1873), „Opis ziemi świętej" (1873), „Prosty wykład dziejów starego i nowego testamentu" (1876). Oprócz tych wydał małą „Historję biblijną". Wszystkie te książki drukował własnym nakładem, to znaczy, że nie szukał z nich zysku, lecz poświęcał swój własny, ciężko zapracowany grosz na wydanie pożytecznych książek polskich.

Pod nazwiskiem zaś Czesława Lubińskiego wydrukował w gazecie toruńskiej życiorys sławnego patrioty irlandzkiego O'Connela, chcąc narodowi polskiemu postawić przed oczy szczytny przykład poświęcenia się dla ojczyzny i wzór pracownika dla dobra współbraci. W ostatnich miesiącach życia myślał o tem, ażeby ten życiorys przerobić i na nowo wydać dla ludu polskiego na Śląsku. Pewnego wieczora, w lecie, ks. Damrot stojąc z przyjacielem pewnym przy oknie, z którego widać było łany i lasy pilchowskie, widząc słońce zachodzące odezwał się tak: „Kiedyż to przepiękne słońce oświeci nasz Śląsk w szczęśliwszej doli? Brak nam takiego O'Connela; od lat wyczekuję go z westchnieniem. Może Bóg łaskawy da Śląskowi kiedyś takiego męża i oby go dał jak najprędzej! W młodzieży przyszłość narodu; z niej musi wyjść O'Connel śląski... Bóg czuwał nad nami dotąd, Bóg będzie czuwał dalej. Niech żywi nie tracą nadziei!"

W roku 1886 wydał u Michałkowskiego w Gdańsku „Szkice z ziemi i historji Prus Królewskich". Pod nazwiskiem Czesława Lubińskiego kazał ks. Damrot po roku 1871 w gazecie toruńskiej drukować „Listy z podróży", z których to listów książka ta powstała, opisując w niej wszystkie miasta Prus Królewskich, które bądź dla piękności natury, bądź dla wspomnień historycznych na to zasługują. Żadna z dzielnic polskich nie doczekała się dotąd lepszego opisu nad to dzieło. Nie jest to bowiem suchy opis pomników, lecz nadzwyczaj zajmujący rys dziejów tej krainy, barwnie i serdecznie skreślony, wraz z pełnym uczucia opisem przepięknych okolic Prus Królewskich. Przez całe dzieło wije się jak nić

złota gorąca miłość ojczyzny i współbraci. Autor okazuje w nim wrażliwość na piękność przyrody, delikatne poczucie piękna, wyrobiony smak artystyczny i świetny język. Dzieło to jest może najdoskonalszem ks. Damrota i prawdziwą ozdobą literatury polskiej. Szkoda tylko, że skutkiem konfiskaty nabyć go tymczasem nie można.

Około roku 1883 poprosił ks. Damrot władzy świeckiej o przesiedlenie go na Śląsk. „Czas już, abym wrócił do braci i dla nich pracował, bo oni tego najwięcej potrzebują. Chciałbym też między nimi umrzeć". Tak mówił przy pożegnaniu do przyjaciół kościerzyńskich, którzy go żegnali serdecznie i czule, jak brata. Ks. Damrot, wracając na Śląsk, jechał z postanowieniem porzucenia urzędu dyrektora. Zapragnął więcej działać dla dobra ludu swego i w tym celu przyjąć probostwo. Jakoż istotnie niezadługo zgłosił się do władzy o probostwo. Lecz przełożona władza szkolna nie chciała puścić ze służby rządowej tak znakomitego pedagoga. Cztery lata w Opolu, a gdy następnie seminarjum do Pruskowa przeniesiono, znowu cztery lata tamże w urzędzie dyrektora pozostał. Tymczasem choroba piersiowa coraz więcej się rozwijała, aż wkońcu zabrakło sił do pracowania w urzędzie. Podał się przeto do dymisji i otrzymał ją w roku 1891. Schorzały osiadł w Pilchowicach, w klasztorze Braci Miłosiernych, aby w zaciszu i spokoju podtrzymywać siły życiowe.

W cichej celi klasztornej, pochylony cierpieniem, wszystkie ostatnie chwile poświęca ludowi swemu. Jak zwycięzców obsypują kwiatami, tak wieszcz ludowi swemu występującemu skutecznie do samodzielnej walki o prawa podaje kwiaty swego ducha i serca. W tym to bowiem czasie wyszły dwa tomy jego poezyj p. t. „Z niwy śląskiej". Wykończył też w tych latach dzieło religijne „Iskry Ignacjańskie" zawierające rozmyślania na każdy dzień roku i dzieło naukowe w niemieckim języku „Die älteren Ortsnamen Schlesiens" (o starych nazwach śląskich), które to ostatnie dzieło już po jego śmierci zostało wydanem przez ks. Gregora. Napisał książkę tę dla tego po niemiecku, bo chciał w niej odeprzeć błędne twierdzenia pisarzy niemieckich piszących o tej samej sprawie. Po śmierci wyszedł jeszcze zbiórek poezyj jego p. t. „Ostatnie wiersze". Ks. Damrot przez długie lata cierpiał na chorobę płucową. Widział to i czuł, dając wyraz ubolewaniu swemu, iż nie może dla sprawy ojczystej pracować, w listach, w których pisał: „Ciężka choroba i słabość zmuszają mnie do unikania wszelkiego wytężenia; nie mogę się niestety czynnie zajmować polityką, zwłaszcza na naszym Śląsku, ale z zajęciem śledzę

jej przebieg i cieszę się szczerze z każdego objawu, który świadczy o pomyślnym rozwoju naszej sprawy. Trudno, trzeba się przecież poddać woli Bożej, cieszyć się, widząc gdy drudzy pracują, i modlić się za nich". Dokonał swego chwalebnego i zacnego żywota dnia 5 marca 1895 roku a pochowany został dnia 9 marca na cmentarzu Braci Miłosiernych w Pilchowicach.

Ks. Damrot nie zniemczył się, ale pozostał szczerym Polakiem, choć był urzędnikiem królewskim. Czytał i pisał polskie księgi i pisma i nie zapierając się swego pochodzenia zawsze na Polaka głosował. Był stałego, niezmienionego charakteru. To jest główną zaletą człowieka, że zawsze i wszędzie postępuje według równych zasad, że się nie chwieje jak chorągiewka na dachu; zaletą jest człowieka, jeżeli według własnych zasad i swego przekonania otwarcie i bez bojaźni przed ludźmi postępuje.

Gdyby ks. Damrot się był zniemczył, to choć był dyrektorem seminarjum, wkrótce zapomnieliby po jego śmierci najbliżsi; dalsi wcaleby o nim nie wiedzieli i skończyłoby się. Ponieważ jednak całem sercem kochał język ojczysty, i swój rozum i swoje uczucia wyraził w księgach pisanych w języku ojczystym, dla tego imię jego będzie sławne z pokolenia na pokolenie. Nie wielu mamy tak dzielnych mężów i kapłanów jak ks. Damrot. Dla tego tem bardziej powinniśmy w rodzinach, w towarzystwach, w prywatnych kółkach pouczać nieumiejętnych i zaznajmiać ich z każdym, który się stał chlubą narodu jak ks. Damrot.

Literatura. Kto chce się więcej dowiedzieć o ks. Damrocie, niechaj czyta następujące obszerne rozprawy: Ks. Kudera, ks. Konstanty Damrot, Bytom 1920; ks. dr. Szramek, ks. Konstanty Damrot, Mikołów 1920. Tu jest też cała literatura o ks. Damrocie uwzględniona.

XIX.

JAN KUPIEC.



Obok jednego z tych typowych drewnianych kościółków, których nigdzie właściwie nie ma tyle jak na Górnym Śląsku, na biednym cmentarzu wiejskim w wsi Łące na pół godziny od Pszczyny oddalonej spoczywają zwłoki jednego z największych mężów Górnego Śląska. Nic nie wyszczególnia grób jego, trzeba się dopiero pytać proboszcza lub krewnych, gdzie Kupiec leży. A i ci, gdy ci grób jego wskażą, nie są sobie dobrze świadomi, kim on był. Trzeba słów najpiękniej dobranych, słów najczulszych, a trzeba ich mieć dużo w zapasie, by nadzwyczajnego tego człowieka należycie uczcić. Zgóry jednak tu naznaczam, że w krótkim tym życiorysie się to nie stanie. Tuszę sobie, że wkrótce wyjdzie obszerniejszy opis życia i znaczenia męża tego.

Jan Kupiec narodził się 14 kwietnia r. 1841 w Bielsku, dokąd ojciec jego był uszedł przed służbą wojskową. Niedługo po narodzeniu umarła mu matka a ojciec znów się ożenił. Dla tego ciotka jego, Gruszczyna, zajęła się nim i mającego półtora roku, zabrała ze sobą do Łąki. Tu więc wyrósł, tu uczęszczał do szkoły. Uczył się bardzo dobrze i choć on sam później twierdził, że się w szkole łąckiej nic nie nauczył, to jednak nauczyciel Jarosz mówił wręcz coś innego o nim. Jarosz też więc aż do końca swego życia Kupca bardzo lubił i często go odwiedzał. Po opuszczeniu szkoły ludowej młody Jaś pomagał ciotce w gospodarstwie, nie wyuczywszy się żadnego rzemiosła. Z wiejskiej tej ciszy wyrwała go służba wojskowa — służył przy gwardzie w Berlinie — a później kampanie Prus przeciw Austrji w r. 1866 i przeciw Francji w r. 1870 i 71. W roku 1867 ożenił się z Katarzyną Jarczokówną i w tym też roku przy łąckim kościele stał się śpiewakiem. Odtąd zaczyna się poniekąd jego

życie publiczne, bo jako śpiewak miał on we wsi jakieś większe znaczenie od innych ludzi.

Jakeśmy już słyszeli Kupiec poza szkołą elementarną nie uczęszczał do żadnych szkół wyższych. Ale miał on niezwykły dar obserwacji, do tego talent od Boga nie najpośledniejszy i nad wszelkie wyobrażenie wielkie zamiłowanie do nauk. Już w r. 1856 zebrał gruby zeszyt pieśni kościelnych, których się zwykle w drukowanych śpiewnikach nie znajduje; pomiędzy niemi kilka czeskich. Sam się nauczył nut i grania na organach. Aby mógł jak najwięcej na organach się ćwiczyć i grać, sam sobie małe organy zbudował.

Czytał bardzo dużo gazet i książek. Z gazet wymieniam „Pielgrzyma“, „Zwiastuna“, „Katolika“, „Oświatę“ i nareszcie „Górnoślązaka“. Książek sprowadzał dla siebie i dla ludzi tyle, że utrzymywał we wsi czytelnię obejmującą 600 tomów co naówczas znaczy bardzo wiele. A książki te nie tylko stały w półkach, ale też były bardzo używane. Stąd pochodzi to, że jak mówił ktoś, który Łączanom zresztą ma nieco do zarzucenia, że „gmina łącka o kilka procent jest inteligentniejszą od sąsiednich wsi“. Był abstynentem od dawnych lat i zamiast chodzić do karczmy, siedział w domu i zawsze w niedzielę i święta pełno miał ludzi około siebie, których pouczał. Przytem był bardzo wesoły, lubił śpiewać i nawet sobie potańczyć. Kiedy jechał na wojnę francuską, był jeszcze patrjotą pruskim i uczył się niemieckich patrjotycznych pieśni. Sam napisał polski wiersz o wyprawie swojej, sięgający aż do początku oblegania Paryża. Gdy wrócił z wojny, zaczęła się w kraju walka kulturna. I Kupiec odrazu stanął po stronie księży wiernych kościołowi, przeciwko rządom pruskim. Później jednak pomiędzy nim a księżmi zaszła ta różnica, że on został wierny swoim zasadom, a księża zaczęli się umizgać o łaski rządu. Stąd pomiędzy nim a proboszczem miejscowym ks. Philipim powstał wielki rozdźwięk.

Oprócz pieśni kościelnych, które zresztą zbierał aż do śmierci, szukał też pomiędzy ludem pieśni ludowych świeckich i opowiadań ludowych. W roku 1876 zaczął pisać do „Oświaty“, tygodnika wychodzącego w Poznaniu pod redakcją Tytusa Daszkiewicza. „Oświata“ nauczyła Kupca, jak sam mówił do swoich znajomych, myśleć i czuć po polsku. Zachęcony listownie przez redakcję „Oświaty“ zaczął zbierać l e g e n d y, p o d a n i a i b a j k i ś l ą s k i e. Treść pieśni ludowych streszczał prozą a redakcja „Oświaty“ wszystko to drukowała w latach 1877—1885. Że prace te Kupca nie były bez wartości literackiej, dowodzi fakt, że zostały ogłoszone w książkowem wydaniu, którego część nakładu zakupiło

„Towarzystwo czytelni ludowych". Podówczas gdy na Górnym Śląsku ani nie znano ani nie interesowano się utworami Kupca, na Śląsku cieszyńskim dr. Franik pisząc w czasopismach o Górnym Śląsku, wyraził się z uznaniem o talencie poety. Także profesor Nehring wygłosił odczyt o bajkach Kupca w gronie ludzi zajmujących się nauką.

Co się tyczy pieśni ludowych, to podziwiać trzeba zamiłowanie i wytrwałość, z jaką te pieśni aż do końca życia zbierał. „Piosenki, pisze on, te miłe piosneczki nasze, zdaje się, że się teraz wygubią. Dawniej pasterze od rana do wieczora śpiewali polskie piosenki i było to aż miło posłuchać. A dziś? Dziś, jeżeli pasterz coś zabełkoce, to tego nikt rozumieć nie może, nawet sam tego nie rozumie, co śpiewa. A zatem bardzo by nam trzeba pilnie te zabytki po naszych przodkach zbierać i dla potomności zachować, żeby ta, gdy Bóg się zmiłuje a da lepsze czasy, miała tę drogą spuściznę po swych ojcach napowrót". W „Oświacie" swego czasu były tylko trzy pieśni ogłoszone z nutami. Ale miał on większy zbiór pieśni ludowych, który dał nauczycielowi Józefowi Londzinowi ze Zabrzega na Śląsku cieszyńskim. Po śmierci Londzina zbiory jego dostały się do Muzeum cieszyńskiego, gdzie jeszcze dziś się znajdują. Ja sam ogłosiłem w gazecie opolskiej trzy pieśni ludowe podsłuchane przez Kupca a napisane na luźnej kartce; z większego zbioru, który obejmuje kilka dziesiąt pieśni, a który jest w mojem posiadaniu, ogłosiłem w Głosach z nad Odry prześliczną legendę o „Panu Jezusie i sierocie". Resztę ogłosi się później. Prócz tego w wielkiem poemacie „Cyganka" dużo jest pieśni ludowych z nutami.

To wszystko jednak, choć już wymaga ogromnej pracy, zamiłowania do sprawy i przedewszystkiem znajomości rzeczy, jest wprost drobnostką wobec własnych poezyj, któremi nas obdarzył Kupiec. Pod pseudonimem „Topór z pszczyńskich lasów" ogłosił w „Górnoślązaku" (1904 nr. 118—158) obszerny utwór epiczny „Sejmik w Jassach". Prosty chłop ten zdumiewa poprostu gładkością formy niemniej jak znajomością historyczną i gorącym patrjotyzmem. Sejmik w Jassach odbył się w roku 1792 i był przygotowaniem konfederacji targowickiej. Kupiec przedstawia więc owych szlachciców bez sumienia narodowego, co się nie wahali zdradzić ojczyznę. Pod koniec haniebnych obrad wprowadza duchy Popiela, który swych krewnych zdradziecko zamordował, i Michała Glińskiego, który przeciwko Zygmuntowi Staremu wszczął bunt szukając w Moskwie przytułku. Ci dwaj pokutując za własne zbrodnie wzruszającemi słowy potępiają zdradę ojczyzny i Targo-

wiczanom bezlitośnie larwę zrywają z twarzy. Gliński skarży się na obojętność względem spraw narodowych, a bez wątpienia Kupiec chce tu scharakteryzować niejednego Górnoślązaka lgnącego do niemczyzny:

Taki przy pierwszym zdradnym podmuchu
Upadnie całkiem na swoim duchu,
I on się odtąd staje nieczuły
Na wszelkie krzywdy i zelżywości
Swych obyczajów, narodowości.
On jest jak arkusz próżnej bibuły,
Na którym pisać po swojej woli
Może wróg jego i krzywdę braci
I to, co jego ojczyzna traci.
On powie: mnie to wszystko nie boli.
On wzgardzi swoje ojczyste progi,
A chętnie kłania się przed obcemi.
I swą ojczyznę tak radby ze sobą
Sprzedać albo też zabrać do grobu.
Więc chciałby zostać albo kramarzem
Swojej ojczyzny albo grabarzem.
Z takim człowiekiem sprawa fatalna,
Bo niemoc jego nieuleczalna.
A choć się jemu lekarz nadarza,
I mu podaje skuteczne leki:
Zamiast użycia ich i podzięki,
Odepchnie leki oraz lekarza.
Nietylko żyjąc został już trupem,
Ale swym trupim jadem zaraża
Innych, co dotąd zostali zdrowi.
I prawia, że się stawają łupem
Jego ojczystej ziemi wrogowi.

— — — — — — — — — — — — —

Ale ten prawym jest patrjotą,
Który na łaski się nie ogląda,
Lecz sprawę swoją niesie z ochotą
Ojczyźnie, ilekroć tego zażąda.
Choćby ponosić prześladowanie,
Choćby ponosić przyszło i karę,
To przy ołtarzu ojczyzny stanie
I na nim składa to jako ofiarę.
Więc patrjotyzm wasz, to brudota,

O czem najlepiej wiecie wy sami,
Co z rozwartemi wciąż kieszeniami
Stojąc wołacie: Zaszczytów, złota,
Orderów, pochwał więcej, i więcej
W nasze kieszenie sypcie tysięcy!

Później napisał Kupiec poemat „W i l k i i b a r a n y“, w którym to poemacie w humorystyczny sposób krytykuje pracę polityczną ugodowców. Co się z rękopisem „wilków i baranów“ stało, dotąd stwierdzić nie zdołałem. Niektórzy mówią, że go posiada ten lub ów, jabym twierdził, że cenny ten rekopis przepadł na zawsze.

Natomiast zachował się nam nadzwyczaj cenny rękopis wielkiego poematu Kupca p. t. „C y g a n k a“. Poezję tę nazwać można sielanką, gdyż opisuje nam losy Hanki, córki gospodarza Mateusza w Barwinie, którą zabrali cyganie, a która z swym bratem Stanisławem właśnie w tej chwili wraca do domu, gdy starsza ich siostra Zofja wychodzi za mąż. Jazłowski szlachcic, przyjaciel Stanisława, prosi o rękę Hanki, a prosi skutecznie. Ale fakt ten, że się wszystko kończy na weselu Zofji, a nie Hanki, wskazuje nam, że poezja ta właściwie nie jest przeprowadzoną do końca, ale że jest raczej fragmentem, choć obejmuje 5 700 wierszy. Kupiec sam „Cygankę“ nazywał najlepszym utworem swoim, z czem się zupełnie zgadzamy, zważywszy, że wiersz jego tu jest najdoskonalszy, czytający się gładko i przypominający nam często Mickiewicza. W „Cygance“ spotykamy niezliczoną liczbę pieśni ludowych z nutami.

Kupiec pod koniec życia od swojego proboszcza ks. Philipiego dużo wycierpieć musiał, dla tego, że zerwał z centrowcami a stanął po stronie tych, którzy postanowili do parlamentu wybierać posłów Polaków. Ks. Philipi miewał o nim kazania, wskazywał w kościele nań palcem, nie dawał mu rozgrzeszenia. Nieraz Kupiec płacząc jak dziecko z kościoła wychodził. Od swojego jednak nie odstąpił. Ludzie stali po jego stronie. Do prześladowania tego zewnętrznego przyszła choroba „na płuca“, która mu przez kilka lat dokuczała. Pomimo tego pracować nie przestał, fizycznie i umysłowo. Od pracy nieraz odbiegał, gdy mu przez głowę wiersze przelatywały i siadał, by je na luźnych kartkach spisywać. Umarł 11 grudnia r. 1909. Miał pogrzeb jak jaki król, boć rzeczywiście był królem poetów naszych, ludzi było bez liku. Ks. Philipi, który go w ostatnich latach życia tak prześladował, jakoby był najgorszym człowiekiem na świecie, w mowie pogrzebowej znowu go

wychwalał pod niebiosa. Gdzież tu konsekwentność? W każdym razie: ks. Philipi był sławnym centrowcem z swoim czasie, obok ks. Engla, może najsławniejszym. Któż dziś dużo wie o ks. Philipie? Zapomniało się po części o nim, a z czasem zupełnie się zapomni. A co będzie z Kupcem? Kupiec będzie słynął po wszystkie czasy. Jego pamięć trwać będzie, póki żyć będą na Górnym Śląsku wdzięczni synowie, którzy wiedzą, co dla nas znaczyli i znaczą owi wielcy mężowie ducha, jakim był Kupiec. Jest on jednym z naszych największych ziomków, bodaj czy nie największy.

XX.

FILIP ROBOTA.



Nauczyciel ludowy, pochodzący zwykle z ludu, przeznaczony dla ludu i dawniej opłacany bezpośrednio przez sam lud, bo z kasy gminnej, z natury rzeczy powinien iść razem z ludem i spraw jego bronić. Na Górnym Śląsku jednak widzimy, że wielka część nauczycieli ludowych stanęła po stronie największych wrogów tegoż ludu. A tylko mała liczba mężnie i otwarcie broniła i broni jego najdroższych skarbów: języka i narodowości. Z tem większem uznaniem trzeba o tych ostatnich mówić i pisać, albowiem lud górnośląski wiele ma im do zawdzięczenia. W gronie tych zasłużonych nauczycieli widzimy Lompę, Smołkę, Miarkę, ale mało kto wie co o Filipie Robocie, choć i ten nie małe ma zasługi i godzien jest, by go sobie młodsze pokolenie przypomniało.

Narodził się Filip Robota dnia 1 maja r. 1841 w powiecie prudnickim na Górnym Śląsku we wsi Gostomi jako najmłodszy syn gospodarza Macieja Roboty i żony jego Agnieszki z Guszpiotów. Familja ta musiała być nie tylko mocno przywiązana do polskiego języka, ale też — co w owych czasach trzeba mocno podkreślić — narodowo uświadomiona i wogóle dobrego polskiego usposobienia, skoro widzimy i słyszymy o wszystkich czterech synach jej, iż stali się dzielnymi narodowcami. Konstanty R., ojciec ks. Władysława, Hieronim R., ojciec ks. Antoniego, obaj gospodarze, Jan R., sekretarz i tłómacz sądowy i najmłodszy Filip R., wszyscy byli dobrymi Polakami. Młody Filip uczęszczał do szkoły miejscowej a od siedemnastego do dwudziestego roku życia do seminarjum nauczycielskiego w pobliskim Głogówku. Wtedy to właśnie były dla szkół górnośląskich tak zwane złote czasy. Na seminarjach nauczano tyle po polsku, że szkoły te mało co nie stały się zupełnie

polskiemi. Niemiec, ks. dr. Schermuly, głośno narzeka nad ogromnym tym upadkiem niemczyzny na Górnym Śląsku w latach 1848 do 1863. (Dr. Schermuly, das Lehrer-Seminar zu Oberglogau, 1902). Było co biadać Niemcowi nad upadkiem niemczyzny, bo jemu widocznie tylko o nią chodzi. My natomiast błogosławimy dziś jeszcze owe czasy, w których wychowywano naszą młodzież, naszych przyszłych nauczycieli i przewodników ludu tak, iż sami stali się zdolnymi, odezwać się do powierzonego im młodszego pokolenia w zrozumiałym języku i tak je wychować na poczciwych, pobożnych, rozumnych i obyczajnych członków społeczeństwa ludzkiego. Z dawniejszem tem wychowaniem, w którem nie uczono tak dużo ale za to wszystko gruntowniej, wychowanie nowszych czasów według nowych systemów wcale mierzyć się nie może.

Takim to duchem posilony opuścił Filip Robota w roku 1861 seminarjum i natychmiast też otrzymał posadę nauczyciela w Bełku w Rybnickiem. Przesiedlono go następnie do Starych Tarnowic, do Hajduk i Bujakowa. Za naradą i poleceniem ks. Edlera w Bujakowie przyjął posadę organisty w Kościanie w Księstwie Poznańskiem. Nie długo jednak w Kościanie pozostał. Zaszły bowiem różne nieporozumienia, tak iż organistostwo porzucił i znowu na Górny Śląsk powrócił, gdzie przyjął posadę nauczyciela w Biale, a nareszcie w Prudniku. Tu już aż do śmierci pozostał.

Wspomnieliśmy już wyżej, że na Górnym Śląsku do r. 1863 w seminarjach i szkołach ludowych nauka odbywała się przeważnie po polsku. Było to zasługą ówczesnego radcy rejencyjnego ks. Bogedaina, późniejszego biskupa - sufragana wrocławskiego. Zmiana nastąpiła rozporządzeniem z dnia 14 lutego r. 1863. Rozporządzenie to nakazywało, iż w szkołach górnośląskich tylko w pierwszem półroczu nauka ma się odbyć wyłącznie po polsku we wszystkich przedmiotach, a od drugiego półrocza nauka ma być niemiecka w przedmiotach świeckich, natomiast nauka religji i pieśni kościelnej przez cały czas szkolny ma być udzielaną po polsku. Było to dla nas „minimum". A i tego żywioły wrogie kościołowi katolickiemu i ludowi polskiemu nam nie życzyły. Nowem rozporządzeniem z dnia 20 września r. 1872 stare prawo zostało skasowane, nie ze względów rzeczowych, pedagogicznych, ale ze względów państwowych: szkoły miały być wyzwolone z wpływów kościoła katolickiego. Nauka miała się teraz już tylko po niemiecku odbyć, książki dotychczas używane zostały skasowane, nawet religja stała się narzędziem w rękach rządu niekatolickiego w celu osiągnięcia swoich bezbożnych zamiarów.

Dla sumiennego nauczyciela, który czuł z kościołem, wszystko to było przygniatającem i bardzo przykrem. Dlatego też tacy sumienni nauczyciele o ile możności nauczali po dawnemu. Powiadam „o ile możności“, to znaczy, o ile byli pewni, że ich jakiś szpieg nie zadenuncjuje i o ile przed inspektorem szkolnym z rezultatem swojego nauczania obstać mogli. Szkoła górnośląska stała się zakładem do robienia eksperymentów, kuźnią szpiegostwa i denuncjatorstwa, urządzeniem w rękach rządu do tworzenia ludzi bez charakteru. Całą tę męczarnię musiał przejść Filip Robota. Że mu to nie było łatwą rzeczą, możemy dobrze rozumieć.

Jeszcze krótki czas przed wyżej wspomnianem rozporządzeniem z r. 1872 był wydał zbiór pieśni, który pod starym systemem nauki miał racją bytu. Teraz atoli wskutek wyrzucenia polskiego słowa ze szkoły, wyrzucenia polskich książek, śpiewnik ten stał się zbytecznym. Jak bardzo nad tem ubolewał Filip Robota!

Książeczka ta, której tytuł brzmi „Mały Śpiewak czyli zbiór pieśni dla szkół polskich“, a która w szkołach naszych mogła się stać bardzo użyteczną, pod niejednym względem jest dość ciekawą. Zawiera bowiem najprzód naukę nut i wogóle śpiewu, potem niektóre górnośląskie pieśni ludowe, pieśni ogólnopolskie i nawet pieśni własnego utworu. Najciekawsza jest ta rzecz, że np. taka pieśń Filipa Roboty: „Witaj wiosno, śliczny maju“, którą z śpiewnika Gallusa znamy, w śpiewniku Roboty jest krótszą. Później bowiem w walce kulturnej pieśń ta została powiększoną przez kilka zwrotek, które przez aluzją na „majowe prawa“ i tych, co wskutek tych praw cierpieć musieli, dorobione zostały. Kto zwrotki te dorobił, dziś trudno stwierdzić.

Przed wydaniem „Małego Śpiewaka“ wydał Filip Robota książkę modlitewną w r. 1870 p. t. „Skarby niebieskie“, która się doczekała w r. 1896 drugiego wydania. Prócz tego miał wydać, jak mi zaręczał ten, który pomagał przy odpisywaniu, jeszcze inną książkę modlitewną p. t. „Święta Familja“. Książka ta podobno na niemieckie tłómaczoną została.

Największego rozgłosu jednak Filip Robota dostąpił przez swoją polityczną pracę, szczególnie przez wystąpienie swoje podczas wyborów do niemieckiego parlamentu w r. 1893. Gospodarka partji centrowej na Górnym Śląsku oddawna niektórym się nie podobała. Już Julius Ligoń i grono światlejszych ludzi około niego domagali się coraz to wyraźniej polskich posłów. Centrum bowiem dotychczas na Górnym Śląsku stawiało jako kandydatów ludzi, którzy albo byli Niemcami, albo nieznani albo nigdy się z swoimi wyborcami nie stykali. Lud cierpliwie to znosił i milczał, póki posłowie

ci jako tako sprawiedliwie spraw jego bronili. W miarę jednak, jak osobniki takie jak ks. Franz, hr. Ballestrem, dr. Porsch, arcyniemcy, na partję centrową coraz to wyraźniejszy wpływ wywierali, lud zaczął coraz to głośniej szemrać. Było widać, że centrum stało się coraz to zależniejsze od jakichś wpływów nam wrogich, usuwało na bok ludzi, którzy do ludu życzliwie i sprawiedliwie się odnosili i stawiało na kandydatów osoby, których lud rozumieć nie mógł. Takiemu oburzeniu daje wyraz list Filipa Roboty do ks. Engla, ówczesnego przywódcy politycznego na Górnym Śląsku: „Gdyby komitet wyborczy powiatu prudnickiego był nam polecił szczerego, otwartego i grzecznego człowieka, nie mówiąc już Polaka, na posła do sejmu pruskiego, bylibyśmy mu za to bardzo wdzięczni; lecz z kandydatury takiej jesteśmy niezadowoleni. Ten pan, który założeniu naszego towarzystwa wszelakim podstępem i djabelską chytrością i złością przeszkadzał, odgrywając rolę szpiega — tak też na ostatniem zgromadzeniu w Róży w tej roli występował, która mu bardzo do twarzy — nie może zasłużyć na naszą sympatją. Nie wątpię, że może być wybranym, lecz tylko w związku z liberałami, masonami i żydami, jak się to działo przy wyborach ks. F.“ Centrum już od dawna było się do tego przyzwyczaiło, że lud nie ma nic do mówienia, ma słuchać i dobrze. „Katolik“ i redaktorowie jego szukając dla świętej zgody z centrowcami porozumienia, pośredniczyli. Nie wiele to pomagało. Podczas wyborów centrowcy wiele obiecywali, po wyborach księża germanizowali. Tu mógł tylko stanowczy krok jakiegoś śmiałka sprawę naszą naprzód posunąć. „Wtedy to, pisze warszawski „Wiek“ w nr. 242 r. 1900, od roku 1889 w powiecie raciborskim łączącym w sobie żywioły polski i morawski po jednej, a żywioł niemiecki po drugiej stronie, wskutek założenia „Nowin Raciborskich“ rozpoczął się ruch, którego dotąd na Górnym Śląsku prawie nie znano. Po raz pierwszy w r. 1893 tamtejsza ludność polska pod przewodnictwem dr. Józefa Rostka, lekarza w Raciborzu i Karola Maćkowskiego, redaktora „Nowin“ zerwała jawnie z stronnictwem niemiecko-katolickiem „centrum“ i postawiło własnego polskiego kandydata, emerytowanego nauczyciela Filipa Robotę z Prudnika. Zapał wśród ludu polskiego był wielki, mimo to Polacy ponieśli klęskę. Na kandydata polskiego oddano 6000, na kandydata centrowego ks. Franka 9000 głosów. A jednak cały niemal lud polski, o ile był uprawniony do głosowania, głosował na Robotę. Wina przegranej spada głównie na ludność morawską tegoż okręgu. Ona to z nielicznemi wyjątkami stanęła murem przy Niemcach i dopomogła im do zwycięstwa. Z burzy, która się na wszystkich zerwa-

ła, którzy sobie pozwolili przeciwko świętym centrowcom wystąpić, Filip Robota „sobie niewiele robił". Zawziętość centrowców była rzeczywiście tak wielką, że ruch polski w Raciborskiem stawiali niżej ruchu socjalistycznego i głosy oddane Filipowi Robocie policzono do głosów socjalistycznych, jak to wykazuje statystyka urzędowa. Trzymając się tej „statystyki urzędowej" nawet Karol Rzepecki w książkach swoich „Pobudka wyborcza" (Poznań 1907) na str. 114 i „Naprzód czy wstecz" (Poznań 1912) na str. 128 popełnił ten sam błąd, że owe 6000 głosów oddanych Robocie policzył socjalistom. Nawet księża z obcych djecezji nie znający tutejszych stosunków a wierzący krzykom centrowców Robotę za socjalistę uważali, jak to widzimy z następującego zdarzenia. Otóż gdy po wyborach w Raciborskiem Filip Robota jechał na wiec katolicki do Krakowa, w pociągu w Kędzierzynie spotkał dwóch księży-Polaków z Prus Zachodnich, którzy także na wiec ten jechali. Przejeżdżając przez Racibórz i słysząc nazwę tej stacji, przypomnieli sobie księża ostatnią walkę wyborczą i jeden z nich się odzywa: „aha! to jest ów sławny Racibórz, w którym socjalista Robota otrzymał tyle głosów". Filip Robota milczał. Dopiero w Krakowie przedstawił się owym księżom słowami: „Otóż ja jestem socjalista Robota, który też jedzie na wiec katolicki". Filip Robota do końca życia pracował na polu politycznem i oświatowem. Zakładał, o ile to w okolicy Głogówka i Prudnika było możebnem, towarzystwa spotykając się z różnemi trudnościami zgotowanemi mu przez centrowców. Szczególnie opiekował się towarzystwem „Oświata" w Gostomi, wygłaszając w niem odczyty pouczające i ćwicząc w niem teatry amatorskie, które odgrywano nie tylko w Gostomi, ale też w sąsiednich miejscowościach, np. w zaniedbanej Biale. Były to w owej okolicy poniekąd wogóle pierwsze polskie teatry.

Filip Robota, którego centrowcy okrzyczeli jako socjalistę — a nierozsądni ludzie w brednie takie chętnie wierzą — pod koniec życia majątek swój zapisał OO. Franciszkanom w Prudniku, gdzie w czasie Zielonych Świątek roku 1902 umarł.

XXI.

Ks. RUDOLF LUBECKI.



Ksiądz Wieloch, proboszcz z Raszowa, w mowie pogrzebowej ze zgodą wszystkich obecnych powiedział o ks. Lubeckim, że gdyby był żył w innych czasach, inaczejby na Górnym Śląsku był wysławiany. Ale iż nadejdzie czas, że poznają zasługi jego i oddają mu cześć należytą. Stało się wręcz przeciwnie. Ks. Lubecki prawie już był zapomniany i wiedząc mało o nim wspominaliśmy go jeszcze tak z tradycji. A jednak ma on dla Górnego Śląska wielkie znaczenie. Słusznie pisał o nim „Katolik“ w roku 1891 tak: „Lud górnośląski nie ma wielu takich mężów uczonych, którzyby we wszystkich sprawach byli jego przewodnikami. Szczęśliwy jest lud irlandzki, też biedny, uciśniony przez obcych, pogardzony, prześladowany, lecz ma wielu mężów uczonych, na wszystkich urzędach i stanowiskach, którzy całe siły ludowi i sprawie jego oddawają. Ks. Lubecki był dla ludu górnośląskiego we wszystkiem przywódcą“.

Rudolf Lubecki narodził się dnia 7 sierpnia 1844 roku w Niemieckiej Wiśle w Pszczyńskiem. Ojciec jego był Jakób Lubecki, nauczyciel i organista, matka nazywała się Zofja z Czechów. Od szóstego do dwunastego roku uczęszczał do szkoły swojego ojca, od dwunastego roku życia oddano go do gimnazjum w Gliwicach. Pod troskliwym dozorem rodziców, szczególnie pobożnej matki, młode lata spędził bezpiecznie od zepsucia i zarazy. W roku 1865 udał się do Wrocławia, aby na uniwersytecie tamtejszym poświęcić się studjom teologicznym i filozoficznym i tak bezpośrednio przypsosobić się do stanu kapłańskiego. „Na uniwersytetach — powiada nam Lubecki — młodzi ludzie oddawają się wysokim studjom, kończąc swe nauki i przysposobiając się do przyszłych urzędów. Ale nie uczą się tam bez przerwy przez cały Boży dzień, lecz uży-

wają swej młodości, oddawając się różnym zabawom: jeżdżą konno, fechtują lub tańczą, jak się komu podoba i jak mu kieszeń pozwala". Rudolf Lubecki nie jeździł konno i nie marnował w podobny sposób Bożego czasu, bo do tego nie miał skłonności, ale szukał innej pożyteczniejszej zabawy. Utrzymywał ścisłe i szlachetne stosunki z kilku równie usposobionymi i myślącymi kolegami. Gromadził i skupiał około siebie młodych Górnoślązaków, aby się z nimi szczególnie w jednym przedmiocie kształcić, który dla każdego kapłana pracującego na Górnym Śląsku obok wiadomości teologicznych jest najpotrzebniejszym t. j. w języku ojczystym. „Język ojczysty — tak mawiał ks. Rudolf Lubecki — jest złotym kluczem do serca ludu i dla tego trzeba go się dobrze wyuczyć, aby ziarno ewangeliczne podawać ludziom w srebrnych koszykach". W tym to celu gromadził około siebie górnośląskich studentów w własnem mieszkaniu, z nimi czytał polskie książki, rozmawiał z nimi po polsku, z nimi założył polską bibljotekę. Mieszkanie jego akademickie dla tego nazywano „kuźnią", bo tam niejako kuto dobre żelazo dla pracy ludu na Górnym Śląsku. Lubecki był twórcą i początkiem wszystkich późniejszych akademickich związków akademików Górnoślązaków. Nareszcie dnia 29 czerwca r. 1869 został wyświęcony na kapłana. Rozumie się samo przez się, że w tymże samym duchu, jako go napełniał podczas lat akademickich, pracował naturalnie i ksiądz Lubecki.

W tym to czasie zaszła na Górnym Śląsku bardzo ważna rzecz. Nie mieliśmy wtedy żadnego polskiego pisma politycznego. Miarka widząc swoją bezskuteczną pracę w „Zwiastunie górnośląskim", zakupił od Józefa Chociszewskiego „Katolika", przeniósł go na Górny Śląsk i przemienił go od 1 lipca r. 1869 na pismo polityczne. Ks. Lubecki od samego początku wstąpił z Katolikiem w ścisłe stosunki i obdarzył go często artykułami. W późniejszych latach, gdy czasem redaktorzy Katolika siedzieli we więzieniu, ks. Lubecki sam dojeżdżał do redakcji Katolika, aby dopatrzyć druku i spraw redakcyjnych. Dnia 3 sierpnia otrzymał posadę kapelana w Biękowicach. Założył tu polską bibljotekę własnym kosztem. Gdy odstępca ks. Kamiński w Katowicach założył staro-katolicką sektę, sława czysto polskiej, potężnej i przekonywającej wymowy ks. Lubeckiego doszła do ks. biskupa, który go posłał w październiku r. 1871 do Katowic, aby zwalczał Kamińskiego. Ks. Lubecki zwyciężył, a Kamiński został zniewolonym do ustąpienia. Wytrzymał ks. Lubecki przez cały czas walki kulturnej na stanowisku kapelana w Katowicach. Dopiero w r. 1884 otrzymał duszpasterstwo w Woli pod Bieruniem, istniejącej jako samodzielna parafja dopiero od lat kilku,

a osieroconej od dwóch lat i liczącej niespełna 600 dusz. To miała niby być nagroda za skuteczną obronę kościoła od Kamińskiego. Nareszcie miał jednak otrzymać lepszą posadę. W r. 1887 otrzymał probostwo we Wielkim Kotoszu w Opolskiem, gdzie pracował jako prawdziwy sługa Boży według starej swej zasady „im starszym jest człowiek, tem lepszym być powinien“. Szczególnie opiekował się tutaj dziećmi i ich nauczaniem w polskim języku. To też, gdy miał zatargi z nauczycielami o polskie dzieci i o polską ich naukę, nie znalazłszy poparcia ze strony władzy duchownej, padł ofiarą sumienia prawdziwie polskiego. Bo doszły go listy z Wrocławia i „zgorszenia i zmartwienia“ sprawione mu przez to złamały dnia 20 lutego 1891 roku nagle prawdziwie polskie serce.

Przedstawia nam się ks. Lubeckiego jak ludowego pisarza, poetę, krasomówcę, pedagoga i wydawcę czasopism i książek. Ale jeszcze większe znaczenie miał on jako organizator ruchu katolickiego i polskiego na Górnym Śląsku. Na uniwersytecie wrocławskim on pierwszy organizował akademików górnośląskich. Przeciwko Kamińskiemu i państwowym księżom walczył nie tylko w kościele, ale też wiece przeciwko nim urządzał. Na wiecach śląskich katolików obok księży Bączka i Engla największą rolę odgrywał. Domagał się z innymi osobnych polskich wieców, aby lud obudziwszy się ze snu poznał siłę, która tkwi w jedności. Wiedział dalej ks. Lubecki, że związki i stowarzyszenia dla ludu górnośląskiego są potrzebne. Dla tego, gdziekolwiek mógł, przyczynił się do tego, aby powstał polski związek. Sam wszędy dojeżdżał, pouczał, bawił wszystkich, wszyscy go wszędzie mile witali i obecnością jego się cieszyli. Wiedząc dalej, jakie znaczenie w towarzystwach ma odgrywanie teatrów, polecał takowe związkom i sam uczył tej sztuki teatralnej. Razu pewnego, gdy kilka towarzystw około Szopienic obchodziło zabawę letnią, połączoną z przedstawieniem teatralnem, śpiewami, mowami, i zanosiło się na wielki festyn górnośląski, sam karczmarz, żydek, dostał żyłkę poetyczną i zawiesił za bramą wielki, daleko widniejący napis:

> Witaj polski narodzie,
> U Hamburgra w ogrodzie.

Będąc sam bardzo wesołego usposobienia chciał przelać cząstkę wesołości swojej do serc innych i ponieważ wiedział, że przy pieśni o niejednej trosce, o niejednym bolu się zapomni, przeto kochał pieśń i wogóle muzykę, innym zamiłowanie do pieśni polecał i sam im, łącząc się z swoim szelo z dwoma innymi muzykami w sławny tercet, przygrywał. Że ks. Lubecki pisywał wiersze, jest znana rze-

rzą, bo wtedy owedy spotykamy jeszcze jego pieśni w śpiewnikach i na luźnych kartkach, choć nie wszystkie pieśni, które do śpiewania podawał, może od niego pochodziły.

Był wychowawcą ludu, bo to już do jego obowiązków kapłańskich należało. Ale ponadto wcześniej od innych przestrzegał lud, aby nie sprzedawał roli ojczystej i nie opuszczał kraju ojczystego szukając pracy i zarobku niepewnego na obczyźnie. Nawoływaniem swojem do ukochania życia i pracy wiejskiej zamierzał jeszcze do drugiego celu. Otóż chciał on życie familji wprowadzić na stare tory, związki familji wskutek nowomodnego sposobu zarobkowania rozluźnione znowu spoić. Albowiem familja jest fundamentem całego narodu, a znowu podstawą familji są dzieci. Więc od dzieci trzeba zacząć. „Dlatego — pisze ks. Lubecki — nie mogę dostatecznie się nachwalić i owych rodziców, co swoim dzieciom kupują piękne książki i mocno pilnują tego, aby synowie i córki w niedzielę i święta zabawili się czytaniem książek. We wielu rodzinach wieczorami też zbierają się dzieci, służebni i inni domownicy i pod przewodnictwem ojca lub matki domu wspólnie czytają z książki jakiej".

W tej też intencji puścił on we świat ludowe pisemko „Zdrowaś Marja" i inne książki pożyteczne. Było to wtedy, gdy się z Katowic dostał do Woli, w zaciszu maluchnej wioski miał sposobność poznać, jak mało się czyni dla oświaty ludu wiejskiego i powstała w nim myśl wydawania zupełnie ludowego, taniego czasopisma. Wydał pierwszy numer tej gazetki dnia 1 października roku 1885 w Mikołowie u Miarki. Dodawając do pojedyńczych numerów po kilka, choć tylko religijnych i prymitycznych obrazków, stał się poprzednikiem wszystkich tych, którzy po nim na Górnym Śląsku wydawali ilustrowane czasopisma. „Zdrowaś Marja" przestało wychodzić z końcem roku 1891, a więc w roku śmierci ks. Lubeckiego.

Wydał kilka lat przed tem ks. Lubecki książeczkę bardzo pożyteczną i potrzebną p. t. „Pieśni zabawne dla kółek wesołych polskich Górnoślązaków". Był ten śpiewnik, który się doczekał kilku wydań, może pierwszy na Górnym Śląsku tego rodzaju, jaki jest dziś w użytku przy zabawach i uroczystościach towarzystw w przeróżnych wydaniach.

Wymieniam pracę poświęconą dobremu swojemu przyjacielowi Miarce napisane po śmierci tegoż p. t. „Krótkie wspomnienie o życiu i czynach śp. Karola Miarki"; potem bardzo użyteczną książkę napisaną z powodu jubileuszu ojca kościoła

p. t. „Pamiątka jubileuszu 50-letniego kapłaństwa Ojca św. Leona XIII.

Wymieniam dalej „Książeczkę o Bierzmowaniu“, która jest mało znana ale i dziś jeszcze z pożytkiem może być używana. Wspominam dalej wspanialsze już dzieło „Żywot Bogarodzicy Najśw. Marji Panny i jej oblubieńca św. Józefa“, o którem by życzyć należało, aby rozpowszechniło się wśród Polaków, których cześć do Najśw. Marji Panny od wieków jest znaną i z dniem każdym się wzmaga. Wymieniam poniekąd dziwną książeczkę p. t. „Od piorunów i gwałtownej niepogody zachowaj nas Panie“, której rady, przestrogi, nauki i modlitwy zbyt lękliwym ludziom mogą oddać dobrą usługę. Nareszcie wymieniam książeczkę wydaną krótko przed śmiercią p. t. „Baczność! Socjaliści się zbliżają“. Na uwagę zasługuje tu ten szczegół, że w tym samym czasie ukazała się książeczka drugiego księdza-Polaka o tem samym przedmiocie, książeczka ks. Kulki „Wilk socjaldemokracki“. Nie wolno nam też zapomnieć, że wielka liczba powieści i powiastek umieszczonych w kalendarzu Marjańskim pochodziła od ks. Lubeckiego.

U góry powiedzieliśmy, że ks. Lubecki był dla ludu górnośląskiego we wszystkiem przywódcą. Był gorliwym kapłanem, był tęgim mówcą, był pracownikiem w dziedzinie kwestji socjalnej, był znakomitym organizatorem, pisał wierszem i prozą dla ludu pożyteczne rzeczy, a wszystko to czynił w tym celu, aby polski lud górnośląski zachować od zarazy zwyrodnienia. Zdziałał pracą swoją skrzętną więcej, aniżeli kilku innych pracowników razem wziąwszy. Życie jego było najszczerszą walką i ofiarą dla dobra ludu i sprawy katolickiej. Jako dobry syn ludu górnośląskiego, kochał swój lud i dlań pracował.

Literatura. Kto chce o ks. Lubeckim więcej się dowiedzieć, niechaj czyta: Ks. Jacek, ks. Rudolf Lubecki, jego życie i praca dla ludu górnośląskiego; Opole 1917.

XXII.

PASTOR JERZY BADURA.



„Śląsk nasz, dla którego ludu pastor Badura tak wiele miał miłości i przywiązania, musi mu postawić pomnik choćby przez wydanie dokładnego jego życiorysu“. Tak pisał mi swego czasu jeden z krewnych Badury zachęcając mnie temi i innemi słowami listu pełnego zapału do napisania życiorysu jedynego tego w swoim rodzaju męża na Śląsku. Niestety! życzenia powyższego spełnić nie mogę, gdyż nie pozostaje mi tutaj miejsca tyle, aby umieścić obszerniejszy życiorys pojedyńczego człowieka. A zresztą obszerny i dokładny taki życiorys będzie dopiero wtedy możliwym, kiedy się ogłosi drukiem albo przynajmniej kiedy dostępne się staną jego dzieła, a przedewszystkiem autobiografja jego. Więc musimy się tu kontentować krótszym opisem.

Jerzy Badura narodził się 4 kwietnia 1845 roku w Drogomyślu w Cieszyńskiem. Po ukończeniu ewangelickiego gimnazjum w Cieszynie studjował teologji w Wiedniu i Lipsku. W r. 1868 przeniósł się na wikarówkę do Pressdorfu w Karyntji, skąd w r. 1870 stawił się do Krakowa, powołany na polskiego kaznodzieję i nauczyciela wyższego oddziału szkoły zborowej, gdzie przebywał kilka lat. Starając się o pastorat w samym Cieszynie, ale bezskutecznie, bo pokonało go przeciwne mu germanofilskie stronnictwo, przeniósł się w r. 1872 do Prus. Jeszcze wówczas konsystorze pruskie starały się o władających polskim językiem kaznodziejów. Ale wkrótce potem zapanowały inne prądy. Germanizacja przez kościół była już w pełnym biegu, gdy Badura po kilkuletniej tułaczce powołany został na pastora do Międzyborza na Średnim Śląsku.

Ponieważ w rozprawie niniejszej będzie nam chodziło o ewangelickich Polaków, albo lepiej powiedziawszy o polskich ewangelików na Śląsku, o których krążą najdziwaczniejsze zapatrywania,

dla tego wprzódy, nim powiemy co o samym Badurze, trzeba też o nich słówko powiedzieć. Jeżeli się mówi o zaprowadzeniu wiary Lutra na Śląsk, to mniej więcej tak się powiada: Śląsk niemiecki się zlutrzył, polski został katolickim. Ściśle, co prawda, nie odpowiada to zupełnie historyczności, ale jednak na ogół mówić tak można. Nasuwa się więc najprzód pytanie: skąd to pochodzi, że w niektórych powiatach lud, choć był polskim, jednak przeszedł na wiarę luterską? Otóż musimy wiedzieć, że ze wszystkich książąt śląskich jedynie ten Piast się nie zniemczył, któremu podlegały owe części Śląska, ale się zlutrzył. Ten zaprowadził tu luteranizm, a czego sam nie dokonał, zrobili na miejscu jego urzędujący „panowie" władcy, którym on urzędy i dobra udzielał, a którzy musieli być tego samego usposobienia ducha jak książę sam. Z początku ci polscy ewangelicy za pastorów mieli tych księży, którzy z katolicyzmu przeszli na wiarę luterską. Później, gdy ci powymierali, z ustanowieniem pastorów były jakoweś trudności. Brano więc na pastorów zewsząd ludzi mniej lub więcej odpowiednich, byle władających językiem polskim. Niektórzy nawet twierdzą, że sprowadzano na Śląsk szczególnie pastorów z Mazurów, którzy też mieli tu zaprowadzić ów straszny djalekt mazurski. Powiadam „straszny", albowiem choć na Śląsku tu i owdzie też się mazurzy, to jednak tak konsekwentnie i rażąco nigdzie to się nie dzieje, jak właśnie w tych okolicach, gdzie mieszkają ewangeliccy Polacy. Okolica ta pomiędzy Górnym Śląskiem a Księstwem Poznańskiem tworzy jakoby oddzielną wyspę. Polscy ci ewangelicy mieli swoje własne drukarnie, które im drukowały katechizmy, „kancjonały" i nieco też pisma świętego. Literatura na ogół była uboga. Gdy Śląsk przeszedł pod panowanie pruskie i po jakimś czasie zaczęło się niemczenie polskich okolic, to dziwnym sposobem obrońcy polskości najprzód powstali z pomiędzy protestanckich pastorów, w literaturze odnośnej przynajmniej tylko o takich słyszymy. Nazwiska pastorów Pohlego, Richtera, Fiedlera, Bartelmusa powiadają nam, że dbali ci pastorzy o narodowość owieczek swoich lepiej niż dzisiejsi, za to też nie musieli widzieć tyle ateuszowstwa i moralnego zepsucia. W r. 1859 otwarto w Kluczborku seminarjum nauczycielskie. Przy otwarciu szkoły tej radca konsystorza wrocławskiego Wachler wygłosił mowę w obronie narodowości polskiej i powiedział też, że dzień ten ma być dniem wynagrodzenia Polakom za wszystkie krzywdy wyrządzone im ze strony rządu. Później wszystko to się zmieniło.

Istnieją też fałszywe zapatrywania względem liczby polskich ewangelików. Kurjer Lwowski w artykule poświęconym pastorowi

Badurze z powodu 40-letniego jubileuszu pracy kaznodziejskiej (12 grudnia 1908) pisał tak: „W kraju sennym, zapomnianym, na Średnim Śląsku pozostało już tylko 400 000 Polaków, między Górnym Śląskiem, tak bardzo niedawno wróconym do życia narodowego, a Poznańskiem. O tym zakątku zapominano w Poznaniu, nie troszczą się o niego w Bytomiu. Lud tu przeważnie ewangelicki, narodwo nieuświadomiony, zatracający zwolna rodzinne cechy. Nad jego germanizacją pracują nie tylko nauczyciele, lecz także pastorzy, tępiąc i rugując język polski w kościele. Stosunki kościelne są te same, jakie panują na Mazurach w Prusach wschodnich. Żyje tu około 400 000 mówiącej po polsku ludności luterańskiej". Inni podobnie pisali i może jeszcze piszą. Jaka w tem niedorzeczność! Bo gdy Kurjer Lwowski w roku 1908 podawał liczbę ludności polsko-ewangelickiej 400 000, to tymczasem w roku 1900 w powiatach sycowskim i namysłowskim przy urzędowym spisie ludności tylko coś trochę nad 10 000 ewangelików podało się za Polaków. Jeżeli do tego doliczymy 20 000 z powiatów kluczborskiego i oleskiego i 5000 w powiecie pszczyńskim i reszcie Śląska, to w najlepszym razie wszystkich polskich ewangelików na całym Śląsku mamy około 35 000. I choćbyśmy przypuścili, że się tylko nie zapisali do polskiej rubryki i że ich dla tego jest trochę więcej, to w każdym razie powinno to być dla nas świadectwem, iż poczucie narodowe u nich coraz to więcej zanika i że liczba ich coraz to więcej się zmniejsza.

Istnieją nareszcie fałszywe wyobrażenia o ich religijnem usposobieniu i wogóle o ich stosunku do katolików-Polaków. Słyszy się niekiedy, że polscy ewangelicy mają obrazy Świętych Pańskich, że też czczą Najśw. Marję Pannę, że się żegnają jak my, że się modlą na klęczkach, że różaniec odmawiają i że nawet może mają jakieś sympatje dla katolików-Polaków. Niestety, wszystko to nieprawdą! Tylko tyle jest prawdy w gadaniu o religijności polskich ewangelików, że uczęszczają troszeczkę lepiej do kościoła aniżeli protestanci-Niemcy i że o tyle są jeszcze pozytywnymi chrześcijanami (cum grano salis), o ile mają jeszcze trochę przywiązania do języka polskiego. Ci jednak, których pochłania niemczyzna, giną też w radykalizmie niemieckiego protestantyzmu. Nawet różnica pomiędzy ostrzejszym a liberalniejszym kierunkiem w protestantyzmie (staro-lutrzy i ewangelicy) już się zatarła i nazywają się teraz już prawie wszyscy „ewangelikami". Jak bardzo się wynaradawiają, widać stąd, że dzieci wszystkie uczęszczają na niemiecką naukę przygotowawczą do konfirmacji i że przy każdym pogrzebie obok polskiej przemowy musi też być niemiecka. Stroje

już nie noszą nasze wiejskie polskie, ale albo miejskie albo „pół miejskie a pół wiejskie“ co wygląda okropnie. Nawet pokazują jakąś nienawiść do polskości, bo unikają w druku łacińskich (polskich czyli katolickich) liter. W niektórych szkołach już nawet tych liter nie uczą, tak samo na składach widać napisy w niemieckich literach. Przy wyborach ani jeden ewangelik nie oddałby głosu polskiemu (katolickiemu) kandydatowi.

W takie więc stosunki dostał się pastor Badura, gdy w r. 1883 przyszedł do Międzyborza. Trzeba było zacnego charakteru, męża wypróbowanego, prawdziwego Polaka i człowieka z wielkiem sercem, aby w tak trudnych warunkach choć odrobinkę wskórał. I zdaje się, że Badura był osobistością odpowiednią. Bawiąc w Krakowie poznał i doznał tam wiele dobrego, poznał naród polski jako kulturalny, lubiący wolność. Widział, jak naród ten nie czyniący nikomu krzywdy sam musiał niezasłużenie znosić różne udręczenia. Prześladowania zaś doznane na własnej osobie zahartowały ducha jego i jednem słowem wszystko to wyrobiło w nim szlachetne i gorące serce polskie. Natychmiast rozwinął w Międzyborze błogosławioną działalność, broniąc na każdym kroku praw i potrzeb ludu polskiego. Czy gdy szło o katechizacją w języku ojczystym, czy w sprawie narzuconego z góry zmniejszania kazań polskich, Badura był prawdziwym ojcem duchownym zboru. Przez to, że bronił praw ludu, że stał na stanowisku prawdziwego duchownego chrześcijańskiego, ściągał na siebie prześladowania i przykrości. Im więcej doznawał czci i miłości wśród zboru, tem więcej dokuczano mu z góry, a z drugiej strony im więcej go prześladowano, tem więcej własny lud go kochał. Osięgnął też to, co słusznie o nim pisała pewna gazeta: „Śmiało powiedzieć można, że w licznym szeregu polskich zborów w Prusiech, wszystkie pastoraty stały się wyłącznie kuźniami germanizacji. Jest tylko jeszcze jedyny wyjątek od powszechnej reguły; jeden zbór i jeden pastor. Zborem jest Międzyborze, pastorem Jerzy Badura“. Stał wytrwale na trudnym i ciężkim posterunku. Kazania polskie wbrew naciskowi utrzymał, a kazał prześliczną polszczyzną przypominającą język zygmuntowskich czasów.

W tym samym jędrnym, pięknym języku pisał też dużo rozpraw treści beletrystycznej i religijnej. Bo oprócz działalności zawodowej Badura zaznaczył się też wydatnie jako pisarz. Już w r. 1864 w „G w i a z d c e C i e s z y ń s k i e j“ Stalmacha drukował pierwsze swe powiastki, a następnie zasilał swemi pracami takie wydawnictwa, jak warszawski „Z w i a s t u n e w a n g e l i c z n y“, nawsiański „E w a n g e l i k“ przeobrażony później na „P r z y j a c i e l a lu-

du" Fr. Michejdy, „Polski przyjaciel familji" i „Gazetę Ludową" wydawaną u Mazurów, dla których około krzewienia polskości położył wielkie zasługi. Samodzielnie wydawał dla śląskich polskich ewangelików przez jakiś czas (pomiędzy 1883—1890) pismo perjodyczne „Nowiny Śląskie", drukowane we Wrocławiu i Wołowie. Nadto pozostał po nim szereg osobnych publikacyj, bądź drukowanych, jak to „Dzieje kościoła" i komentarz do słów modlitwy Pańskiej „Chleba naszego powszedniego", bądź w rękopisie przygotowanych do druku, jako to „Postylla", „Autobiografja" i przedewszystkiem jego „Proroctwa" na podstawie pisma św. starego i nowego testamentu, dotyczące głównie Polski. Rzeczy to są nader cenne i porównaćby je można tylko z kazaniami sejmowemi ks. Skargi o upadku i powstaniu Polski. Badura dożył zaledwie 66 lat, ale i to, co przeżył, można powiedzieć, było bezgranicznem poświęceniem i nieustającem poświęceniem dla sprawy polskiej.

Rozprawy tej nie można lepiej zakończyć jak krótkim wypisem z ślicznego artykułu napisanego krótko po śmierci Badury przez Wojciecha Korfantego: Podróżując wśród braci Polaków wyznania ewangelickiego, którzy są oddani na pastwę germanizacji, widziałem tam tyle krzywdy, ale też tyle nieuświadomienia, że postanowiłem wobec tego zasięgnąć rady tego, który najlepiej znać musi duszę ich i udałem się do Międzyborza do pastora Badury. Przybywszy do miasta, dowiedziałem się, że pastor Badura nie pełniący już od przeszło 2 lat swego urzędu, złożony jest ciężką chorobą. Gdy przybyłem do domu, przyjmują mnie syn, ukończony teolog, który jednak nie uzyskał posady, oraz dwie córki. Staruszek leży na swem łożu boleści, twarz wychudła i wynędzniała, gęstą brodą białą jak śnieg pokryta, jeno oczy błyszczą i żarzą się jak węgiel. Z biedą wyciąga do mnie dłoń wychudłą, którą ściskam ze czcią. Biedny starzec wysila się, by coś przemówić, ale ja go nie mogę zrozumieć, bo mu mowę zupełnie odjęło. Jego całe życie było męczeństwem i walką nieustanną o polskość i dobro ludu powierzonego pieczy jego. Z jakiemi trudnościami nieboszczyk się borykał, świadczą następujące przykłady. Konsytorz nakazał mu zmniejszyć liczbę nabożeństw polskich. Badura miesiącami całemi walczył o utrzymanie nabożeństw polskich, oświadczając, że jego sumienie nie pozwala mu krzywdzić ludu polskiego. Po wielkich trudach zwyciężył, bo konsystorz ostatecznie uległ, oświadczając, że póki Badura będzie w M., stan rzeczy się nie zmieni. I pozostało tak do dnia dzisiejszego. Konsystorz od dziesiątek lat już zniósł naukę przygotowawczą dzieci do konfirmacji w języku polskim. I do tego

nieboszczyk musiał się stosować. Można sobie wyobrazić, jak mu się bezustannie krwawiło serce wskutek tej niesprawiedliwości. Nieboszczyk wydawał pisemko dla ewangelików polskich, ożywione szczerym duchem narodowym. Z czasem miał już przeszło 700 przedpłacicieli. Ale konsystorz pod najsurowszemi karami zabronił mu dalszego pisywania w „Nowinach Śląskich“ i pismo upadło. Gdyby się było ostało, dziś Polska nie umierałaby w Sycowskiem i Kluczborskiem.

Życie i zgon nieboszczyka jest wprost tragicznym. W ubiegłą środę gotował się do odejścia z tego świata i sądził, że stanie przed majestatem tego, który jest Sprawiedliwością odwieczną, która wiernych Bogu wynagradza za wszystkie trudy, mozoły i krzywdy poniesione dla dobrej sprawy. W chwilach przytomnych widocznie myślał tylko o ludzie polsko-ewangelickim i jego przyszłości. Kazał sobie przywołać swego następcę i z śmiertelnym wysiłkiem, z potem na czole, na łożu śmiertelnem odebrał od niego przyrzeczenie, że nie zniesie polskich nabożeństw. Widocznie w sercu sobie mówił: Uczyniłem wszystko, co człowiek może uczynić, spełniłem swój obowiązek i odejdę w spokoju.

Nieboszczyk wychował wszystkie swe dzieci na dobrych Polaków, posyłając je do Krakowa i na Śląsk austrjacki. Był on ostoją polskości wśród protestantów polskich; sam jedyny przez lat dziesiątki jak olbrzym nadludzki stawiał skutecznie groble i tamy przeciw zalewowi niemczyzny. Rząd, konsystorz, jego właśni konfratrzy, policjanci i żandarmi mu te tamy burzyli, ale on budował je na nowo niezmordowanie, nawet na łożu śmiertelnem. Z bólem i smutkiem opuszczałem mieszkanie nieboszczyka, na którego ścianach portrety Mickiewicza, Kościuszki i obrazy Grotgera stoją na straży polskości, każdemu przybyszowi zwiastując: Tu polski dom! Zmarł 2 września r. 1911 ostatni pastor polski, prawdziwy i jedyny przyjaciel ludu polsko-ewangelickiego. Niech ziemia polska mu będzie lekką i niech odpoczywa w pokoju!

XXIII.

Ks. KAROL MYŚLIWIEC.



Jest pomiędzy nami wielu takich ludzi, którym lata upływają, a którzy w życiu swojem jeszcze nic porządnego nie zrobili. Odkładają pracę społeczną, oświatową z dnia na dzień. Student powiada, iż będzie pracować, kiedy się stanie księdzem; stawszy się księdzem, powiada, iż chwilowo jest jeszcze zależnym i dla tego nie może się wystawiać na niebezpieczeństwo i odkłada zamiary piękne i wszystko na później; stawszy się proboszczem czeka znowu, ażby dopiął jakiegoś wyższego szczebla w hierarchii kościelnej i tak bez końca. „Carpe dien" zwykł mówić Rzymianin, używaj dnia, pamiętaj, że każda chwila jest drogą, rzuc się z zapałem i młodzieńczą siłą na sprawę, którą zamierzasz osięgnąć, bo bez entuzjazmu i fantazji nic wielkiego w świecie się nie zrobiło. A choć byś ty sam pożądanego owocu nie osiągł, to następcy twoi na fundamencie przez ciebie położonym będą pracować dalej i jeden z nich już pewnie coś osięgnie. A więc i ty w tem będziesz miał cząstkę zasługi.

Przykładem takiej pracy jest nam ks. Karol Myśliwiec. Choć się nie zestarzał, to jednak zrobił on dość, zrobił więcej aniżeli niejeden z tych, którzy ciągle biadają i narzekają nad niepłodnością nasza i wszystko i wszystkich oskarżają, iż nie ma pracy pozytywnej, namacalnej, zrobił tyle, iż można powiedzieć, jak pisał „Opolanin" o nim, „że nagiął się ku ziemi i złamał jak kłos brzemienny nadmiernością plonu".

Karol Myśliwiec narodził się dnia 31 grudnia 1866 r. w Sprzęcicach, wiosce milę od góry św. Anny oddalonej. Rodzice jego zajmowali się rolnictwem i posiadali gospodarstwo. Mieli z Karola wielką pociechę, gdyż był pilnym, cnotliwym i pojętnym chłopcem i dla tego go też posłali, choć już w stosunkowo późnym wieku

do gimnazjum w Opolu, gdzie też skończył nauki. Jako uczeń opolskiego gimnazjum a następnie jako student teologji na uniwersytecie wrocławskim odznaczał się wzorową przykładnością i celował w naukach. Jako akademik gromadził około siebie we Wrocławiu rozproszonych kolegów śląskich i zachęcał ich do łączności, kształcenia się w sprawach ojczystych. Urodzony pod strzechą wiejską, odczuł on ogólną nędzę przez tyle wieków zaniedbanego i poniewieranego ludu i postawił sobie za zadanie życia, pracować nad polepszeniem losu gnębionej braci. Wiedząc, że bez sterników i najpotężniejszy okręt zginąć musi, jeżeli wypłynie na burzliwe morze, a widząc brak kierowników wśród ziomków swoich, postanowił młody akademik wszechnicy wrocławskiej wprowadzić w życie kółko akademickie, w któremby łączyła się przyszła inteligencja śląska. Kilka lat przedtem w r. 1886 wszystkie polskie towarzystwa akademickie, a więc i górnośląskie na uniwersytecie wrocławskim zostały rozwiązane. I rzeczywiście po skrzętnych zabiegach zdołał pozyskać dla sprawy pięciu akademików i utworzono w taki sposób w półroczu letniem 1892 roku „Towarzystwo Akademików Górnoślązaków“. Aczkolwiek on sam nie był członkiem „czynnym“ towarzystwa, ponieważ jako starszy akademik mieszkał w konwikcie teologicznym, to jednak zawsze troszczył się o powodzenie i rozwój towarzystwa i służył mu radą swą i pomocą, czego i później po odebraniu święceń kapłańskich nie zaniedbał. Obok ks. Przywary, który równocześnie był członkiem towarzystwa akademików Górnoślązaków, Karol Myśliwiec w towarzystwie najwięcej pracował. Starsi członkowie dziś jeszcze przypominają sobie dysputy i walkę słów, która się odgrywała na posiedzeniach towarzystwa pomiędzy Myśliwcem a Przywarą a która życie towarzyskie robiła sprężystem i tak błogo ożywiała. Przy tem stwierdzono przez innych członków, którzy walką tą bardzo się cieszyli i z niej wiele się uczyli, że Myśliwiec zastępował kierunek bardziej świadomy i radykalniejszy. Myśliwiec uzdolniał się do walki tej jako i do późniejszej pracy przez pilne studjum o sprawach polskich, a szczególnie śląskich. Szperał w zbótwiałych foljantach, starych księgach i czasopismach, aby się stąd prawdy dowiedzieć, gdyż gdzie indziej do tego sposobności we Wrocławiu nie miał. Nie zawsze bowiem człowiek z książek, albo raczej książeczek i broszur a i zresztą ustnego wykładu nowomodnych „historjografów“ dowiaduje się szczerej prawdy. Nauczają oni często tendencyjnie, to jest w tym celu, aby się przypodobać hakatystom i rządowi i dlatego często prawdę fałszują. W starych księgach dawnych historyków tego nie ma, bo ci nie mieli powodu, aby pi-

sać nieprawdę. Dla tego też ks. Myśliwiec w historycznych swoich wykładach i rozprawach podające tylko prawdę wyrażał się tak jasno i zrozumiale, iż dowodzeniom jego oprzeć się nie można i iż warto sobie niekiedy wyniki jego badań zapamiętać. Przyjaciele też dla tego nie tylko pokochali go i poważali, ale byli dla niego przejęci osobliwą czcią i uwielbieniem, gdyż spostrzegali w młodym koledze — oddającym się od wczesnych lat z zapałem i dziecięcą, że tak powiemy, tkliwością sprawie ojczystej, dla której obok swego wzniosłego zawodu żyć i pracować pragnął — owego szermierza niestrudzonego, który ludowi miał być światłem i przewodnikiem, bodźcem i przykładem dla umiłowania swej mowy, swej ziemi, swych obyczajów ojczystych. Ferje swoje młody akademik przepędzał po części u polskich magnatów lub księży, aby ducha swego posilić w zdrowem otoczeniu; a kiedy bawił na Górnym Śląsku, nie marnował czasu, ale znowu pracował, a pracował szczególnie dla gazety Opolskiej. Gazeta ta raz tak się wyraziła: „Karol Myśliwiec pisywał głównie i prawie wyłącznie do „Gazety Opolskiej", raz dla tego, że z okolicy opolskiej pochodził, a nadto dlatego, że z powstaniem gazety opolskiej rozbudził się nowy ruch w kresowej, a zupełnie zaniedbanej okolicy Górnego Śląska, który to ruch według sił popierać i ożywiać uważał sobie ks. Myśliwiec za rzecz pożyteczną i bardzo potrzebną". My ze siebie możemy dodać, że Myśliwiec dla tego pracował dla gazety opolskiej, bo ta wówczas była najwyraźniej polską. Więc tak sobie upodobał tę gazetę, iż chodził jako prawdziwy agitator od wsi do wsi i ludziom ją do czytania podawał i polecał. Jako akademik przysyła on do towarzystwa Czytelni Ludowych, nie wyjawiając swego nazwiska, lecz przez pośrednictwo znajomych, zapomogi na książki i stara się o zakładanie bibljotek ludowych. Jednem słowem Karol Myśliwiec już jako akademik był człowiekiem, który wiedział, czego chciał. I choć powiemy o nim jeszcze to, że miał łagodny charakter, który mu nigdy, nawet w najzaciętszej polemice nie pozwolił wybuchnąć i choć miał dar szczególnego spokoju, który go nie opuszczał nigdy a rozbrajał i przekonywał przeciwnika, to zrozumiemy, że u niemieckich kolegów nie był zbyt lubiany, woleli mu z drogi zejść, bo widzieli w nim człowieka z wytkniętym celem.

Dnia 11 czerwca r. 1894 został wyświęcony na kapłana i przez to dopiął celu swego życia, do którego dążył i dla którego dotychczas pracował. Był jednak wtedy już chorobliwy i dla tego nie otrzymał, jak się to zwykle dzieje u nas, posady kapelana, ale pomagał po wyświęceniu przez blisko $1^1/_2$ roku w Kamieniu, do którego Sprzęcice należą. Poczem dnia 10 października r. 1895 został

księdzem domowym w klasztorze sióstr szkolnych w Opolu. Tu na skromnej tej posadzie podejmował u siebie gościnnie młodzież gimnazjalną, pouczał ją, a niezamożnych wspierał własnemi szczupłemi funduszami. Choroba pomimo starannej opieki i troskliwości, którą znalazł w klasztorze sióstr szkolnych odwdzięczających się ks. Myśliwcowi za jego wielką dobroć, wzmagała się, coraz to bardziej i ks. Myśliwiec coraz to więcej na siłach upadał. A nie były to tymczasem suchoty, jakby niejeden myślał, ale jakiś wewnętrzny rak, który mu sprawiał niezmierne boleści. Krótko przed śmiercią, gdy już coraz więcej czuł, że go siły opuszczają na zawsze, rzekł z ubolewaniem: „Chciałbym tylko chociaż t a k żyć jeszcze, bo obowiązki mojego powołania nie są tu uciążliwe, i mam wygodę, a mógłbym obok zwykłych zajęć tak wiele jeszcze pracować dla sprawy ojczystej“. Ale Pan Bóg rozporządził inaczej. Dnia 3 maja r. 1897 zakończył ks. Myśliwiec swą krótką pielgrzymkę w 31 roku życia i zostawił po sobie wiele smutku i żałoby nie tylko w Opolu u sióstr szkolnych, które jeszcze po długich latach o nim wspominały z wielkim szacunkiem, ale też u wszystkich znajomych, którym oświata Górnego Śląska leżała na sercu.

Literacka i oświatowa działalność ks. Myśliwca poczęła się już w latach akademickich. Już w pierwszych numerach gazety opolskiej pojawił się artykuł pióra jego pod napisem: „C o t o j e s t a g i t a c j a w i e l k o p o l s k a?“ Była to pierwsza praca, którą będąc jeszcze akademikiem podał do druku. Redakcja nie domyślała się autora, gdyż artykuł był nadesłany z Prus Zachodnich, gdzie młody kademik przez kilka tygodni przebywał, a nosił przybrany podpis „Jan Pakuła“, za którym to pseudonimem ukrywał się w całym szeregu dalszych artykułów, zanim prawdziwe nazwisko odsłonił.

Dawszy zaraz w pierwszej swej pracy wyraz oburzeniu i szlachetnej urazie z powodu zniewagi, jakiej doznaje naród polski, a w szczególności lud górnośląski, wypisuje tem samem autor na swym sztandarze hasło do pracy w celu obrony ludu polskiego i obudzenia w nim samowiedzy i poczucia godności własnej. Ta myśl przewodnia przebija we wszystkich jego następnych pracach, które tak jako akademik, jak następnie jako kapłan napisał. Wymieniam mianowicie następujące rozprawy: O S ł o w i a n a c h; — M i k o ł a j II, p r z e d o s t a t n i k s i ą ż ę o p o l s k i; — C o k a ż d y Ś l ą z a k z h i s t o r j i s w e g o k r a j u w i e d z i e ć p o w i n i e n? — J a k P r u s a c y c y w i l i z o w a l i Ś l ą s k! — P o c z ą t k i o d r o d z e n i a Ś l ą s k a; — K i e r m a s z e n a Ś l ą s k u;

— O bogactwie i piękności języka polskiego Ślązaków; — Z dziejów śląskich; i wreszcie „Ojczyzna".

Wielką, może największą wartość ma obszerna rozprawa „O bogactwie i piękności języka polskiego na Śląsku" (Opole 1894). O polskim języku Ślązaków wiele pisano, ale zdaje się, że dotychczas kompletnej systematycznej pracy o przedmiocie tym nie posiadamy. A to dla tego, że najczęściej pisali nieśląscy pisarze, którzy studjując język ten przez jakiś czas albo tylko w pewnej okolicy Śląska, nie poznali całokształtu jego. (Malinowski, Nitsch). Z drugiej strony śląscy autorzy, choć znali język doskonale, to jednak znowu nie mieli tej filologicznej wprawy, aby napisać, coby można nazywać dostatecznem. Najwięcej jeszcze zadowalają prace księży Myśliwca i Przywary. Prace te takiemu, którzyby chciał systematycznie gramatykę polskiego języka Ślązaków napisać, wielce się przysłużyć mogą.

Najobszerniejszą część w pracach ks. Myśliwca zajmują jego historyczne rozprawy, a w tem leży wielka jego zasługa. Ubolewał bowiem już niejeden nad tem, że na Górnym Śląsku najwięcej daje się odczuwać brak historycznych prac. I słusznie. Bo jeżeli mamy mówić o książkowem wydaniu takich rozpraw, to dawniej znaliśmy tylko „Pielgrzyma z Lubopola" Lompy i „Pogadanki wieczorne" Juljusza Ligonia. Dopiero w nowszych czasach zjawiają się książki i broszury, z których Ślązacy niejedną historyczną rzecz coraz to częściej prace pisane przez zawodowych historyków, nauczyć się mogą. Wspomnijmy tylko Konecznego „Dzieje Śląska", dwutomową książkę Karwowskiego „Z przeszłości Śląska". Ks. Myśliwiec w tem „młodszem pokoleniu" był jakoby pierwszy, który się rzucił intensywniej na historją kraju naszego i tak dał przykład i zachętę do dalszych prac innym. A więc ma na tem polu swoje zasługi, których mu zaprzeczyć nie można.

W sprawozdaniu z czynności „Towarzystwa Akademików Górnoślązaków" we Wrocławiu z półrocza 1896/97 roku czytamy, że w osobie ks. Myśliwca zgasła jedna z najjaśniejszych świec na ołtarzu oświaty ludowej na Górnym Śląsku. Młody wiekiem, ale zasłużony pracą dla oświaty ludu — zaprawdę budujący to typ kapłana Polaka! W historji odrodzenia Śląska będzie on miał miejsce w pierwszym rzędzie tych szermierzy, dla których żadne poświęcenie, żadna ofiara nie była za wielką, gdy chodziło o złożenie jej na ołtarzu ojczyzny.

Literatura. Opolanin, kalendarz na rok 1898. Gazeta Opolska nr. 73 roku 1917.

XXIV.

Ks. MICHAŁ PRZYWARA.



Przez śmierć przedwczesną tego zacnego kapłana — tak pisał „Górnoślązak“ z powodu śmierci ks. Przywary — traci lud polski znowu jednego ze swych najdzielniejszych synów, gdyż zmarły był nietylko wzorowym i na wskroś szlachetnym kapłanem, ale także dobrym i pracowitym synem tego ludu polskiego, z którego pochodził. Dla ludu polskiego on żył i pracował — jednem słowem, był Polakiem ze krwi i kości. Nieboszczyk pracował od najmłodszych lat, skoro tylko zdobył odpowiednie wykształcenie, słowem i piórem nad tem, aby lud nasz zachęcić do oświaty, aby ten lud pamiętał, że jest ludem polskim. Nie małe to pochlebstwo, które się w słowach tych „Górnoślązaka“ zawiera. Pytajmy się, czy ks. Przywara na nie zasłużył.

Michał Przywara narodził się w Opolskiem pod strzechą włościańską dnia 29 września r. 1867 w Polskiej Nowejwsi. Od młodości ujawniał wybitny talent. Mając lat czternaście i pół, Michał nasz został oddany do gimnazjum w Opolu, gdzie się odznaczał wielką pilnością. W r. 1883 umarł mu ojciec. Matka znalazła się teraz w położeniu bardzo trudnem i wahała się posyłać syna nadal do szkół. Lecz różne stypendja i ulgi w płaceniu szkolnego, które otrzymywał za swoją pilność, umożliwiły mu dalszy pobyt w gimnazjum. W roku 1890 zdał egzamin dojrzałości i poszedł na uniwersytet do Wrocławia, aby się przysposobić do stanu kapłańskiego. Zaraz tu Michał Przywara zaczął z kilku kolegami pracować nad odnowieniem towarzystwa akademickiego rozwiązanego w roku 1886. Było to połączone z wielkiemi trudnościami, bo rozporządzenie ministerjalne, zabraniające polskich towarzystw, dalej obowiązywało. Ale nareszcie po długich staraniach uzyskano pozwolenie na założenie towarzystwa pod firmą niemiecką: „Wissen-

schaftlicher Verein Oberschlesischer Studenten" (Towarzystwo naukowe akademików Górnoślązaków). Naturalnie, że tylko tytuł był niemiecki, a wszystko inne po polsku. Z zachowanych sprawozdań wynika, że dwaj akademicy byli jego główną podporą: słuchacz teologji Michał Przywara i słuchacz teologji Karol Myśliwiec. Można to poznać z liczby i treści wygłoszonych odczytów. Obaj mieli te same upodobania, obaj opracowali później naukowo tę samą gałąź naukową, mianowicie język Górnoślązaków, obaj też niestety w najlepszych latach umarli.

W roku 1894 otrzymał Michał Przywara święcenia kapłańskie i został mianowany kapelanem w Mikołowie. Wkrótce tak ciężko zachorował, że trzeba go było zaopatrzeć na śmierć. Dzięki Bogu pomału wracał do sił. Lecz dla wzmocnienia zdrowia musiał się dać zupełnie zwolnić z obowiązków duszpasterskich. Po wyzdrowieniu objął posadę kapelana w Pszowie. I tutaj pozostał tylko krótki czas, bo już rok później w r. 1897 został administatorem, a parę tygodni później proboszczem w książęcej Nowejwsi w powiecie Sycowskim. Niestety choroba, która go już raz była powaliła na łoke boleści, w r. 1905 powróciła. Jesienią tego roku był już tak słaby, że nie mógł odprawiać mszy św. Nie pomogła sztuka lekarska. W sam Wielki Czwartek r. 1906 musiał się przewieść do klasztoru św. Józefa we Wrocławiu. Żył jeszcze do października. O ile choroba na to pozwalała, to i tu jeszcze pracował nad swojem dziełem o języku Górnoślązaków. Niestety nie zdołał go już wydać, choć do druku niemal było gotowe. W dniu 31 października roku 1906 śmierć położyła kres jego życiu. Ciało jego przywieziono do książęcej Nowejwsi, gdzie przy ogromnym udziale ludu i duchowieństwa zostało pochowane obok kościoła. Nad otwartym grobem powiedział jego najlepszy przyjaciel, ks. dziekan Gabriel, stłumionym od płaczu głosem kilka słów pożegnalnych, przyrównując nieboszczyka do pszczółki, która dla innych pracowała. I miał słuszność. Była to pszczółka pracowita, która zbierała na niwie śląskiej wszystko, co było pożyteczne.

Prace ks. Przywary, które z wyjątkiem mniejszych artykułów dotychczas nie zostały drukowane, można podzielić na językoznawcze, historyczne, ludoznawcze i treści rozmaitej. Do pierwszych należy jego Słownik wyrazów śląskich i Gramatyka gwar górnośląskich. Chcąc coś powiedzieć o wartości i znaczeniu prac ks. Przywary wystarczy przytoczyć sąd, który wydali dwaj znawcy prof. Kaźmierz Nitsch i ks. Kozierowski o ks. Przywarze i pracach jego, szczególnie z dziedziny językoznawstwa. Profesor Nitsch w czwartym tomie „Materjałów i prac komisji języko-

wej Akademji Umiejętności„ na str. 91 pisze tak: „Ostatnim z tych badaczy był ks. Michał Przywara, proboszcz w książęcej Nowejwsi w powiecie sycowskim, urodzony w r. 1867 w Polskiej Nowejwsi pod Opolem, zmarły w r. 1906 we Wrocławiu. W czasie wędrówek swoich kilkakrotnie o nim słyszałem, jako o badaczu mowy śląskiej, ale nauczony niejednem doświadczeniem, niewiele przywiązywałem wagi do pochwał, wypowiadanych o jego znajomości przedmiotu. Tymczasem poznawszy go, doznałem bardzo miłego rozczarowania. Znalazłem człowieka, mającego wystarczające do studjów gwarowych przygotowanie naukowe, pełne zrozumienie potrzeby nieuprzedzonej dokładności i wielkie zamiłowanie przedmiotu. Pokazywał mi swój obszerny rękopis, zawierający obfity i systematycznie zbierany materjał, którego — ciężko chory — nie miał już nadziei uzupełnić i wydać. Nie wiem dokładnie, co się z tym rękopisem stało, przypuszczam jednak, że nie zaginął. Jakkolwiew nie obejmował on wszystkich stron Śląska i jakkolwiek wobec niniejszej pracy wartość jego maleje, to przecież nie powinien się zmarnować. Zwłaszcza materjał słownikowy godny jest uwagi: sam od dziecka władając djalektem opolskim, autor zgromadził z pewnością bez porównania większy zasób wyrażeń, znaczeń i zwrotów, niż to można uczynić w czasie specjalnej djalektologicznej podróży. — W niniejszej pracy przytaczam według jego relacji część zachodnią granicy mazurowania nadto gdzie cytuje Polską Nową wieś, czynię to według jego informacji. Tych kilka słów uważałem za konieczne poświęcić pamięci człowieka, który — i pod innymi względami dzielny — b e z w z g l ę d n i e g ó r o w a ł n a d w s z y s t k i m i m n i e j l u b w i ę c e j d o m o r o s ł y m i d j a l e k t o l o g a m i, j a k i c h p o z n a ł e m w s w y c h p o d r ó ż a c h p o c a ł y m z a b o r z e p r u s k i m".

Ks. Kozierowski zaś tak się o ks. Przywarze wyraża: „Odznaczał się dziwną i ujmującą łagodnością; parafjanie, księża z bliska i daleka lgnęli do księdza Przywary, bo też nieboszczyk poświęceniem swem, słodyczą, sprawiedliwością zdobywał sobie serca ludzkie. Umysł to był niepospolity, pracowity jak mrówka; wolny od zajęć czas spędzał przy książkach. Ze zamiłowaniem zajmował się badaniem narzeczy Polaków śląskich. Nie szczędził czasu ni trudu, zwiedzał rozmaite okolice Śląska, podsłuchiwał w chatach wiejskich nasz lud, skrzętnie zapisując wszystkie właściwości wymowy, składni, słownictwa. Przez kilka lat zbierał materjał do pracy swej, a cel postawił sobie wielki — opis narzeczy mowy polskiej na Śląsku. Odczytywał mi ks. Przywara za lepszych dni niektóre ustępy swej pracy. Piękny jest wstęp, dający pogląd na sto-

sunki społeczeństwa polskiego na Śląsku. Opracował głosownię, na niejednem miejscu prostując spostrzeżenia Luc. Malinowskiego (zmarłego już profesora unwersytetu krakowskiego) w jego dziele o gwarze opolskiej, badał także obszar poszczególnych narzeczy, stwierdzał ich granice. W deklinacji i konjugacji szczuplejsze były jego notatki, może dla tego, że tekstów z odnośnych narzeczy nie zdołał z ludu wydobyć. Najbogatsza część pracy, słownik narzeczy śląskich, uwzględniający nietylko rodzime archaizmy, prowincjalizmy ale także zapożyczone, przyswojone z niemieckiego wyrazy, pragnął bowiem zupełny dać obraz mowy polskiej na Śląsku. Był ks. Przywara erudytem (uczonym) i w innych dziedzinach wiedzy, w zawodowych teologicznych naukach, w archeologji, sztuce, literaturze. Z nauką łączył porywającą wymowę, choć Ślązak z urodzenia, nie ustępował Wielkopolanom co do czystości języka. Umysł miał bystry i jasny, mocą argumentacji wzbudzał podziwienie nasze. Charakter ostry i surowy dla siebie, a tak łagodny i miły dla drugich, sprawiedliwy dla wszystkich; więcej oburzał się na krzywdę bliźnich, aniżeli na krzywdę własną. Bo i temu sercu szlachetnemu, czystemu jak kryształ, nieraz danem było pić z kielicha goryczy; stłumiał żal w sercu; choć łza zakręciła się w oku, nie skarżył się..." (Górnoślązak nr. 261 rok 1906).

Gdy dziś patrzemy na pracę ks. Przywary, to niejeden by powiedział, że to zbyteczne albo drobnostkowe. Otóż tak nie jest. Mieliśmy i po części jeszcze mamy wrogów naszego języka i narodowości naszej, którzy o mowie naszej tak głupie mają zapatrywania objawiające się nieraz pod płaszczykiem uczoności, że trzeba im było raz coś gruntownego z naszej strony przeciwstawić. Więc prace ks. Przywary mają przedewszystkiem apologetyczny cel. Zarzuty przeciwko językowi polskiemu Górnoślązaków, choć sto razy były odparte, jeszcze znalazły jakiegoś głupiego obrońcę, który je powtarzał. Szczególnie w latach tych, w których ks. Przywara pisał swoje dzieło o języku, usuwano ze szkoły górnośląskiej ostatnie resztki języka polskiego, uzasadniając to tem, że język ten nie jest polski, tak iż nawet duchowieństwo górnośląskie musiało wystósować do ministra oświaty znany protest — ostatni protest w roku 1899. Ks. Przywara więc, ażeby i naukowo udowodnić, że język górnośląski jest językiem rdzennie polskim, powziął myśl gruntownego zbadania tych gwar górnośląskich i napisania gruntownego dzieła o nich.

O innych pracach ks. Przywary wolno nam już teraz będzie tylko krótko się wyrazić, zwłaszcza dla tego, że nie są jeszcze drukowane. Więc wymieniam z pomiędzy prac jego historycznych

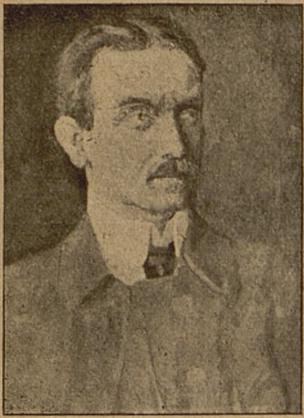
„Historją Śląska" ze szczególnem uwzględnieniem stosunków językowych; „Historją parafji pszowskiej" i pracę po łacinie pisaną o warmijskim biskupie kardynale „Hozjuszu". Do prac ludoznawczych należą: „Przysłowia, porównania i zagadki", „Miejscowości w powiecie niemodlińskim", „Bajki", „Przywiarki", „Pieśni ludowe". Pomiędzy rozmaitościami znajdujemy także rękopisy „Moja podróż na wschód", „Opis podróży do Rzymu", „Pamiętnik", „Pogląd na wywody broszurki ks. Skowrońskiego". Z wszystkich tych prac poznajemy to, iż ks. Przywara ciągle zbierał notatki, materjały, które zestawiał i uzupełniał, aby wzbogacić piśmiennictwo śląskie i aby się przyczynić ku szerzeniu oświaty tak bardzo nam potrzebnej. Gdyby był żył dłużej, to napewno niejedno dzieło byłby jeszcze napisał.

Jestem zdania, że życiorys ten najstosowniej zakończony słowami ks. Koziorowskiego: Pracowitością swą i miłością swojskich rzeczy zasłużył ks. Przywara, aby i jego nazwisko wspomniane było, gdy mowa będzie o badaczach narzeczy śląskich. A po chatach śląskich, przy ognisku domowem, niechaj rodzice pouczają dziatwę, jak kochać powinna język ojczysty, wskazując na szlachetną postać kapłana, patrjoty, uczonego ks. Przywary, który czas i trud poświęcał na zbieraniu drogocennych pamiątek mowy ojczystej.

Literatura. Ze Śląska polskiego, Opole 1917 na str. 19 i nast. o ks. Przywarze. Górnoślązak nr. 261 rok 1906.

XXV.

JAN KRZYŻA.



Zastęp malarzy-artystów górnośląskich, którzy zostali wierni narodowości swojej, nie jest zbyt wielki, gdyż przechodząc przeważnie przez szkoły niemieckie niemal wszyscy przerobili się na Niemców. Jeszcze mniej o tych naszych malarzach szerszy ogół coś wie, gdyż to nie jest sprawą byle kogo, zajmować się choć cośkolwiek sztuką, by poznać i tę część kulturalności naszej. O Janie Krzyży mało kto coś wie. Z okazji śmierci jego napisałem o nim do Gazety Ludowej artykuł, który tu chcę powtórzyć bez większych zmian, ale znacznie skrócony.

W chwili, gdy sztuka Krzyży zaczynała się wznosić na wyżyny i gdy obrazy jego, szczególnie po ostatniej wystawie pszczyńskiej coraz większe zyskiwały prawo obywatelstwa, śmierć nieoczekiwana przecięła pasmo dni pracowitego artysty. W lipcu roku bieżącego, 1916, podczas szturmu hen daleko od ukochanego Górnego Śląska granat francuski w pobliżu się rozpękł i pod naciskiem powietrza i naszego malarza-artystę śmiertelnie powalił. Śmierć, zamykając drogę artystycznego rozwoju Krzyży a równocześnie sprawdzając słowa króla Dawida: „nie zstąpi z nim do grobu chwała jego“, pozwala nam dziś zająć się postacią, która na tle sztuki naszej odbiją się jako szczególny typ twórczości malarskiej, jako przedstawiciel malarstwa bądź co bądź oryginalnego.

Jan Krzyża narodził się w roku 1876 na wsi, w Jesionie pod górą św. Anny na Górnym Śląsku z rodziny skromnej, ale poczciwej. Początki karjery jego artystycznej były osobliwe, był bowiem sobie po opuszczeniu szkoły miejscowej zwykłym malarzem, aż zbyt późno poznano się na jego talencie i radzono mu kształcić się w nowej, lepszej atmosferze. Było to w lecie r. 1899, kiedy Krzyża przyszedł z trochą zapracowanego grosza do Wrocławia, by na

tamtejszej szkole malarskiej, tak zwanej „Kunstgewerbeschule“ uczyć się malarstwa „lepszego“.

Ś. p. ks. Kazik, pochodzący z tej samej wsi co Krzyża, ma zasługę, że zaznajomił go z gronem akademików Górnoślązaków i oddał go szczególnej opiece ówczesnego kolegi, a teraźniejszego adwokata K., który szczególnie dla adepta stał się prawdziwym mecenasem i o niego się troszczył aż do samej śmierci. Takim był wtedy Krzyża, gdy się zjawił na arenie życia wrocławskiego: z powodu nauczania niemieckiego i takiej samej konwersacji z majstrem dość licho mówił po polsku, pisać wcale nie umiał, był po krótkim czasie pobytu we Wrocławiu biedny jak mysz kościelna, o malowaniu artystycznem nie miał pojęcia, nie znając ani pierwszych reguł. A jednak z wszystkiemi trudnościami zdołał się uporać i stawać powoli, co jest jego samego zasługą, pomimo wszystkich trudności i zawodów, coraz to wyżej.

Dużo wdzięku i głębokiego uczucia dają się domyśleć kwiaty i pęki kwiatowe, które w tym czasie z wielką umiejętnością malował. Nauczywszy się pierwszych zasad malarstwa, zrobił po kilku latach pobytu we Wrocławiu pierwsze próby samodzielnego malowania. Były to szkice starych dzielnic Wrocławia i krajobrazy z okolicy tegoż miasta. Po ukończeniu studjów w szkole malarskiej wrocławskiej wyjechał za granicę. Pojechał najprzód do Krakowa i dłuższy czas tam przebywał, aby po raz pierwszy w życiu patrzeć na polskie obrazy i poznać sie na polskiem malarstwie. Największy wpływ na rozwój Krzyży miały tu wzory, utwory, jednem słowem „szkoła Tetmajera“. Z naśladowania jego zrobił sie z Krzyży typ malarza swojszczyzny, szczególnie swojszczyzny górnośląskiej, posiadający odrębny typ opierający się na silnym indywidualiźmie artystycznym. Wpływ ten krakowskiej szkoły widzimy w obrazach „Kazanie na górze św. Anny“ i na trzech pejsażach, przedstawiających niektóre kaplice z góry św. Anny. Geograficzna strona jest tu wprawdzie traktowaną nie ściśle — górę św. Anny przedstawia raczej jakiś kopiec Kościuszki — ale ma ona stanowić czynnik drugorzędny; na pierwszy plan wysuwa on swoją ideę, traktowaną z niezmierną akuratnością, prawdziwością i wdziękiem. Jeżeli w „Kazaniu“ umieszcza figury, których ogromna ilość, jako bardzo barwne plamy na bardzo kolorystycznem tle w silnem oświetleniu, to właściwością cechującą „kaplice“, na których figury także plamy, choć już mniej barwne, zastępują, jest obok koloru jesiennej przyrody cień i podzłwienia godna mgła. Posłał tedy Krzyża, zachęcony przez innych, pierwsze te swoje większe obrazy [illegible] artystyczną wystawę, zdaje się do Poznania i odniósł

zaszczytne uznanie, choć nie publiczne, to jednak miarodajnych kół amatorów sztuki.

Zaczął teraz zwolna na siebie zwracać uwagę innych i malował już Krzyża obrazy na „zamówienie“, szczególnie krajobrazy i też nieco portretów, co umożliwiło mu wyjazd do Paryża. Uczył się tam, aż się środki znowu wyczerpały. Wśród ciężkich warunków, na jakie wskazana jest praca i wysiłek każdego polskiego artysty, zmuszonego liczyć się na własne środki, Krzyża wraca na Górny Śląsk i maluje kościół w Gierałtowicach. Pertraktacje o wymalowanie dwóch innych kościołów, na których Krzyża chciał także coś zarobić, się rozbiły. Finansowy rezultat malowania kościoła w Gierałtowicach był ten, że oszczędzone grosze pozwoliły mu na wyjazd do Monachium, jak to jest w zwyczaju od mniej więcej pięćdziesięciu lat u wszystkich malarzy polskich. Talent wsparty przez monachijskie studja rozwijał się dalej. Oprócz kilku obrazów własnej kompozycji zrobił tu Krzyża na dużych płótnach dwie śliczne kopje obrazów świętych Tyciana i Rembrandta. Interes na tem zrobił dobry, tak iż mając teraz trochę większą sumę, mógł się teraz już puścić do Rzymu, do tego jedynego na całym świecie środowiska wszelakiej sztuki. Bawiąc dłuższy czas w Rzymie, zachorował tam na malarję ciężko. Jadąc potem z powrotem z Rzymu — było to w roku 1912 — zatrzymał się przez jakiś czas w Florencji, aby i tu się czegoś douczyć. Nareszcie wrócił na Górny Śląsk i tu już stale zamieszkał, przerywając ciszę życia na wsi i w miasteczku częstemi wycieczkami w celu zarobkowania ciężką pracą jako malarz-artysta.

Syn ludu i wsi, znając z najbliższego współżycia lud i wieś, kochał gorąco swojem sercem tenże lud, osiadł na wsi — w Paproczanach pod Pszczyną, a nareszcie w samem miasteczku Pszczynie — i malował to, na co patrzał: Krajobrazy wiejskie i sceny obyczajowe z życia wsi polskiej, boć taką jest wieś górnośląska. Mamy mnóstwo szkiców krajobrazowych po nim, malowanych z wielkiem odczuciem natury w rozmaitych porach roku. Przegląd kilku piękniejszych krajobrazów, ożywionych często albo postaciami ludzkiemi tworzącemi na nich barwne plamy, albo kolorystycznemi klombami kwiatów daje wyobrażenie o stopniu artyzmu, jaki pędzel jego osięgnął. Widać na nich obserwacje natury bardzo ciekawą i jemu tylko właściwą. Jest w tych jego polach, łąkach, lasach i dziedzinach ogromna szczerość i moc, jakieś upojenie i woń Co się zaś tyczy życia na wsi w obrazach jego, to przemawia ono tak mile, że się to wszystko słyszy i rozumie jako swojską nutę co owe obrazy przedstawiają. W każdem jego płótnie

cia i jakaś naiwność. Wyborna psychologja jego typów pozwala zapomnieć o technice trochę brutalnej i trochę robiącej wrażenie, iż patrzy się raczej na szkic, niż na obraz skończony. Krzyża ciągle jeszcze studjował życie ludu, aby ze skarbu zrobionych spostrzeżeń i na mocy tego, co widział, przysporzyć sztuce kto wie ile jeszcze pięknych utworów. Niestety! — A że mu w duszy grały uczucia prawdziwego Górnoślązaka, więc zapatrzony w błogą przeszłość naszą, która chyba była lepszą od teraźniejszości, zajmuje się coraz więcej pomnikami tej pięknej przeszłości naszej. Z szczególnem upodobaniem malował Krzyża nasze stare i najstarsze drewniane kościoły i kościółki górnośląskie, których mnóstwo po nim zostało. Wielki kawał historji Górnego Śląska z swoją dolą i niedolą stawa przed okiem naszem w obrazach kościołów Krzyży.

Z zamiłowaniem wielkiem do ulubionej swej sztuki, której oddał zupełnie uczucia i chęci swoje, a ją znowu na usługi kochanego Śląska polskiego, i po części z sukcesem wielkim wymalował obrazów takich rodzajowych i pejsażowych około 100 wielkich, a blisko 1000 mniejszych i szkiców różnych. Nareszcie twierdzą niekliszy, że Krzyża nie był portrecistą. Nie był i był. Jest pewną rzeczą, że tu musiał mieć mniej powodzenia, gdyż na ten rodzaj dobrowolnie się nie rzucał i wogóle mało portretów malował. Ale znamy [illegible] kilka portretów, które pod każdym względem znakomitemi zwać się mogą, a które świadczą, że Krzyża mógł był być portrecistą, gdyby był chciał.

Co się tyczy techniki, to mało rysował, ale natychmiast farbami malował. Poddał się bowiem z „najmłodszymi" frazesowi, że w naturze nie ma właściwego rysunku, a jest tylko plama. Wynik taki, że postać ludzka, narysowana przez niego, nie jest człowiek pełnej, skończonej formy, mający rzeczywiste proporcje i kształty, lecz raczej jakaś lalka. Ale choć czasami chlapnięciem pędzla i plamą żywą zastąpił subtelność, zawsze dał w pomyśle i rzucie dzieło o wybitnym typie indywidualności twórcy. I choć czasami robi wrażenie, jakby jego twórca nie robił sobie nic z farby i jakby mu było wszystko jedno, jakiej użyje farby, to jednak musimy powiedzieć, iż właściwie to jest cecha talentu indywidualnego, talentu świadomego siły swojej. W ostatnich atoli latach, w miarę wyrabiania się techniki jego i kontury rysunkowe i linie i plamy bywały coraz to pewniej na płótno rzucane, tak iż utwory jego cechują większą dokładność i subtelność wykonania.

Będąc w sile wieku, i może dopiero w początkach twórczości swojej, przebiegł on dopiero cząstkę drogi artystycznych aspiracji. Pozwalało nam to się spodziewać, iż bujna wyobraźnia jego i chęć

20,

do pracy obdarzy nas niejednem jeszcze dziełem trwałej wartości. Niestety! nie mieliśmy się tego doczekać, bo odszedł od nas zabity za tych, których tak bardzo nienawidził.

Więc kiedy odszedł od nas „piewca pędzlem“, szermiesz oświaty i pracownik na polu politycznem, my potędze geniusza jego, krzepiącego nas ideałami swojemi, na świeżą mogiłę składamy wieniec hołdu i podziękowania. Z obrazów jego mówi polska dusza malarza z Bożej łaski, który kochał lud swój i kraj jego, nie gardził nim i nie opuścił go, jak wielu niewdzięcznych synów, ale dlań pracował słowem i uycznkiem. Sztuką swoją pokazał, ile to człowiek pełen poświęcenia dla sprawy wzniosłej, choćby niekiedy sił zabrakło, byleby miłością do ideałów swoich pałał, zdziałać może.

* *

17. 08. 2022